

II/1594/T konkurs

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Wspomnienia i refleksje

T O M VII

Część szósta

- Lata w niewoli. Okres między wiosnami: 1943 - 1945 -

823
661
—
162

~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~
Cześć szósta
~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~
L A T A W N I E W O L I

Okres między wiosnami:
 1943 - 1945

Transport wołyńskich niewolników III Rzeszy toczył się z wolną przez piękną ziemię lubelską w kierunku na Warszawę. Wczesna wiosna jaśniała pełnią kwitnących kaczalców i świergotem skowronków odprawujących swe gody w czystym błękitnie nieba tej wojennej wiosny 1943 roku.

Białe wzgórza kredowe powoli przesuwają się do tyłu. Pagórkowaty krajobraz urzekał czystością szachownic pól i ostrą zielonością ozimin kontrastujących z białą kredowych pagórków. Wzrok biegł daleko w przestrzeń bez żadnej przeszkody. Wszędzie widać było solidne zabudowania gospodarskie, kominy cukrowni i gorzelni. Tor kolejowy przewijał się łagodnymi zakrętami wśród białych rozkopanych na szczytach wzgórz, gdzie dobywano sposobem odkrywkowym surowiec kredowy do produkcji materiałów budowlanych oraz przede wszystkim cementu. Po lewej stronie toru widać było szereg dymiących kominów cementowni w Rejowcu. Powoli pociąg zbliżał się do Lublina.

Wołyńskie gęste, zielone lasy szpilkowe pozostały już dawno za nami. Obecnie przed oczami widniały rozległe pola uprawne, gęsto rozsiane wsie, i małe miasteczka i rozrzucone na widnokręgu rzadkie lasy liściaste z domieszką świerków i sosen. Wśród zabudowań wiejskich często trafiły się zabudowania dworskie z parkami i ukrytymi w nich białymi dworami.

Był początek kwietnia 1943 roku. Ciepłe podmuchy wiatru wysuszyły śniegi i urodzajną lessową glebę porosłą ciemnozielonymi płatami trawy i bujnych ozimin. Przez otwarte drzwi wagonu przesuwają się do tyłu piękne rolnicze połacie krajobrazu. Dzień był w pełni, słońce świeciło ostro na niebie a kredowe szczyty pagórków rysowały się wraźliwie na tle dalekich zielonych pasm lasów, widniejących na zamglonych odległością odsłaniających się i ginących na przemian w oddali wzgórz lubelskiej części Rostocza.

Okolo południa pociąg dotarł do Lublina. Było to dla mnie duże przeżycie ponieważ pierwszy raz w życiu oglądałem/choć za drzwi wagonu/ tego typu większe miasto. Wszędzie niepodzielnie panował język polski. Czasami w pobliżu wagonów naszego transportu pojawiały się umundurowane sylwetki niemieckich żołnierzy uzbrojone w pistolety automatyczne w hełmach na głowie śpieszące grupami w różnych kierunkach. Dochodziły od tych grup gardłowe pokrzykiwania i rozkazy w języku niemieckim. Na dworcu towarowym, gdzie został zatrzymany chwilowo transport panował wielki ruch.

Wkrótce pociąg ruszył w dalszą drogę. Na wzgórzu dominującym nad miastem

rysowała się sylwetka jakiegoś starego zamku, niżej wieże kościołów, cienie starych kamienic czynszowych, spowite w korony wysokich gałęzi drzew obrastające poblizę dziedzińców i wspinających się w górę wąskich uliczek.

Minęliśmy Puławę. Tam można było udczuć poblizę wielkiej rzeki - Wisły. Za wysokim wałem ziemnym widać było wstęgę rzeki szeroko rozlanej, po której pływały łodzie i małe rzeczne barki. Na brzegu sterczały samotne chatki rybackie z suszącymi się sieciami na wysokich kołkach. W zakolach rzecznych widać było na powierzchni wody małe łódki przymocowane do pali wbitych w ziemię. Po drugiej stronie ciągnęły się kilometrami rzędy topoli, rosnące na wysokim brzegu doliny Wisły.

Od czasu do czasu mijaliśmy małe sosnowe zagajniki poprzeryśnięte pączkującymi drzewami liściastymi. Wszędzie pachniało wiosną! Dojeżdżaliśmy do Warszawy od strony Pragi późnym wieczorem. Tu mieliśmy dłuższy postój.

Warszawę znałem tylko z książek i opowiadań ojca i matki. Rodzice byli w Warszawie z jakiejś okazji czy uroczystości związanych z działalnością społeczną i zawodową ojca. Był to chyba 1929 rok, a miałem wówczas 6 lat i niewiele z tego pamiętam. Było tam spotkanie z prof. Ignacym Mościckim, ówczesnym prezydentem oraz wielu działaczami społecznymi z całej Polski. Potem był wielki bal, matczyne bóle głowy i zawroty spowodowane tymi niezwykłymi przeżyciami, no i powrót do domu, gdzie wszyscy oczekiwaliśmy rodziców z utęsknieniem. Takie to były rodzinne wspomnienia w końcu lat dwudziestych w wolnej i niepodległej Polsce.

Natomiast ja stolicy Polski nawet nie zdążyłem obejrzeć chociażby zza drzwic bydlęcego wagonu, jadąc w nim zamknięty i pod konwojem w nieznane, uważając w skromnym plecaku cały swój dorobek młodzieńczy, a w duszy całą okropną kotłowaną myśl, świeżo doznane uczucia zniewolenia i sponiewierania przez nieznośny aparat przemocy drugiego okupanta, a także brutalnie zdeptyany i przerwany pierwszy wiośniany zarodek miłości skierowany w pierwszym porywie do zupełnie przypadkowo spotkanego dziewczęcia w moim życiu.

Z Warszawy-Pragi wyjeżdżaliśmy wczesnym wieczorem, było jeszcze zupełnie widno. Pociąg kierował się na północ. Siedziałem w otwartych drzwiach wagonu, obok mnie Tomek, w głębi wagonu usadowiła się reszta osób siedząc na grubych tobołach, węzełkach, walizach. Nogi miałem spuszczone nazewnątrz wagonu a jedną ręką trzymałem się krawędzi ściany, i obserwując z napiętą uwagą rozpościerającą się przede mną panoramę lewobrzeżnej Warszawy i jej centrum rozmyślałem ponuro o nieznanym jutrze. Obok po prawej stronie w odległości około dwóch metrów ode mnie znajdował się jakiś znacznej objętości toboł z pościelą i czymś tam jeszcze.

Tuż koło mnie ukazała się nagle jakaś głowa w kolejarskiej czapce: roz-

biegane oczka, zwężone z wysiłku po krótkim biegu za ruszającym pociągiem, błyskawicznie ogarnęły wnętrze wagonu pełnego ludzi i osobistego bagażu - zdążyłem zaledwie pomyśleć: pewnie jakiś kolejarz z obsługi transportu usiłuje wsiąść do wagonu - trwało to kilkanaście sekund zaledwie, pochylony z wysiłkiem do przodu zgrabnie szarpnął się do góry, stanawszy na równe nogi pochylił się nagle nad pierwszym tobołem, chwycił go obiema rękami i błyskawicznie szarpnął w kierunku otwartych szeroko drzwi wagonu. Tobół wraz z kolejarzem zakreślił niemrawy ciężki łuk znikając w tym momencie mi zupełnie z oczu. Pociąg nabierał już szybkości kolebiąc i skrzyjąc przeraźliwie na mijających zwrotnicach Pragi kierując się na północ:

Ten "warszawski" rabunek w biały dzień na oczach niczego nie spodziewających się nieszczęśliwych ludzi wywożonych pod przymusem na roboty do Niemiec, ograbianych z ich nędznego dobytku pozostał mi w pamięci na całe życie z jego precyzyjnymi szczegółami. Przejechaliśmy około 450-500 km. koleją z miejsca załadowania aż do tego obrzydliwego wydarzenia, i nigdzie czegoś podobnego nie widziałem. Uraz ten pozostał w moim umyśle za sprawą warszawskiego złodzieja do dziś dnia pokutuje w mojej psychice i nie mogę się z tego otrząsnąć, zrozumieć ani przetrwać. Sądzę, że wydarzenie, którego byłem świadkiem, nie było wydarzeniem odosobnionym na terenie GG, a szczególnie na terenie ówczesnej Warszawy. Napewno wiele, bardzo wiele ludzi zostało tam ograbionych z osobistych rzeczy i nie tylko w opisywanym okresie, ale zapewne również wcześniej i później, kiedy tereny te były już "uwolnione" spod okupacji hitlerowskiej. Smutne te refleksje muszą jednakże przerwać z uwagi na konieczność snucia dalszego biegu swoich wspomnień i osobistych przeżyć.

Pamiętam nazwę pierwszego miasteczka i stacji kolejowej, którą odczytałem po całonocnej podróży na północ od Warszawy: była to węzłowa stacja kolejowa zwana po niemiecku R i e s e n b u r g / Prabuty/. Poranne słońce oświetlało czyste perony, piękne zabudowania stacyjne z czerwonej cegły, typowo niemiecki porządek panujący na stacji kolejowej.

Długo szukałem w pamięci spolszczonej nazwy tego miasteczka niemieckiego, pierwszego które przejeżdżaliśmy w tej długiej podróży do Niemiec, i jakoś nie mogłem sobie go przypomnieć. Nie mogłem się też zorientować na jakim terenie konkretnie znajdowaliśmy się w tym czasie. Dopiero następne większe miasto wyjaśniło mi wszystko. Było to M a r i e n b u r g /po polsku Malbork/. Przejeżdżaliśmy więc przez zachodni skraj Prus Wschodnich i jego główne miasto, dawniejszą stolicę Państwa Krzyżackiego. Odtąd w mojej pamięci mogłem dokładnie odtwarzać trasę podróży czytając mijane po drodze nazwy stacji kolejowych, a były to: Dirschau/Tczew/, Hohenlinden/Pszczółki/,

Praust/Pruszcz Gdański/, Heilige Adalbert/Swięty Wojciech/, Danzig-Ohra /Gdańsk-Orunia/, Danzig Hauptbahnhof/Gdańsk Dworzec Główny/, Danzig-Neufawasser/Gdańsk-Nowy Port/, Danzig-Langfuhr/Gdańsk-Wrzeszcz/, Danzig-Oliwa /Gdańsk-Oliwa/, Zoppot /Sopot/, Gotenhafen/Gdynia/.

Na peryferiach Gdyni mieściły się łaźnie i odwyszalnie. Było to jakieś miejsce typu obozowego, odrutowane kolczastym drutem, z wachtami, posterunkami uzbrojonymi po zęby, bramami i zakazem wychodzenia na zewnątrz. Wkrótce popędzono nas wszystkich do jakiegoś obszernego baraku. Tu kazano szybko rozebrać się wszystkim do naga: starym, młodym, dzieciom, kobietom i dziewczętom. Wszystko to zgrubsza podzielono na duże grupy i popędzono pod prysznicę na kilka minut. Wszelkie toboły i podręczne rzeczy, zostały przerzucone do innego pomieszczenia, gdzie równie szybko, w straszliwym pośpiechu dezynfekowane w wysokiej temperaturze i przy zastosowaniu jakiegoś okropnie śmierdzącego preparatu, po czym jeszcze gorące wywalone do specjalnego pomieszczenia, skąd można było grupami odbierać sponiewierane i okropnie zmiętoszone ubrania i tobołki. Obsługa łaźni i odwyszalni, podobnie jak w Równem rekrutowała się przeważnie z Rosjan, jeńców wojennych.

Ustawiono nas ponownie w grupy i popędzono z powrotem do wagonów. Tym razem powieziono nas w odwrotnym kierunku, w stronę Gdańska - "nach Danzig Land" - tak informowała obsługa pociągu - "zum Danziger Arbeits Amt" / do gdańskiego urzędu pracy, celem rejestracji i rozdziału do poszczególnych miejsc pracy. Droga była krótka. Pociąg sunął wysokim brzegiem zatoki Gdańskiej, głównym szlakiem kolejowo-drogowym. Stojąc przy otwartych drzwiach bydlęcego wagonu z napięciem wpatrywałem się w przerwy pomiędzy dachami domów i pagórków oczekując pojawienia się fal morskich i tafli wody Bałtyku. Wyżej ponad dachami szarzała jakaś szeroko rozlana niebieska płaszczyna zupełnie pusta, trochę zamglona z jakąś przyciemnioną kreską na widnokręgu ciągnącą się na całej długości horyzontu, - co toteż mogło być?

Czyżby jakieś ogromne lotnisko czy bezkresne szarego koloru pole? Długo zastanawiałem się nad nieznanym dla mnie w tym momencie zjawiskiem...

Olśnienie przyszło nagle... W poprzek tego olbrzymiego pola sunął okrąg z długim pióropuszem dymu układającym się w gruby czarny warkocz, rozszerzającym się natychmiast w szerokie płachty opadające z tyłu rufy statku!

Złudzenie optyczne było nadzwyczajne! Nie zdawałem sobie sprawy, że pociąg toczył się po wysokim brzegu a morze było położone o kilkadziesiąt metrów w dół; wydawało się, że horyzont jest wysoko podniesiony wraz z taflą wody, pływającymi statkami i ciemną kęchą horyzontu. Domyśliłem się wreszcie, że ta ciemna kreska na widnokręgu to był półwysep Helski porośnięty zielonym, sosnowym lasem, ciągnącym się na całej jego długości. Byłem po pro

tu oszołomiony tym wspaniałym widokiem oglądanym pierwszy raz w życiu. Patrzyłem jak urzeczony na ogromną płaszczyznę wodną, gładką jak stół, błękitną od odbijającego się w niej pogodnego nieba, upstrzoną czarnymi plamkami okrętów i małych łodzi sunących na powierzchni w różnych kierunkach. Złudzenie perspektywiczne sprawiało, że płynęły one jak gdyby pod górę aż do krawędzi półwyspu gdzie zakręcały w lewo wypływając na pełne morze, którego bardzo wąski i długi skrawek prześwitywał zza ciemnego zielonego lasu ciągnącego się wąską smugą po powierzchni półwyspu. Płynące statki pozostawiały stamtąd strony długą, rozlewającą się powoli w powietrzu burą kitę dymu, znacząc wyraźnie swój szlak.

Długi półwysep Helski jak ostra kosa rozcinał wewnętrzne wody zatoki Gdańskiej od morza zewnętrznego, ginącego hen, gdzieś w zamglonej wolnej przestrzeni ogromnego wodnego obszaru.

To moje pierwsze spotkanie z widokiem morza wywarło na mnie niezatarte wspomnienie - oczy bolały z wysiłku od nieustannego wpatrywania się w ten wspaniały krajobraz, zachodziły łzami, ale... nie mogłem oderwać od tego oczu. Po samym Gdańsku pociąg odsunął się nieco od brzegu morskiego i powoli morze znikło za gęstniejącymi blokami domów i grupami wysokich drzew. Kończyła się podróż w zamkniętym bydlęcym wagonie i rozpoczynał się zupełnie nowy etap w moim życiu...

" ... Artschau, dnia 2 maja 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Jesteśmy tzn. Wujenka z Tomkiem, p. Rut. z Rodziną, p. Łostiuł Andrzej z Rodziną z Podłużnego i panna Buraczewska Genowefa z Kostopola razem na folwarku Artschau poczta Praust kraj gdański, tzw. Żuławy.

Do Równego przyjechaliśmy dnia 14 kwietnia 43 roku we wtorek o godzinie 2-iej w nocy. Ze stacji przeszliśmy do koszar i tu nocowaliśmy. We środę dnia 14 kwietnia 43 roku spotkaliśmy się tutaj z Częścią/mieszkańców/ Hipolitówki. Byli tu (X) Wujenka, ciocia Katarzyna ze wszystkimi swoimi, Pulikowski Cezary z Rodziną, Lisiecki Zygmunt z Rodziną, Lonek Lisiecki. Tu właśnie w Równem na robocie zaznajomiliśmy się z p. Łostiułkiem Andrzejem. Wszyscy trzymaliśmy się razem w drodze. Dnia 19 kwietnia odjeżdżamy dalej. W Kiwercach łaźnia. Jedziemy przez Kowel, /Luboml/, Chełm, Lublin. Tu dowiadujemy się, że mamy jechać zamiast do środkowych Niemiec /Drezno/ jedziemy do Gdyni.

Dalej przez Dęblin, Warszawę, Nowy Dwór w stronę Prus Wschodnich, dalej Riesenburg/Prabuty/, Malbork, /Tczew/, Gdańsk i Gdynia/w dniu/ 22 kwietnia 43 czwartek. Tu dezynfekcja wszystkich rzeczy, łaźnia, wszystkie włosy obcięte, i do łagrów. Dnia 25 kwietnia Wielkanoc. Dostaliśmy nawet słodkiej kawy.

Ja i Teofil, Lonek oraz Tomek idziemy nad morze. Dnia 28/kwietnia/w środę

odjeżdżaliśmy do Gdańska. Tu, w urzędzie pracy gospodarze niemieccy rozebrali nas do siebie.

Adres Cioci Katarzyny: "Danzig Land, Kreis Danzig, in Keesemark, Landarbeit bei Herzen Pohlmann".

Nasz folwark 13 km od Gdańska na południe. Przyjechaliśmy tu dnia 28 kwietnia 43 r. w środę przed wieczorem. Mieszkamy w jednej izbie, 19 osób, nie ma gdzie kłaść się spać. Zamiast łóżek jakieś koślawe nary. Chleba dostajemy tu około 3 kg na tydzień, trochę margaryny i marmolady. Na śniadanie kawę nie słodką, bez mleka, potem o godzinie 7-ej do roboty, od godziny 12-ej - 13. obiad złożony z jakiejś mieszaniny wody, kartofli, marchwi, kapusty i kapinki mięsa. Najeść się można!

Jesteśmy wszyscy zdrowi i żywi, życzymy Wam tego z całego serca, i pozostania na miejscu. Proszę teraz napisać wszystko, co u Was zaszło, jakie zmiany. Jaki jest adres Mietka? W drodze żadnych listów nie można było pisać, gdyż byliśmy pod nadzorem cały czas, pomieszani "ochotnicy" i przymusowi.

Ja piszę sobie dokładny pamiętnik, potem, może razem przeczytamy go sobie. W walizce jeszcze swego trochę jest, nie wiem co będzie potem? Skrzypce dowiozłem cało na miejsce, już nawet grałem tutaj. Ludzie, którzy tu pracują /Polacy/ są dosyć życzliwi. Obecnie, gdy to piszę odbywa się pranie naszej bielizny. Odwiedził nas dzisiaj p. Sobieski, jest on tutaj niedaleko od nas, u pojedynczego gospodarza. Jest mu zupełnie dobrze.

Zasyłam pozdrowienia wszystkim znajomym, a Was mocno całuję, Stefan.

"Antek" nas odwiedza!?

PS. Co robi Tonia, Gienia, Zosia, Kazik, Marian? Czy Antosia już w Kwasiłowie? Kurjata Leonard, Post/Kreis Kostopol, Polowastrasse 4 Wolhynien, Ukraine."

... "Artschau, dnia 9 maja 1943 roku.

Drodzy Rodzice!

Wysyłam już drugą kartkę. Nie ma tu czasu w dzień powszedni na napisanie listu gdyż pracujemy bez przerwy, oprócz obiadu, cały dzień, zresztą z początku miałem tylko jedną kartkę, teraz mam więcej. Jestem w dalszym ciągu zdrowy, śpię doskonale, choć tylko na deskach zasłanych kocem. Apetyt mam wielki, co postawią na stół zaraz zjadamy do czysta.

Bardzo dobrze, że jesteście razem z p. Rutem i Wujenką, można porozmawiać o własnych bolączkach, pokrzepiać się wspólnie i t.p. Teraz opiszę folwark gdzie ja jestem. Ziemi jest około 1.000 mórg /250 ha/, lasu sosnowego około 50 ha. Obok biegnie szosa asfaltowa z Gdańska do Malbarga /?/ / pomyłka - ma być do Starogardu Gdańskiego/ i kolej. Ziemia mocno falista, dużo kamieni na polu, jest ona urodzajna. Nasz właściciel/ dzierżawca/ ma piętrowy, biały pałacyk z wieżą, naokoło pałacu park, obok dalej zabudowania gospodarcze,

wszystko murowane. Stajnia na kilkadziesiąt koni, obora na około 50 krów dojnych, dużo młodniaku, kilkadziesiąt świń, owiec, dużo kur. Ma on także wszelkie narzędzia rolnicze, trzy / pomyłka - ma być dwa / traktory, motory elektryczne, cyrkularki, kuźnię, warsztat stolarski, magazyn dwupiętrowy, kuchnię dla robotników, których jest około 50/osób/ nie licząc tych, którzy tu pracują na stałe i 15 Anglików jeńców wojennych.

Pracujemy wszyscy na polu, gramy zboża jare, które są siane / siewnikiem/ co 20 cm tak, że można je uprawiać / grasować/.

Na tym kończę, całuję mocno Mamę Tatusia, Gienię, Tonię, Zosię, Kazika i wszystkich znajomych. Napisałem już do Michalczuka i do Wielunia. Piszcie wszyscy długie listy. Jeżeli można to proszę przysłać jaką paczkę i trochę książek czy fotografii. Do Wielunia / pisałem/ o Kazika i Zosię z dziećmi, a do Michalczuka o Was / 6 - 10 osób /.

Kuriata Leonard, Kreis/Post Kostopol, Polna 4, Wolhynien, Ukraine.

... " Artschau, dnia 9 maja 1943 roku. /niedziela/

Kochana Ciociu!

/Żarczyńska Helena/

Przeszłej niedzieli wysłałem jedną kartkę do Tatusia. lecz nie wiem czy ona trafi do celu, gdyż Tatusz zmienił może adres. lub coś się stało. Teraz wysyłam drugą lecz do Cioci gdyż, jak jeszcze mówiłem tu, Cioci adres będzie bazą dla wszystkich.

Jestem zdrowy, żyjemy razem, Wujenka z Tomkiem, p. Rut i jeszcze kilku. Pracujemy wszyscy ciężko od 7-ej godziny /rano/ do 7-ej wieczorem z 1-gą godziną przerwą obiadową. Pracujemy na polu, jest tu 5 narodowości: kilkunastu Anglików w niewoli, Niemcy, Polacy, Ukraińcy i Rosjanie, którzy tu przyjechali spod Leningradu z obawy głodu. Z rana przed 7-mą dostajemy kawy, na obiad kartofli z zupką lub grochówką, małeńki kawałeczek mięsa, na kolację tylko kartoflę i zupkę. Tyle, że najeść się można. Skrzypce mam ze sobą całe.

Bardzo proszę teraz napiszcie o sobie wszystko i duże o ile można na liście. Piszcie co robi i gdzie jest teraz Edek z Antosią /Dziekoński/, czy już mieszkają tam w Kwasilowie, co porabia Leonard z Ciocią /Bielawscy/, Romek/Krzysztofiak/, Lidek / Remigiusz Żarczyński/, Marian / Kuriata /, oraz wszyscy nasi znajomi.

Jeżeli Tatusz nie otrzymał kartki, to proszę powiedzieć, że jestem zdrowy, pracuję jak koń i mało jem! Buty są jeszcze jakoś całe. Napiszcie do mnie czy mam pisać do Gubernii na podane adresy o zapotrzebowanie Was czy nie, gdyż ja w drodze nic nie mogłem napisać, ponieważ byliśmy pod nadzorem milicji aż do Gdyni / bo i tu też byliśmy /. Stąd listy do Gubernii bardzo prędko dochodzą - jak raz, kiedy piszę tę kartkę, p. Rut otrzymał telegram z Markowej w odpowiedzi na kartkę z przeszłej niedzieli. Niedaleko od nas

jest i Ciocia Katarzyna /Lisiecka/ z całą rodziną: "Lisiecki Aleksander in Koesemark, Kreis Danzig, bei Herrn Pohlmann".

Jeżeli wiecie, to przyslijcie mi adres Mietka. Jak możecie piszcie b. długie listy i może niech każdy napisze osobno, aby było co czytać.

Całuję wszystkich, Wasz Stefan.

Żarczyńska Helena, Kreis/Post Kostopol, Kopernika 65, Wolhynien, Ukraine."

... " Artschau, dnia 12 maja 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Nie wiem kiedy otrzymam od Was list, może wcale nie otrzymam, może się co stało, nie daj Boże; lecz pociesza mnie to, że listy w ogóle tu długo chodzą. Jestem zdrow lecz powoli, powoli czuję, że taka jednostajna, ciężka i głupia robota źle się odbija potem na mnie, może zresztą później będzie inaczej. Bardzo proszę jeżeli można, proszę pisać na listowym papierze i jak najwięcej, bo strasznie się chce przeczytać coś o swoim, swych najbliższych.

Napisałem już dużo listów w różne strony: do Wielunia, Ceranowa / w Łuku Bugu, koło Sokołowa Podlaskiego/, do Bronka Bielawskiego/Westfalia/, do naszej Cioci Katarzyny, która tu jest niedaleko, do Cioci Heleny, do Antosi Dziekońskiej / do Kwasiłowa, o ile tam ona już jest/, lecz jeszcze listów żadnych nie otrzymałem.

Czy mieszkacie jeszcze u Kazika / Łukomskiego - szwagier, mąż Zofii/, czy już u Bagińskiego, czy może już wszystko uspokoiło się i wróciliście na miejsce? Czy Mama mocno tęskni za mną? Co robi teraz Marian i Lidek? Czy Tonia napisała już jakie listy do Michalczuka?

Jak się czuje Gienia, Zosia i Danusia i Zenek, i wszyscy razem? Czy Tatuś robi co u nas: tam, w Hipolitówce na polu czy nie, czy może pracuje w Kostopolu?

Piszcie wszyscy jak najwięcej! Stefan.

PS. Pamiętnik swój piszę dalej. Może już otrzymaliście list od Mietka, napiszcie co on pisał!?

Kuriata Leonard, Post/Kreis Kostopol, Polowastrasse 4, oder Kopernika 65 , Wolhynien, Ukraine:

... " Artschau, dnia 16 maja 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Nie otrzymałem jeszcze znikąd żadnego listu, ani od Cioci Katarzyny, która przecież jest tu niedaleko, ani od Bronka Bielawskiego, ani z Kostopola. W przeszły czwartek usłyszałem, że odtąd będzie można pisać tylko raz na miesiąc i to na specjalnych dwukartkowych pocztówkach poliniowanych tak, że niewiele będzie można na nich napisać. Nie wiem, może i ta kartka wcale

do Was nie dojdzie. Ale jednak piszę. Cały ten tydzień pracowałem w lesie przy wywózce gałęzi. Jeździliśmy wozami na gumowych kołach zaprzęzonych w 2-e pary koni, lub 1-go traktora. Las jest przepiękny. Rosną w nim jodły, modrzewie, buki, brzozy, sosny, klony, dęby, jesiony, - wszystko to było sadzone w rzędy, starannie utrzymane. Ma około 100 lat.

Powietrze w lesie przepyszne! Ale wolę jednak nasze lasy wołyńskie rosące dziko. Dzisiaj w niedzielę z rana zapędzili nas do wyładowywania wagonu na stacji. Robota była niezbyt ciężka i na szczęście krótka.

Z jedzeniem teraz trochę kombinujemy. Co dzień rano Wujenka gotuje mnie i Tomkowi barszcz szczawiowy z kartoflami, i trochę słoniny, no i reszta kawa. Wszystko bardzo smakuje!

Na ogół jest tu ciepło, tylko wiatry są bardzo zimne. Wszystko żyto jest tu już wykłoszone, którego rosną tu olbrzymie łany.

Na tym kończę, Wasz Stefan.

Kuriata Leonard, Post/Kreis Kostopol, Polwastrasse 4, oder Kopernika 65, Wolhynien, Ukraine.

 ... " Artschau, dnia 31 maja 1943 roku.

Drodzy Rodzice i Wszyscy!

Chociaż nie mam żadnej odpowiedzi od Was ale jednak muszę pisać gdyż nie mogę wytrzymać. Otrzymałem list od p. Michalczuka Stanisława. Pomóc nic nie może, - jedyna rada / jeżeli można i jak uważacie/ - to wyjazd do Niemiec. Były także listy od Cioci Katarzyny, od Longina, którzy mieszkają niedaleko nas, około 30 km. Mają się trochę lepiej jak my. Przeżyć i wytrwać można zupełnie dobrze.

Spimy całą noc snem kamiennym po 11-tu godzinach pracy, która z początku była beznadziejnie straszna, długa i ciężka, - dziś zupełnie możliwa.

P. Rut otrzymuje prawie co tydzień paczkę z Markowej i krewnych z innych stron z ubraniem, teraz pewnie otrzyma z żywnością.

Żyjemy wszyscy jak jedna rodzina. W niedzielę odprawiamy litanie do M.B. potem śpiewamy, ja gram na skrzypcach. Obecnie ja pracuję wszędzie; popychają mnie to tu, to tam, jestem zupełnie zadowolony, czasami robię z Anglikami, rozmawiam trochę z nimi po niemiecku. Dają mi trochę papierosów, sucharów.

Jakoś to będzie. Pisałem już do Antosi Dziekońskiej. Nie mam jeszcze odpowiedzi. Czy wiecie co o Mietku? Co robi Marian, Ciocia, Lidek, co robi Tonia, Gienia, Kazik z Zosią i wszyscy, wszyscy znajomi i krewni. Adres Tadzia? Wasz Stefan.

Jak można przyślijcie więcej fotografii!!?

Kuriata Leonard, Polowastrasse 4, oder Kopernika 65, Kostopol, Rowno, Ukraine.

... " Artschau, dnia 3 czerwca 1943 roku.

Drodzy Rodzice!

Pomimo, że nie otrzymałem od Was żadnego listu, piszę dalej kartki. Otrzymałem od p. Michalczuka list w którym pisze, że tam dzieją się podobne rzeczy jak u nas, tylko nie na Polaków, - z zapotrzebowania nic nie będzie, gdyż Gubernia jest przeludniona i będą nawet wywozić z niej robotników. Czynił on starania jak mógł lecz na próżno. Otrzymał kartkę od Toni.

Dzisiaj otrzymałem kartkę od Bronka Bielawskiego. Żyje również jak my. Może "Antek" przyjdzie do nas na stałe za dwa tygodnie lub później, nie wiem. W każdym razie może się jeszcze zobaczyć. Pracuję na podwórzu przy zwałaniu sprasowanego siana, lub na polu przy kartoflach. Robota nie zaciężka, tylko chleba mało, a wszystko inne jest dobrze. †

Piszcie prędzej co się u Was dzieje, gdzie Mietek, Tadzio, jakie są ich adresy, czy pisali do domu? Pisałem kilka kartek do Kwasilowa, - odpowiedzi nie ma.

Kochani, jeżeli można proszę przysłać trochę fotografii lub jakichś widoczków z rodzinnego miejsca! Jakie zmiany na Wołyniu? Edmund pisał już do mnie kilka kartek, a także Lonek Lisiecki. Są niedaleko siebie, na wschód od Gdańska - 23 km.

P. Rut otrzymuje paczki z Markowej. Życzę Wam mocy wytrwania do lepszych czasów i ślę pozdrowienia dla wszystkich. Stefan.

Kuriata Leonard, Kostopol, Polowastrasse 4 oder Kopernika 65, Rowno, Wolhynien.

... " Artschau, dnia 4 czerwca 1943 roku.

Ukochani Wszyscy!

Dzisiaj otrzymałem pierwszą złożoną z dwóch kartek wiadomość z Kostopola. Dzięki Bogu żyjecie wszyscy, jesteście zdrowi, ale myślę, że "kolejka" nie minie i Kostopola. Decydujcie się nawet na wyjazd do Niemiec!

Wszędzie można żyć, wszędzie, gdzie są l u d z i e, można, lecz z d z i c z ą n i e! Czyż, chociaż wyjedziemy do Niemiec, czyż zginiemy z głodu? Przecież ziemia nie jest pustynią, jest przecież zamieszkała przez ludzi, których napewno większość jest z sercem życzliwym. Tu przynajmniej spać można jak kamień od 8-ej/ 20-ej/ do 6-ej rano; ludzie naokół są b. życzliwi, czasami dadzą pojeść; przetrwać tak można całe lata. Lecz tam, na tej milej Ukrainie nam żyć z a b r o n i o n o, więc nie chcąc nałożyć głową sukajmy miejsca, gdzie nam rozum i sumienie dyktuje!!

Namyśleć się trzeba zawczasu. aby potem nie żałować i nie uczynić sierotami najbliższych!! Długo tak przecież trwać nie będzie. Tu można p r z e t r w a ć, - tam, na Ukrainie można unieszczęśliwić najbliższych i zginać marnie. Inego ratunku nie ma jak wyjazd do Niemiec.

Gorzej, jak my mamy, nikt nie ma w okolicy, a jednak jestem zadowolony i zdrów!

Co myśli Marian? Jaki adres stryja Zygmunta? Czy Mama b. tęskni jeszcze? Muszę kończyć - Wasz syn Stefan.

Kuriata Leonard, Peremohi 67, Kostopol, Rowno, Wolhynien."

... " Artschau, dnia 26 czerwca 1943 roku, środa.

Drodzy Rodzice!

Do Bronka Bielawskiego pisała Gienia. Natychmiast on mnie o tym powiadomił podając jej adres: Telgte, Kreis Muenster, Ferth, Arbeiter Lager Nr. 78.

Pisałem zaraz do niej. Później otrzymałem od Janki Kuriatówny pocztówkę, a na drugi dzień od Gieni. Pisz, że ma dobrze, praca jest czysta i lekka. Nie wiem co o tej "dobroci" wszystkiego sądzić? Gdyż Gienia i Janka o tym piszą. Są one w lagrach, pracują w fabryce amunicji około 100 km od granicy francuskiej. P. Rut otrzymał już paczkę z żywnością z Markowej. Trochę sucharów i ciastek oraz suszony ser. Obdzielili nas wszystkich tym serem.

Obecnie pracuje mi się dobrze, nawet jest trochę wesoło w kupie, gdy są znajomi ludzie. A to zupełnie co innego. A szczególnie nieocenioną jest obecność p. Ruty. Zawsze umie odpowiednio zrobić i poradzić. Gdyby tylko lepsze żarcie, i więcej! Sama kartofla i świńska polewka nie wystarczą dobrze do roboty. Gdyby nie zapasy Wujenki, marnie bym teraz wyglądał! A tak, to się jeszcze daje sobie z tym radę.

Kradniemy trochę z kuchni po parę kartofli, Wujenka trze: na zmaistrowanej przez Tomka "tartce" i piecze kilkanaście placków na 3-ech. Strasznie to pomaga. Czym dalej i dłużej tu przebywamy, coraz lepiej sobie radzimy!

Pisałem w ostatnich dniach do Mariana do Kostopola. Proszę teraz opisać dokładnie, co Tatusь myśli czynić dla ratowania życia przed niebezpieczeństwem. Bo to jedno teraz nie daje mi spokojnego snu. Stale śnią mi się jakieś okropne sny, że wyście wrócili na stare miejsce, i Was wymordowali!

Owe "całe" gospodarstwa, to mogą być zwyczajna pułapka na naiwnych i wierzących i mł. Bardzo proszę abyście nie dali się nabrać!

Otrzymałem list i od Nulcia Urbanowicza, jego adres: "Pionki, ueber Radom Sp. "Proch za Torem", Generalgouvernement". Jeżeli zmieniliście miejsce zamieszkania, jak pisała Gienia, to proszę go podać jak najprędzej. Utrzymuję obecnie stałą korespondencję ze wszystkimi krewnymi i znajomymi.

Z braku czasu muszę kończyć i zasyłam życzenie od siebie i wszystkich abyście Wy i wszyscy znajomi i krewni szczęśliwie przetrwali tę burzę, Wasz syn - Stefan.

An Herrn Kuriata Leonard, Kostopol, Post Kostopol, Kopernika 67, Wolhynien.

... "Artschau, dnia 11 lipca 1943 roku.

Kochany Tatusiu i Mamo oraz Toniu i wszyscy!

Nie piszę tak długo dlatego, że nie miałem możliwości dostać pocztówek. Listów wysyłać nie można. Wysłałem jeden na próbę - zwrócili mi go niedługo. Dopuszczane są tylko pocztówki. Teraz mam większą ilość więc też napiszę wszystko obszerniej...

... Tatusz wysłał owe dwie paczki smalcu, a ja ich jeszcze nie mam. Przeszło 2 miesiące! Można także wysyłać większe paczki przez "Arbeits Amt", ale one też będą szły bardzo długo. Nasz "Arbeits Amt" jest gdański. Pisałem już do Mietka aby, o ile może, przysłał mi jakieś obuwie; tu dostać go można ale tylko na punkty, których nie mam i myślę, że nie będziemy mieć.

Pytał się Tatusz w ostatniej kartce z 1 czerwca czy mogę kupić sacharyny, czy pieniądze wymieniłem już i tp. Otóż kupić tu można bez karty tylko zapalek i trochę innych drobnostek, reszta wszystko na kartki, których nie mam. Dostałem tylko razem z p. Rutem kartki na tytoń / 50 g na miesiąc /. Za tytoń można dużo czego tu dostać. Mój tytoń już dawno wyszedł, resztę oddałem p. Rutowi, gdyż on nie może bez tego się obejść.

Pieniądze, ile wzięłem z domu prawie tyle samo mam i tu na miejscu, gdyż nic nie można było rozmienić, nawet tamtejsze marki. Tu pieniędzy dość, gdyż nic za nich nie można dostać kiedy się nie ma kartek.

Co do mego kalectwa i jak sprawa z tym stoi to zaraz napiszę: w Kostopolu w Arbeits Am-cie pokazywałem rękę, tam powiedzieli, że mogę pracować dobrze lewą ręką, i więcej nic. W Równym była komisja lekarska, lecz nic szczególnego. Pytali tylko, czy nie chory na jakieś choroby ciężkie i stałe. W Kiwercach było tylko mycie się i dezynfekcja. Dopiero w Gdyni było ogólne badanie ciała. Tu, już będąc prawie na miejscu, nie wysuwałem się ze swoim kalectwem. Pracowała prędko ta "komisja" w której mało kto był zwolniony, tylko zupełnie niezdatny do pracy.

Był także zostawiony tu i Toluś p. Ruta, gdyż miał trochę gorączki; wiadomo, bo mały i po tak długiej podróży. Gdy będąc już na miejscu przy pracy na burakach /przerywanie/, gdzie trzeba było trzymać gracę jedną ręką nie nadażalem za ogólną kolumną robotników, co widząc szef zabrał mnie do **roboty** na podwórze. Tu robiłem różne roboty: sprzątanie podwórza, równanie gnoju na kupie i tp.

Gdy potem przyszło gracowanie, gdzie większą gracę trzyma się dwiema rękami robota poszła lepiej. /Balej w drugiej kartce/. Obecnie z pracą idzie możliwie. Wujenka gotuje z rana jakąś zupę szczawiową lub kartofle polane odrobiną tłuszczu, i tym prawie przetrzymuje się siły dobrze do wieczora, gdyż obiad składa się albo z brukwi i kartofli na wodzie, albo z kapuśniaku.

Brukiew to wyrzucamy zaraz przez okno, gdyż jest niemożliwa do jedzenia.

Teraz opiszę trochę o listach, które otrzymuję. Koresponduję często z Gienią i Janką, których adres: "Ostarbeiterlager Verth 78, Kreis Muenster". Niedawno Wujenka otrzymała list od Tedzi Pulikowskiej, która jest tak samo gdzie i Gienia z Janką. Piszę, że powodzi im się dobrze. Jedzenie mają normalne, prawie takie jak w domu. Pracują od 7-ej do 6-ej/18-ej/ wieczorem. W sobotę do 13-ej. Praca, jak piszą b. lekka i czysta. W wolnych godzinach przychodzi do gospodarzy, gdzie za pracę dostają jedzenia. Jest im nawet trochę wesoło, gdyż jest dużo rodaków w tych lagrach. W przeszły poniedziałek otrzymałem list od Michalczuka, zawiązuję z nim coraz serdeczniejsze stosunki. Prześle mi trochę swoich fotografii.

Otrzymałem list także od Nulcia Urbanowicza, który pracuje koło Radomia. Piszę często Broniek i Zygmunt Bielawscy. Wczoraj otrzymałem pocztówkę od Bronka Lisieckiego; pisze, że jest mu b. dobrze, pracuje we fabryce obuwia. Adres: "Bronisław Lisiecki, bei J. Oberste, Grevenbrueck, Westfalia".

Mietek teraz jakoś dłuższy czas nie pisze. Nie wiem co to znaczy? Tadzio już zdążył przysłać 2 paczki i kilka listów... kartę tożsamości, a od Mietka mam tylko jeden list i to nie bardzo długi! Pisałem także już do Edka Dziekońskiego, ale odpowiedzi nie mam. Przysłał mi także wiadomość, że Tatusz porucił zamiar osiedlenia się nad Bugiem i zostaje w Kostopolu!

Proszę bardzo jak najprędzej mi odpisać! Jak Wam wszystkim żyje się na Wołyniu. Jak czuje się Marian z Ciocią, Kazik z Zosią i wszyscy? Żegnam i dowidzenia, Wasz syn Stefan.

An Kuriata Leonard Post Kostopol, Kopernika 67, Wolhynien".

!..Artschau, dnia 12 lipca 1943 roku.

Kochany Mietku!

Coś już jakoś dawno nie mam od Ciebie wiadomości. Byłem wczoraj tj. w niedzielę u Sobieskiego, około 2 km od naszego folwarku i przeglądałem tam wszystkie kartki i listy, które pisał Kazik Cybulski. Pisał prawie dwa razy na tydzień, i jak obszernie! Od Ciebie mam tylko ów pierwszy list.

Nie wiem, może dzisiaj o 9-ej listonosz przyniesie listy. Trzeba będzie czekać aż do 12-ej godziny gdyż wcześniej żadnej przerwy nie będzie. Pracujemy obecnie przy pieleniu buraków. We czwartek i piątek wykopaliśmy do południa przeszło 1,5 ha wczesnej kartofli, którą szef od razu z pola sprzedał do Gdańska. Myśmy kopali a tu zajeżdżał na pole samochód i zabierał stojące worki, wyjeżdżał na szosę asfaltową i...do Gdańska.

Wczoraj była we folwarku wycieczka szkolna. Oglądała szczegółowo cały folwark. W sobotę trzeba było dobrze nabiegać się i nasłuchać wrzasków naszego szefa, aby mu dogodzić z uporządkowaniem całego folwarku specjalnie

dla tej wycieczki. Podwórce wyglądało jak cacko, czyste i uporządkowane. Po wykopanej kartofli zaraz zaorano i zabronowano, po czym sadziliśmy brukiew. Ziemia tu jest wykorzystana do ostatnich granic. Tak samo i czas. Słyszę dzwonek; trzeba rzucać piśmiennicę.

W tej chwili jest "frei Abend" /fajerant/ tzn. koniec roboty. Pośpieszam prędzej do pisania. Dzisiaj otrzymałem od Ciebie długi list, za który nie wiem jak dziękować. Czekałem na ten drugi list przeszło pół miesiąca! Nie uwierzysz z jaką niecierpliwością go oczekiwałem! Razem z tym listem otrzymała i Wujenka list od p. Krzysztofiakowej, która znajduje się blisko belgijskiej granicy. Pisze, że ma nawet zupełnie dobrze z życiem, nawet mając zapas tytoniu kupowała synom dobre obuwie. Otrzymali także i ubrania robocze.

A są w takim samym folwarku jak i my! Wszystko zależy od szefa. On jest tu panem życia i śmierci robotnika! Nikt już nie mógł trafić gorzej niż my. Nasz szef jest człowiekiem z piekła rodem! Od najstarszego robotnika do dzieciaka małego, każdy drży przed nim, jak przed wilkiem.

Przywiózłszy nas z Gdańska z "Arbeits Amtu" do ostatniej stacji /Straschin-Prangschin/, wpakował nas na wóz ~~z~~ gnoju, wcale nie oczyszczony tylko zaschły. Myśleliśmy, że otrzymamy jakieś możliwe mieszkanie, czy coś podobnego. Ujrzelśmy przed sobą wprawdzie murowany / budynek/ od dołu, ^{ale} strych szalowany spróchniałymi deskami, odrapany, czarny od brudu!

Ze dworu widać, że przez drzwi wciąż wydobywa się dym ze środka, gdyż drzwi i mur do góry są zupełnie pokryte sadzą. Wchodzimy do środka: wprost nas zieją czarne otwory starej bez blach, ogromnej płyty niemożliwie zakurzonej i zakopconej. Sufit i ściany zupełnie czarne od sadzy. Na prawo drzwi też czarne. Cała izba zastawiona tapczanami i piętrowymi "betami" zbitymi naprędce przez stelmacha z desek.

Zwalamy nasze walizy i tłumoki na podłogę, po której nawet trudno chodzić, tak jest brudna i zawalana rupieciami. Po kątach pełno czarnej, wiszącej nisko pajęczyny, w szparach i dziurach po gwoździach aż roi się od pcheł i pluskiew.

Kilka dni musieliśmy spać na zwalonych na kupie tłumokach. Wrażenie takie jakby ktoś dał w łeb siekierą! A zaraz na drugi dzień - do roboty! Szef chciał wypędzić zaraz, tego samego wieczora do roboty, ale jakoś się postawiliśmy trochę ostrzej i ... dał spokój. Chcąc trochę kulturalniej spać musieliśmy poświęcić następną niedzielę na ogólne sprzątnięcie! W tych, tzw. "łózkach", było jeszcze więcej pcheł i pluskiew aniżeli razem wziąć na podłodze i ścianach! Mieliśmy tę robotę do samego wieczora niedzielnego.

W miesiąc później dostaliśmy od szefa trochę wapna, gałęzi na ogień, i ja-koś Wujenka, z pomocą drugiej jeszcze kobiety i chłopca, wybieliła akuradni

i wyczyściła całą izbę. "Bety" wyparzone i oczyszczone. Ale wszystko jedno i teraz są pluskwy!

Mieszka tu razem 20 osób, w tej izbie około 7 m długiej i 5 m szerokiej, oraz 2,5 m wysokiej. Podłoga drewniana, jeszcze cała. Stoi na niej 5 "betów" ~~partenowych~~ i 3 jednopiętrowe, tzn. razem jedenaście "łóżek". Przy dwóch dziurawych oknach stoją: jeden stolik i większy stół, także z krzywych desek. Stoi na nich pełno blaszanek po konserwach angielskich /wygrzebanych na śmietniku/, garnków, kubków, paczek i wszelkiego rodzaju misek i talerzy.

Zaraz za drzwiami jedno duże pudło stojące, imitujące politurowaną szafę w której gnieździły się myszy! Druga stoi jakraz w drugiej drzwiach, prowadzących do drugiej izdebki; tam mieszka rodzina złożona z 4-rech osób, będących tu 1,5 roku. Owe "szafy" aż trzeszczą od ubrań powpychanych tam siłą. Wujence myszy zdążyły już podjeść poszewkę w jednym palcie. Gdy wszyscy zejść się w jednej izbie, to aż obrócić się nie można, tak ciasno!

Pod łózkami pełno u każdego różnych rupieci, pudełek i... kradzionej kartofli. Gdyby nie ona, byłoby źle! Niedawno szef przywiózł z Gdańska jeszcze 6-iu chłopców ze wschodniej Ukrainy. Tym to jeszcze gorzej, chyba że więcej miejsca mają na strychu i powietrza, ale ono jest zawsze zakurzone dymem z rannego gotowania kartofli i pieczenia placków kartoflanych.

Opiszę Ci teraz szczegółowo nasz folwark i jego eks-właściciela: ziemi średniourodzajnej około 250 ha, prawie wszystka ~~oraz~~, lasu sadzonego około 50 ha, łąki sztucznej około 4 ha. Sam folwark składa się ze stodoły takiej, że tam wlaźłoby 10 naszych stodół, kryta papą, chlewa krowiego murowanego z cegieł i grubości 70 cm, długości przeszło 70 m. Stajni na konie i świnie, też podobna wielkość, szopy na dwa traktory i magazynek na cement, murowany; wreszcie 2-wu piętrowego magazynu na zboże i pańskie przybory do jazdy tzn. na samochód, brykę, motocykl i miejsce na pańskie konie.

Na podwórzu przechodzą słupy z przewodami elektrycznymi do stajni, obory, magazynów, kuchni dla robotników, i wreszcie do pałacu. Pałacyk średniej piękności: jednopiętrowy, cały biały, kryty specjalną, jakąś czarną dachówką. Budowany jest w prostokąt. W jednym rogu szeroka wieża dwupiętrowa, ze specjalnym cienkim szpicem, widnym z daleka. Koło pałacu śliczny, stary park, utrzymany jak najstaranniej przez /ogrodnika/ szefa. Razem, obok pałacu, stoi pańska kuchnia, do której chodzimy po /wydawany/ chleb, margarynę, marmoladę, cukier, mydło i sodę. Chleba, jak wiesz, otrzymujemy 1 kg na 2 dni tak, że jak jest głód / a wiem dobrze, co on znaczy! / można go naraz zjeść - i marmoladę i cukier! Margaryny to ledwie że wystarczy na smarowanie kromek chleba do kawy. Dużo mi pomaga owa ciężka waliza Wujenki!

W kuchni dla robotników mieszkają: na strychu - 15 Anglików, jeńców, wachman, nasz przodownik przy pracy oraz 2 inspektorów praktykantów /Niemców/.

Mieszka tu także i dworska kucharka. Nasz szef, jak pisałem, jest skończonym draniem, że tak się wyrażę, i strasznie skąpym dla robotników, i nerwowym. Że jakiś człowiek nie rozumie co do niego się mówi po niemiecku, gotów jest zaraz go obić laską czy nahajką, którą nosi stale ze sobą i poszturchuje robotników. Za byle co, gotów zaraz słać po policję. Każdy tu drży przed nim.

Sam folwark jest własnością właściwie państwową, tylko narzędzia i inwentarz żywy są jego własnością, jego także zboże ale musi płacić grubą dzierżawę. Więc też jak plon lepszy, to i dla niego lepiej. Dlatego pędzi nas niemiłosiernie do roboty polnej! Sam bywa na polu po 2 razy na pół dnia, sprawoznaj wszystko, jak pracujemy. Trzeba dobrze uważać aby nie złapał, że siedzimy lub stoimy parę minut na polu. Raz złapał, że stali na polu, ze złości nie wiedział co robić. Z początku chciał wszystkich "powiesić", potem myślał zostawić pracować w niedzielę, w końcu ochłonawszy, zostawił tylko na pół godziny po normie pracy. Oddychamy tylko wolniej, kiedy odjedzie na parę godzin do folwarku swej matki, i tam znowu pędza robotników. Wszyscy zwą go "der alte Teufel" /Stary diabeł/. Zupełnie zasłużył na to, a i jeszcze więcej!

Ale, co nie można mu zarzucić to, że gospodarz z niego pierwszorzędny. Wszystko idzie jak w zegarku. Ani jednej sekundy nie można zmarnować, o byle co, byłoby głupstwo, zaraz podnosi wrzask i łaje, kogo popadnie!

Ma piękne zboża już dojrzewające, piękne buraki, marchew i tp. Maszyny przygotowane już do żniw.

Teraz opiszę cokolwiek o sobie: język niemiecki już dosyć rozumiem, xxxxx a z biegiem czasu to i mówić się nauczę. Co nie rozumiem zaraz się pytam tu-tejszych Polaków, i wszystko mi wytłumaczają. Piszesz, Mietku, że brakuje Ci książek do czytania. Otóż mnie, to z tym jest jeszcze gorzej niż z jedzeniem, tzn. mam zupełny głód z książkami. Nie można opanować chęci do czytania. Mam owe trzy książki polskie przy sobie, i chowam je jak skarb! Jeżeli chodzi xxxxx o brak książek dla Ciebie, Mietku - to przecież zostawiłem w Kostopolu u Kazka i Mariana parę ładniejszych książek. U Mariana czy Lidka zostawiłem wszystkie tomy "Nędzników", a bardzo radzę Ci je czytać, ile razy tylko możesz, są to przepiękne książki!

Prosiłem Cię dawniej abyś przysłał mi kiedyś w liście parę fotografii na pamiątkę, o ile je posiadasz dużo, to ponawiam prośbę. Koresponduję obecnie często z Michalczukiem, który pisze trochę nowin ze swych okolic. Bandyci i tam już nie dają żyć spokojnym ludziom. Zupełnie to samo dzieje się co u nas. Pisze, że i on sam z rodziną nie jest pewny życia. Zawieram z nim bliższą znajomość i stosunki. Fajny z niego chłopak! Przyśle mi swoje fotografie.

Za pracę otrzymuję wypłaty 12,5 marki miesięcznie tak, że papieru do listów i bibułki można kupić. Więcej nic, jak tylko na kartki i punkty, których nie mam. Podaję Ci adres Edka Lisieckiego: Edmund Lisiecki bei G. Pahlmann

in Koesemark, Post Koesemark, Danzig Land". Za adres Lidka bardzo dziękuję, zaraz napiszę mu pocztówkę.

Wczoraj posłałem 2-e pocztówki do Tatusia do Kostopola. Paczek, które wysłał Tatuś nie otrzymałem, może zginęły w drodze? Przechodzi już półtora miesiąca od ich wysłania, wcale ich nie mam.

Gdy mam większy głód i brakuje mi chleba, przychodzę do pańskiego woźnicy /"Kutscher"/, któremu dobrze się powodzi, i pomagam trochę przy rąbaniu drzewa; otrzymuję za to 2 kromki chleba posmarowane smalcem. Pomagam im tylko po 7-ej/ 19-ej/ godzinie gdyż kiedy indziej czasu nie mam. Ale cóż to znaczy ta kromka?

W nocy śpię spokojnie cały czas. Czasami tylko widać przez okno jak ptaszki latają, a ich próbują łapać. Nad nami nie latają. Tytoń jest tu bardzo drogi. Za przysłanie papierosów z góry bardzo dziękuję.

Kochany Mieciul Proszę abyś nie pisał Mamie, że jest tu tak źle z wyżywieniem i mieszkaniem. Wystarczy Jej i tak zmartwienia i trosk. Napisz mi czy Oni tam w Kostopolu są pewni życia? Jeżeli nie, to nakłaniaj Ich do wyjazdu do Równego. Chcę być spokojnym o Ich życie. Nie masz pojęcia z jaką niecierpliwością oczekuję paczek od Ciebie! Gdyby nie Wujenki zapasy, byłoby źle!

Na tym kończę, posyłam moc pozdrowień i życzenia wytrwania do końca Mamie Tatusiowi, Toni, Kazikowi, Zosi z dziećmiakami, Cioci Helenie z Marianem, Cioci Elżbiecie z Leonardem i wszystkim znajomym.

Twój brat - Stefan. Pisz częściej do mnie, bardzo o to proszę!"

... " Artschau, dnia 18 lipca 1943 roku. Niedziela.

Kochani Rodzice!

Wczoraj tzn. w sobotę otrzymałem pocztówkę, którą tak długo oczekiwałem. Bardzo dziękuję za to! Jednocześnie oznajmiam, że Tatuś może posyłać paczki i listy do Mietka. Ta ostatnia pocztówka od Tatusia szła do mnie przeszło 20 dni. Kupiłem sobie trochę więcej pocztówek, kopert i papieru, mogę więc częściej pisać do Mietka, Gieni i Janki, do Gubernii i tp.

P. Sobieski, który żyje blisko nas otrzymuje bardzo często listy od Kazika Cybulskiego, który jest obecnie w Zdołbunowie. Pisze, że kilka wsi ukraińskich w okolicy Kostopola zostało spalone. Wujenka otrzymała 2 buteleczki spirytusu od Tadzia z Satyjowa. Wymieniła jedną na mąkę i 5 jaj ^{czyli} teraz dla nas zupę i placki. Wujenka opiera mnie, siebie i Tomka, łata, szyje, obiera kartofle i chodzi na pole. Wysłaliśmy paczkę dla Adeli, gdyż o to prosiła: moje prześcieradło, /swoją/ sukienkę i parę drobiażków. Otrzymałem kupę listów od Janki i Gieni w piątek. Piszą, że pisały do Kostopola do Janka i Mietka, ale odpowiedzi nie mają. Ja już mam wiadomości i z Kostopola, od Mietka, Tadzia i od nich dużo razy. Z Gubernii też mam drugi raz odpowiedzi od Stacha:

/tak prosił aby w ten sposób nazywać/.Zawijazuję z Nim bliższe stosunki braterskie.Spodziewam się także drugiego listu od Nulcia Xspod Radomia.

Od Edka Lisieckiego także.Nie mam tylko wiadomości od Antosi Dziekońskie z Równego.Nie wiem co to znaczy?Mietek pisze, że przyśle papierosów, bardzo są tu potrzebne.Można wymienić na żywność, i jeszcze coś więcej.

Ja jestem zupełnie zdrów, opalam się na polu w czasie grasowania.Żniwa już zaczynamy.Jak tam w naszych stronach ze żniwami? Czy Tatuś odwiedzał nasze strony? Proszę powiedzieć Zosi i Kazikowi aby mi także napisali coś od siebie, - z Wielunia żadnej wiadomości nie mam.Może zły adres był?Proszę mi go przysłać wyraźnie, to napiszę jeszcze raz.

Pozdrawiam Wszystkich krewnych i znajomych, Mariana z Ciocią, Leonarda z Ciocią.Jak się czuje Mama i Tonia?Stefan.Dowidzenia! Będę pisać często do Was przez Mietka!

PS:Proszę odwiedzić w Kostopolu/ o ile tam jest/ Józefa Kosińskiego, ojca Bolka Kosińskiego na Peremohi/nr.37/, blisko Was.Bardzo mnie o to prosił, gdyż długo wiadomości nie ma z domu!

An Kuriata Leonard, Kostopol, Peremohi 67, Wolhynien.

...

... "Artschau, dnia 21 sierpnia 1943 roku.

Kochani Tatusiu, Mamó i Toniu!

Wczoraj otrzymałem od Tatusia pocztówkę datowaną z 21 lipca 1943 roku już z Brześcia.Podąłem zaraz adres do Gieni i Janki.Wiecie już pewnie o śmierci Mietka w dniu 22 lipca 1943 roku w Satyjowie pod Baszkowicami koło Dubna!? Przysłał mi tę wiadomość Tadzio w tydzień po Jego śmierci, gdy byliście już w Brześciu.On był powalony bandycką kulą! Więcej o tym nie mogę pisać!

Zdrowie mi dopisuje jak nigdy, żniwa skończone wczoraj.W niedzielę napiszę więcej, teraz nie mam zupełnie czasu.Proszę opisać o p.Weronice Kuczyńskiej abym dobrze wiedział wszystko o Niej.

Narazie całuję wszystkich i dowidzenia, Stefan.

An Frau Kuczyńska Weronika, Post Brest Litowsk, Generalstrasse 85."

... "Artschau, dnia 22 sierpnia 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Otrzymałem od Tatusia pocztówkę z Brześcia datowaną 25 lipca 1943 roku w piątek.W sobotę zaraz wysłałem jedną zwyczajną pocztówkę ale obawiam się, że taka nie dojdzie, więc piszę podwójnie.O śmierci najukochańszego brata Mietka wiem już dawno, bo w 2 tygodnie po tym.Gdyby nie kochany p.Rut, który mnie pocieszał i ratował jak mógł tylko, nie potrafiłbym tego znieść.Dobrze, że Wyście chociaż zdołali przybyć do Brześcia.Jak tylko

Tatus może proszę się starać o wyrwanie mnie stąd, chociaż także ciężko będzie opuszczać p. Ruta i Wujenki! Jeżeli tylko to jest możliwe to jak najprędzej. Próbowałem to uczynić przez Gienię i Jankę aby wyjechać tam do nich, ale było już za późno! Może i z tym tak samo będzie? Przesyłek smalca i sadła / jedno pudełko jest! / nie otrzymaliśmy wcale, tak samo małego kawałka słoniny. Wszystkie inne są. Pewno kradną tłuszcz na pocztę lub w drodze, bo Zygmunt Lisiecki w Gdyni w lagrze był okradziony/ cała beczka/. Jestem zdrow i dobrze wyglądam - żniwa już skończone.

Koresponduję z Michalczukiem/ mam od Niego fotografię/, z Romkiem Krzysztofakiem, z Lidkiem, z p. Rymarczykiem w niewoli niemieckiej, z Gienią i Janką, z Nulciem Urbanowiczem.

Brakuje mi spodni! Proszę szczegółowiej opisać p. Weronice Kuczyńskiej. Pozdrowienia z Niemiec dla wszystkich, Stefan!

PS. Czy to prawda, że Kostopol padł!!!?. Co z Ciocią i Kazikiem?!

An Kuriata Leonard, oder Kuczyńska Weronika, Generalstrasse 85, Brest Litowsk.

..." Artschau, dnia 30 sierpnia 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Wczoraj otrzymałem drugą pocztówkę z Brześcia, w której Tatus podał dokładnie szczegóły śmierci Mietka. Napiszę tylko tyle o Nim, iż nigdy nie kochałem głębiej, szczerzej i tak mocno /nikogo/, jak Jego, śp. Mietka! To tylko chciałem powiedzieć wszystkim. Był **On** j e d e n, i nikt mi Go więcej nie zastąpi!

Dzisiaj w czasie obiadu przybył do nas Teofil z Koesemarku odległego od nas około 25 km. Radość była niezmierna. Postaramy się z p. Rutem odwzajemnić im wszystkim tym samym. Wujek /Lisiecki/ wcale nie pracuje. Ciocia pomaga przy kuchni ale ma trochę wolnego czasu, może więc oprząć i obłatać wszystkich.

Warunki mieszkaniowe u nich były z początku gorsze nawet od naszych, obecnie poprawiają się o tyle, że wykańczają nowe izby dla nich na zimę. Zdaje mi się, iż my zostaniemy tu w Artschau także przez zimę z powodu usunięcia przez władze owych Anglików - jeńców!

Dzisiaj także posyłam 2 paczki owego tytoniu z Kostopola dla Gieni, którą proszę o postaranie się tam mi spodni do roboty, gdzie, jak pisała, może uda się Jej kupić za to. Myślę, że z owym powrotem nic nie będzie, gdyż przychodzi teraz kopanie kartofli i buraków, a ludzi brak.

Otrzymałem w tym tygodniu list od Nulcia. Zawiadomił mnie o śmierci Mietka. Najlepsze pozdrowienia dla Was, p. Weronice i Jej znajomym, Stefan.

PS. Co z Kazikiem i Zosią? Co z Marianem i Ciocią?

An Herrn Kuriata Leonard, Brest Litowsk, Generalstrasse 85/6

... " Artschau, dnia 10 września 1943 roku.

Kochana Zosiu!

Dzisiaj otrzymałem od Ciebie jedną pocztówkę z dnia 13 sierpnia 43 roku. Drugą, o której piszesz, nie mam. Myślałem, że już wyjechaliście gdzieś z Kostopola, więc też nie pisałem tam - zresztą, jeżeli nie chcecie powiększyć naszej rodzinnej żałoby, to poprostu nakłaniam Was do natychmiastowego opuszczenia Kostopola, i w ogóle tych okolic!

Nie wiem, dlaczego Marian jeszcze tam siedzi z Ciocią Heleną. Otrzymałem od Niego pocztówkę zawiadamiającą o śmierci Micia - dzisiaj dostałem także pocztówkę od Edmunda Lisieckiego. Píše, iż stryj Zygmunt także oddał Bogu ducha przez tych bandytów! Tak - kto tam zostaje jeszcze, położy swoje głowy!

Zdrowie mi doskonale dopisuje, praca ciężka, ale wszystko można wytrzymać jest wesoło z ludźmi. Bardzo proszę o fotografię! Koresponduję z Gienią i Janką, Tatusiem z Brześcia, z Nulciem Urbanowiczem, z Michalczukiem, Lidkiem, Bronkiem Bielawskim, z p. Rymarczykiem - moim nauczycielem, z Romkiem Krzysztofiakiem, z Marysią Wyczarską i in.

Co się dzieje z Anielą /Lucykową/ i babcią Barową! Noce śpię doskonale. P. Rut jest stelmachem, i wszyscy są zdrowi - Guścia pracuje jak dorosła! Całuję Was mocno - Stefan z Artschau. Pozdrów Mariana i Ciocię ode mnie! An Łukomska Zofia, Kostopol, Polowa 4, Post Kostopol, Wolhynien."

... " Artschau, dnia 12 września 1943 roku. /otrzymano 27 października 1943 r/
Kochana Ciociu, Wujku i Toniu!

Piszę do Was tę kartkę, bo mamy wolny czas i chcemy Was choć trochę pocieszyć. Wiemy sami, że dusza i serce zapomnieć nie może o Nim, jakim On był! Ale my bezsilni nic na to poradzić nie możemy. Jedyne się modlić, prosić Boga o zdrowie i przetrwanie. To napewno cierpiących Bóg pocieszy!

Nie wiadomo gdzie pojechał Tadzio. Żeby chociaż On nam pozostał, wytrzymał wszystko! Dotychczas jeszcze żyje. Nie dawno był list. Tadzio nie jest na froncie. Pisał, że z jedzeniem nie ma biedy. Przysyła nam papierosy, które tu się bardzo przydadzą, bo tu tego brak. Kupujemy za nie chleb, jajka, mąkę, co się tylko da. Głodu jeszcze nie mamy. Kombinujemy jak możemy tak, żeby móc za tym pracować. Kartofli jest pod dostatkiem.

A o Stefana: to niech się Ciocia nie martwi, jak będziemy żyć, to on przy nas nie zginie. Jemy razem. Ja z nim śpię razem, i razem pracujemy to i pomagamy sobie wzajemnie. Mama gotuje teraz na kuchni. Trochę kombinuje i lepiej gotuje.

Kończę, całujemy Was serdecznie. Pozostaje Wam zawsze zyczliwa - Wujenka, Tomek i Stefan.

Kurjata Leonard, Brest Litowsk, Generalstrasse 85/5 "

... " Artschau, dnia 27 września 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Coś długo nie mam od Was odpowiedzi na moje 3 ostatnie pocztówki do Brześcia. Pracuję przy kopcach kartofli z dwoma Anglikami. Praca trochę ciężka ale przecież już moje siły zahartowały się do takiej pracy, więc pracuję jak dorosły.

Otrzymałem paczkę suszonego chleba od Marysi Wyczarskiej z którą koresponduję. Od Antosi i Edka Dziekońskiego nie mam żadnej odpowiedzi! Dlaczego!? Wujenka wciąż się dziwi nad moim zdrowiem - obecnie z tym wszystkim zupełnie w porządku. Teraz kartofle kończymy. Za miesiąc będzie koniec polnej roboty, a wtedy nie wiem co dalej, - czy tu zostaniemy, czy na Arbeits Amt.

Otrzymałem pocztówkę od Zosi z Kostopola nie dawno. Czy to prawda iż stryj Zygmunt... (skreślone i zamazane dokładnie przez niemiecką cenzurę)! /! Wiem to od Edka Lisieckiego, któremu to podał Leonard Bielawski z Kostopola. Co z moim powrotem do Brześcia? Gieni i Jance nadal powodzi się dobrze - Janka pracuje teraz na maszynie, Gienia na starym miejscu, wieczorem się spotykają.

Co się dzieje w Kostopolu - czy Ciocia i Marian nadal tam!? Tak samo i Zosia z Kazikiem? Czy może Tatuś nakłonić ich do wyjazdu stamtąd? Pozdrowienia dla Was, Toni, p. Weronice i wszystkim znajomym. Czy stryj Kozłowski razem z Wami?

Całujemy - Wujenka, Stefan, Tomek. Pozdrowienia od P. Rutów!

Kuriata Leonard, Brest Litowsk, Generalstrasse 85/6."

... "Dnia 18 kwietnia 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Powodzi mi się "świetnie", jedynie martwi mnie to, że nie wiem co się dzieje w domu. Jestem poza Równem, - gdzie, tego nie wolno mi pisać! Zajęcie nasze ogranicza się do jedzenia, spania i tp. Niedaleko /kwatery/? płynie rzeka w której łapiemy ryby, - okolica dosyć ładna. Piszę w liczbie mnogiej, gdyż jesteśmy razem: ja, Janek i Tadzik...

... Z braku zajęcia fryzjeruję trochę, za co /koledzy/ są mi wdzięczni bardzo.

Ubranie swoje odesłałem, przy sposobności przyślę Toni ebonitowy grzebyk, gdyż posiadam dwa, może się przyda. Napiszcie, co u nas słychać, kto wyjechał do Niemiec, kto jest w domu, jak Tatuś roztrzygnął sprawę z gospodarstwem, czy Stefek dał wiadomość o sobie? O ile są koperty i papier proszę mi przysłać, gdyż tu nie ma gdzie kupić.

Na zakończenie załączam pozdrowienie Cioci Helenie, Dziekońskim i całej Hipolitówce. Kochający Was Mietek. Pisząc do mnie oddawajcie listy dostawcy

moich listów, gdyż to przez pocztę nie chodzi! Znaczek niepotrzebny.
Kurjata Leonard, Kostopol, Polna 4 / dom p. Łukomskiego/:"

... "Satyjów, dnia 4 czerwca 1943 roku.

Kochani Rodzice!

Kartkę od Tatusia otrzymałem 3 czerwca 1943 roku, jest to druga, w poprzedniej pisał Tatuś, że Gienia wyjeżdża do Niemiec, właśnie wtedy Janek był w Równem i ze wszystkimi się widział. Gienia już pisała do mnie ze Lwowa, otrzymałem kartkę 23 maja 43 r. Nic ciekawego nie pisze.

Janek otrzymał od Janki 3 czerwca 43 r. z Krakowa - pisze, że w Przemysłu przechodzili przez badanie lekarskie - potem ma pociąg w kierunku na Częstochowę. Nie pisałem od razu gdyż myślałem, że uda mi się pojechać do domu, lecz niestety!...

Na Wniebowstąpienie jeździłem do Równego, byłem u Dziekońskich, dowiedziałem się od Antosi / jak również z kartki /, że wyjeżdżacie wszyscy do Włodzimierza z całym majątkiem na gospodarstwo rolne.

Nie wiem... - chciałbym dowiedzieć się szczegółów tego wszystkiego, ale mi się wydaje, że to wcale nie ratuje sytuacji, tam również bandyci grasują.

Przed odjazdem z Równego spotkałem się z Sawickim z Maszczy, który na drugi dzień miał jechać do Kostopola, można było nim posłać ubranie moje, ale zupełnie mi to z głowy wylazło, prosiłem Józka Łukomskiego ale on wi-
docznie zapomniał. Teraz nie wiem co z nim robić gdyż nie jestem pewien czy list Was zastanie, narazie będzie leżeć!...

Szkoda mi Stefka, nie da sobie rady, nie jest przyzwyczajony do pracy, a pracować trzeba dużo. Proszę mi przysłać jego adres jak również i Wujenki. Nie mogłem się zobaczyć z Tonią jak była w Równem, jak na złość nie było cały ten czas/możliwości/.

Gdy osiedlicie się we Włodzimierskim proszę napiszcie do mnie zaraz; piszcie trochę częściej i obszerniej, bo wiem, że moje listy otrzymujecie...
Pozdrawiam wszystkich Mietek."

... " Dnia 22 czerwca 1943 roku.

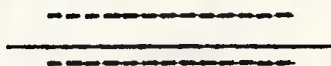
Kochani Rodzice!

Do Satyjowa przyjechałem w zupełnym porządku. Miałem szczęście w Równem / mieć okazję/ tak, że za pół godziny byłem na miejscu. Jeszcze w tym miesiącu pojedzie / z kolei / Janek, tylko musi poczekać aż jeden z kolegów - również z Kostopola - pojedzie i wróci... gdyż on jest już tu dawniej!...
... Życie upływa dosyć wesoło, jeździmy na częste wycieczki między ukraińskie wsie, gdzie urzą-
dzamy "potancówki", skutkiem czego spo-

k ó j m a m y w i ę k s z y. Od Stefka już otrzymałem list,prosi o fotografię z domu,jednocześnie otrzymałem od Lidka,prosi o wiadomości z domu - obydwom odpisałem.

Proszę i mi przysłać kilka fotografii,jedno z nich ogólne,co robiła p.Chamcówna / Zofia Chamiec-Breza/,będąc w domu zapomniałem o tym. Słę wszystkim pozdrowienia - Mietek!

PS.Od Gieni nic nie mam,Janka pisała z miejsca do Janka,są w fabryce wszyscy,mają robotę czystą i lekką."



... " Zdołbunów,dnia 23 lipca 1943 roku.

Kochany Mietku!

Dziś wyjeżdżamy do Brześcia na stałe.Właśnie jesteśmy na stacji z pakunkami,- Mamusia,ja i Tonia.Zabraliśmy ze sobą ubranie,pościel i żywność - ile się dało.Bagaż nasz się składa z 20 pakunków,dość dużo,mamy co do tragania,no ale trudno,jakoś się może dostaniemy na miejsce.

O 12-ej godzinie minut 40 mamy wyruszać ze Zdołbunowa w dalszą drogę. Ty chyba wiesz o tym,że jeździłem do Brześcia,no i tam znalazłem Weronikę Kuczyńską,która ma prywatny zakład krawiecki i pracuje sama tak,że Mamusia i Tonia mogą przy Niej pracować.Ona bardzo chętnia nas przyjmuje.

Ma mieszkanie/złożone/ z 2 pokoi i kuchni,narazie mamy się u Niej pomieścić,a potem może się da dostać osobne mieszkanie.Kazik Kozłowski też wyjeżdża - jutro będzie jechał.Zosia z Kazikiem i Marian z Ciocią zostają narazie na miejscu.

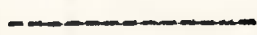
Profesor Pniewski z Warszawy wysyła po niego zapotrzebowanie.Nasz wóz sprzedałem,uprząż zostawiłem Leonardowi,który jeszcze dojeżdża do/spalonych/ Lipnik i zamierza zboże sprzątać / z pola/,o ile jemu to się uda!

Meble pozostawiliśmy na miejscu pod opieką Cioci Heleny i Cioci Elżbiety.Tam i świniak karmi się - Ciocia Elżbieta ma go dokarmić,i potem może się uda przyjechać po słoninę.

Wybacz,że powziąłem postanowienie wyjazdu bez porady z Tobą,ale przypuszczam,że chyba zaakceptujesz to postanowienie?Tymbardziej,że w przeszły piątek i sobotę H u t a S t e p a ń s k a p a d ła i resztki całą masą wyjeżdżają do Niemiec!

Adres Weroniki: Brześć Litewski,ul.Generalstrasse Nr.85 - Weronika Kuczyńska.

Po przyjeździe na miejsce zaraz napiszę.Sciskamy Cię serdecznie i pozostajemy - Mama,Tonia i Ja - Leonard Kurjata."



Na tym wyczerpały się dokumentalne listy i kartki pisane z okresu niewoli niemieckiej na ziemi gdańskiej pomiędzy 1943 i 1945 rokiem. Resztę wspomnień muszę niestety czerpać jedynie z pamięci. A pamiętam bardzo dużo, ponieważ ówczesna moja chłonna młodzieńcza pamięć utrwalała wiele ciekawych, moim zdaniem faktów i wydarzeń związanych z końcem drugiej wojny światowej oraz zaciętych walk obejmujących oblężenie, upadek "twierdzy gdańskiej" oraz uwolnienie przez wojska sowieckie i brygadę pancerną wojska polskiego, operującą na terenie Wejherowa, Rumii, Gdyni, Sopotu i Gdańska.

Miejscowość w której przebywałem w okresie władzy hitlerowskiej na ziemi gdańskiej była położona w malowniczej lesisto-pagórkowatej okolicy w pobliżu południowo-zachodnich peryferii Gdańska około 9 km od jego krańców.

Folwark znajdował się w odległości 1 km od dużej, ciągnącej się wzdłuż brzegów rzeczki Raduni, wioski Straszyn, łączącej się dalej z wioską o nazwie Prangszyn/ przynajmniej taka była nazwa niemiecka: Straschin-Prangschin/.

W dolinie rzeczki, która wiała się szerokimi zakrętami, biegła linia kolejowa łącząca Kartuzy, Kolbudy i Pruszcz Gdański z Gdańskiem. Obok biegła równoległe do toru wąska szosa, brukowana wówczas "kocimi łbami" - polnymi kamieniami, przecinająca Straszyn z zachodu na wschód. Natomiast z południa prowadziła "asfaltówka" ze Starogardu Gdańskiego przez Artschau, Straszyn, Borkowo, Maćkowo do centrum Gdańska przez przedmieście zwane Orunia/ po niemiecku "Ohra"/. Tuż za Straszynem od strony północnej asfaltówka rozgałęziała się: w prawo ~~przebiegała~~ ^{przebiegała} droga do Pruszcza Gdańskiego, prowadząca grzbietem doliny Raduni. W pobliżu Pruszcza, ujścia Raduni na Żuławy, czyli niższą część obszaru gdańskiego dolina ta gwałtownie rozszerzała się: południowe grzbiety tej wysoczyzny oddalały się w kierunku miejscowości Pszczółki leżącej w pobliżu Tczewa, a jeszcze wcześniej do dużej wsi zwanej po niemiecku Langenau/ Łęgowo/, natomiast północne garby skręcały w kierunku peryferii Pruszcza. Na początku najwęższego zbliżenia obu garbów tej wysoczyzny polodowcowej Niemcy wybudowali na Raduni tamę spiętrzającą wysoko wody rzeczki.

Obok tamy zbudowana była mała elektrownia wodna dostarczająca prądu elektrycznego do Pruszcza, okolicznych wsi oraz do samego Gdańska. W górę biegu rzeczki Raduni zbudowane były jeszcze inne tamy wraz z elektrowniami.

Krawędzie doliny porośnięte były pięknymi, starannie utrzymanymi lasami szpilkowymi oraz mieszanymi z przewagą buka, dębu i jesionu. Od strony zachodniej ciągnęło się wysokie pasmo wzgórz pojezierza Kartuskiego, pokryte gęstymi lasami, widne doskonale z tej miejscowości, z jego najwyższym wierzchołkiem zwanym Wieżycą o wysokości 329 m n.p.m. Pasma to oddalone było od Artschau około 26 km w prostej linii.

Na północnej krawędzi posiadłości folwarcznej wyrastał dość duży las

sosnowy, schodzący gęstym młodniakiem w dół aż pod zalew wodny utworzony przez tamę biegnącą w poprzek zwężającej się dość mocno w tym miejscu doliny Raduni. W przerwach pomiędzy zwartymi sosnowymi drzewami rozciągał się na północ i wschód rozległy widok na nizinne Żuławy oraz wyżynną krawędź morenowych wzgórz wzdłuż których biegła główna magistrala kolejowo drogowa z Tczewa do Gdańska. Na równinie przed Pruszczem, od strony południowo-wschodniej Niemcy wybudowali duże lotnisko wojskowe, gdzie codziennie odbywały się starty i ćwiczebne loty małych, zwinnych samolotów jednosilnikowych.

W czasie prac polowych miałem możliwość obserwowania wykonywanych przez pilotów różnych karkołomnych figur i pętli wysoko w powietrzu nad polami. Czasami na czystym błękitnie na znacznej wysokości pojawiały się amerykańskie formacje bombowców w asyście zwinnych myśliwców, przelatujących w pobliżu zwartych grup ciężkich bombowców rysujących na niebie równe pasma białych smug dymu. Można było wówczas orientować się o kierunku lotu i ilości tych eskadr. A były one bardzo liczne tak, że Niemcy nie wysyłali nawet żadnych samolotów do walki z nimi. Amerykańskie eskadry, jak się później dowiedziałem, operowały przeważnie w biały dzień nad Niemcami w przeciwieństwie do formacji angielskich, które wykonywały naloty na obiekty przemysłowe i większe miasta czy porty wyłącznie nocami, używając przy tym tzw. "flar" czyli świecących bardzo długo świec opuszczających się łagodnie na spadochronach.

Osiedle Artschau, w którym mieszkali stali i sezonowi pracownicy rolni, składało się z kilku murowanych, bardzo starych domków kilkurodzinnych, a bliżej pałacu z dwu domków jednorodzinnych, zasiedlonych przez pańskiego "kuczera" czyli woźnicę, oraz "szwajcara" czyli mistrza oborowego, trzymającego pieczę nad stadem dorodnych krów i młodniaku cielęcego. Dojne krowy trzymane były cały rok w chlewie, a młodniaki na wiosnę wypędzany był na pastwiska ogrodzone i zabezpieczone w wodę i przejścia zamykane dokładnie.

Od strony zachodniej osiedla wyrastał nieduży, ale dość gęsty las złożony przeważnie ze starych świerków, młodych dębów, klonów i niskiego, bardzo gęstego podszycia leśnego. Obszar lasu wynosił około 1,5 ha, a położony był na nieckowatej dolince dawnego jakiegoś wyschłego jeziora czy stawu o mocno torfiastym i uginającym się pod nogami, dudniącym dnie. Takich małych lejkowatych wgłębień było znacznie więcej na obszarze folwarcznej ziemi, ale większość z nich była zajęta pod uprawę sztucznych łąk i pastwisk.

W terenie położonym nieco wyżej uprawiano się tam zboża i rośliny okopowe. Ich sprzątanie było bardzo ułatwione ponieważ np. buraki bardzo łatwo dały się ręcznie wrywać. W okresie deszczów te zagłębienia nasiąkały zwykle bardzo szybko wodą, chociaż wszystkie grunty orne były tu zmeliorowane i wydrenowane, a tereny zupełnie nieurodzajne były obsadzone lasami szpilkowymi.

Oprócz głównej drogi asfaltowej przecinającej prawie połowę obszaru folwarcznego na dwie części, biegną od strony południowej inne boczne drogi polne, gęsto obsadzone starymi liściastymi drzewami wiodące do sąsiednich folwarków i starych posiadłości otoczonych dużymi parkami, starannie utrzymanymi oraz domkami służby rolnej, otaczającymi pańskie pałace. Odległości pomiędzy tymi pańskimi siedzibami były znaczne, rozdzielone ogromnymi połączkami uprawnych pól ograniczonych szerokimi miedzami porośniętymi głogiem, tarniną wyrastającą z kup polnych kamieni i głazów, zebranych z pola po głębokiej orce. Po każdorazowej głębokiej orce trzeba było ponownie zbierać i znosić na miedze masę kamieni. Była to niesłychanie ciężka praca. Sam nieraz na polecenie szefa musiałem zbierać takie kamienie polne i "tragami" czyli drewnianymi nosidłami przenosić je na miedzę. Pracowałem z Anglikami.

Północny skraj pól graniczył z obszarem należącym do wsi Straszyn. Droga asfaltowa biegła za domami Artschau, w bliskiej odległości od nich, w głębokim wykopie skręcając jednocześnie w prawo i później w lewo, schodząc niżej do poziomu doliny rzeki Raduni, przekraczając przed domami wsi tor kolejowy. Po lewej stronie znajdowała się stacja kolejowa z murowanym budynkiem stacyjnym z mieszkaniem zawiadowcy stacji, kasą biletową i poczekalnią dla podróżnych. Przed budynkiem dworcowym tory rozwidlały się biegnąc równoległe obok siebie, umożliwiając mijanie się dwóch pociągów.

W dole nad samą rzeczką widniał most drogowy, budynki wsi i wieża małego kościółka. O ile sobie dobrze przypominam tuż nad małą groblą był zbudowany z cegły mały młyn wodny, przystosowany również do napędu motorem elektrycznym. Droga pięła się dalej na północ zboczem pagórka, gdzie majaczyły domy następnego osiedla, Borkowo, a dalej Maćkowo / po niem. Matzkau/. W centrum wsi znajdowała się również stara gospoda czy pijalnia piwa. Pamiętam, że w którymś miesiącu, po przybyciu do Artschau, władze zarządziły wykonanie zdjęć każdemu z nas do tzw. "Kennkarty" / dowodu tożsamości/. Zdjęcia te wykonywał zawodowy fotograf niemiecki właśnie w Straszynie na tle ściany tej gospody czy młyna.

W czasie pobytu na przymusowych robotach rolnych zetknąłem się niespodziewanie z bardzo wysoką kulturą rolno-przemysłową a jednocześnie ze średniowiecznymi stosunkami społeczno-ustrojowymi i tradycyjnymi panującymi na terenach opanowanych przez Niemcy Kaszystowskie a także wcześniej przez Niemcy kajzerowskie.

Zachowana olbrzymia własność obszarnicza i fabrykancka na terenie obszarów przyległych do miasta Gdańska oraz rozciągających się w widłach ujścia rzeki Wisły do Morza Bałtyckiego, a ściślej do Zatoki Gdańskiej, tam gdzie

w tym okresie zdołałem zaobserwować i częściowo zwiedzić / prawie, że nielegalnie !/, bardzo silnie klóciła się z moim młodzieńczym wyobrażeniem ~~o~~ teoretycznymi naukami, które wyniosłem ze szkół, a przede wszystkim z domu rodzinnego:

Przede wszystkim oczywistym dowodem istnienia tych prawie pańszczyńcino-niewolniczych stosunków były zachowane w oryginale stare zabudowania gospodarcze i mieszkalne i ich specjalne usytuowanie, podkreślające jeszcze pochodzenie ze starej, minionej już, zdawałoby się bezpowrotnie zacoferanej średniowiecznej epoki gospodarowania i stosunków międzyludzkich:

Widok pańskiej siedziby, białego pięknego pałacyku, tonącego w zieleni drzew szpilkowych i liściastych rosnących w starannie utrzymanym parku, obok odpowiednio usytuowane wozownie, garaże, warsztaty służące jedynie ~~wła~~ cicielowi i jego rodzinie, -samochód, motocykl, kryty powóz, konie wierzchowe -wszystko to klóciło się z diametralnie innymi warunkami, na które byliśmy skazani, a także stała służba folwarczna. Nie mogłem ani rusz wyobrazić sobie w roli niewolnika, którym w tym okresie właśnie musiałem być! Leżąc nocami na pryczy, zwanej szumnie łóżkiem, gorzko przeżywałem rozstanie z rodzicami i rodzeństwem, śmierć jedynego brata, a szczególnie głęboko cierpiałem nad swoim losem niewolnika "Trzeciej Rzeszy" rzuconego brutalnie w inny świat, świat poniżenia i ciężkiej niewolniczej pracy, której efekty przynosiły jedynie korzyść mojemu bezpośredniemu wrogowi, przedstawicielowi okupanta niszczącego mój rodzinny kraj, żyjącego z rabunku dóbr materialnych i niewolniczej pracy mieszkańców ujarzmionego kraju!

Na pesymistyczny tok moich nocnych rozmyślań i refleksji miał zapewne również wpływ mój podniecony bardzo stan uczuciowy, spotęgowany faktem brutalnego oderwania od kochającej rodziny i ojczystych stron. Na nowo przeżywałem najdrobniejsze szczegóły życia tam, na wschodzie: w domu rodzinnym, w szkole, krewnych, a także świeżo doznane uczucia miłości. Krótce mówiąc byłem w dalszym ciągu zakochany, i to, jak zacząłem już zdawać powoli sobie sprawę, zupełnie beznadziejnie. ~~W pisanych~~ przez mnie kartkach do rodziny gorączkowo zapytywałem o losy mojej wybranki, która pozostała na miejscu, i nie miałem o niej absolutnie żadnej wiadomości. Początkowo atakowałem o to Dziekońskich, u których ostatnio ona zamieszkiwała, ale dłuższy czas nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Aż wreszcie któregoś dnia, zdaje się, że było to u schyłku lata, wiadomość nadeszła, ale w jakiej formie!?

~~Pisał~~ Dziekoński Edward, mąż Antoniny Słowińskiej. Doświadczony, pod względem sukcesów erotycznych, starszy ode mnie o kilkanaście chyba lat, w treści kartki, którą otrzymałem, ~~poprostu wykipił~~ ze mnie strasznie, z moich gorączkowych zapytywań i beznadziejnych obaw, co do losu mojej ukochanej Jadzi!

Był to dla mnie cios zupełnie niespodziewany i to z najmniej oczekiwanej strony, bo od opiekuna osieroconej dziewczyny, pozostającej w bezpośrednio na nią roztoczonej, opiece bezdziejnych małżonków. Treść tej kartki była dla mnie istnym kubłem lodowatej wody wylanej na rozgorączkowaną ^{głowie} moją, pełną przeróżnych gorących marzeń i planów rozbujałej nad wyraz miłości do wypieszczonego w myślach ~~idealnego~~ obrazu dziewczyny!

Długo dość moja psychika ugiwała się pod tym nieznośnym ciężarem rozpaczliwych myśli o przymusie stopniowego pogodzenia się wymazania z mojej duszy miłości do Jadzi! Początkowo była to walka ponad moje siły. Najgorsze były długie wieczory, a także niektóre noce, kiedy zbudzony wyciem syren o zbliżającym się ataku lotniczym na porty, obserwując wiszące wysoko na niebie "flary" i słuchając później grzmotu zbliżających się eskadr bombowców, nie mogłem potem zasnąć z nadmiaru wrażeń i obserwowanego groźnego widowiska rozgrywającego się na moich oczach w odległości zaledwie kilku kilometrów. Te straszne nocne widziadła potęgowały jeszcze chęci i marzenia mojej ucieczki w krainę spokoju i osobistego szczęścia, bez mordów, niespodziewanych nocnych napadów z za węgla, płonących wiejskich zagrod w środku nocy, bez obaw o życie najbliższych!

Stawałem się coraz bardziej zamknięty w sobie, ponury i opryskliwy dla otoczenia. Było razem w moim otoczeniu kilka dziewcząt, moich rówieśnic, oraz trochę młodszego narybku dziewczęcego! Ale w ogóle początkowo ich nie zauważałem, trawiąc w sobie ów nieznośny psychiczny ból, wzmagający się jeszcze kiedy usiłowałem o tym zapomnieć i zagłuszyć go innymi wrażeniami!

Przeszło tak kilka miesięcy owego chorobliwego stanu psychicznego, przerywanego ciężką pracą, bezsennymi nocami i zmaganiem się z tym dziwnym letargiem w który wpadłem po zmianie środowiska i ludzkiego otoczenia. Aklimatyzacja przebiegała bardzo opornie. Wszystko tu mierzilo i było nie do przetrwania. Podobne ~~były~~ było owego pokarmu, który codziennie pobierałem z kuchni, pełnym brukwi i skwaśniałej kapusty, a którego większość musiałem wyrzucać za okno, - kiszki skręcały się z głodu i pragnienia jedzenia, a usta nie mogły przyjąć tej obrzydliwości; - przez dłuższy czas brały mnie torsje. Całe ciało było jak obite, mięśnie i ścięgna bolały nieznośnie, a sen nie przynosił żadnej ulgi. Młody mój organizm dłuższy czas zmagał się z tym stanem, a w miarę upływu czasu i stosowania fizycznego trudu, tępiałem coraz bardziej i obojętniałem na wszystko. Nadeszła wreszcie jesień 1943 roku.

Którejś jesiennej nocy odczułem mocne bóle w krzyżu. Nie wiedziałem początkowo co to mogło być. Starsi ludzie orzekli, że dostałem pewnie zapalenia korzonków nerwowych, zwanych w miejscowej gwarze "heksenschuss". Odczuwałem mocne bóle w stawie lędźwiowym i trudno było się schylać, czy pracować

w pozycji schylonej. Pracowałem wówczas na polu, a pogoda była różna: zmiany pogodowe starsi odczuwają mocniej niż młodzież, ale ~~mój~~ organizm, jak się wkrótce przekonałem, bardzo szybko zareagował na tutejsze warunki pogodowe.

Zaczęły padać jesienne deszcze i wiać zachodnie, zimne bardzo, przejmując do szpiku kości, wiatry ciągnące szczególnie z otwartych przestrzeni Morza Bałtyckiego. Odczułem to wkrótce na własnej skórze, ponieważ nie miałem wtedy odpowiedniego cieplejszego okrycia, a obuwie, które wziąłem ze sobą jeszcze z domu, zaczęło mi się zupełnie rozłazić.

Dostałem zezwolenie szefa na udanie się do lekarza do Pruszcza. Nie wiedziałem w ogóle jak trafić do tego miasteczka, a tym bardziej znaleźć tam odpowiedniego lekarza na uśmierzenie bólów. Wówczas zaofiarowała się mnie tam doprowadzić młoda Rosjanka o imieniu Sima, mieszkająca razem z nami w "budzie" wraz z matką i młodszą siostrą, Olgą. Sima miała może 18 lat, a pochodziła wraz z rodziną z okolic Leningradu. Okolice te, w czasie oblężenia tego wielkiego miasta rosyjskiego zostały zburzone, a ludność zmuszona do wyjazdu do Niemiec na roboty.

Było to zdaje się w jakieś wolne popołudnie przed wieczorem. Udałem się razem z Simą piechotą do Pruszcza. Miała ona w tym czasie odwiedzić swoją starszą siostrę, która pracowała w jakiejś fabryce w Gdańsku. Sima doskonale dawała sobie radę w czasie podróży pociągiem oraz znała dobrze okolice Gdańska, ponieważ przebywała tu z matką i rodzeństwem od 1942 roku. Wieczorem mieliśmy wracać razem do Artschau.

Lekarz rezydował w pobliżu dworca w Pruszczu. Była dość długa kolejka i musiałem więc długo czekać na przyjęcie i wypisanie recepty. Minęło kilka godzin, kiedy w umówionym miejscu i czasie zjawiła się Sima.

Ruszyliśmy szparko piechotą szosą o kocich łbach, wysadzaną po obu stronach starymi drzewami. Było już dość późno, ale Sima znając dobrze drogę, wyprowadziła na ~~właściwy~~ kierunek zaraz po wyjściu z Pruszcza. Okazało się, że dość dobrze wyuczyła się ona języka polskiego od miejscowych Polaków, i ~~...~~ muszę przyznać, że nie nudziłem się w czasie tej wędrówki słuchając jej barwnej paplaniny o swoim życiu, siostrach, przeżyciach wojennych i nauce w szkole. Uczyła się podobnie jak i ja, w ~~XSS~~ Średniej Szkole i była dość odczytana. Była zgrabną i wysportowaną dziewczyną o krótkich blond włosach, o brązowych ładnych oczach i ~~...~~ dość dużej brodawce nad ~~brwiami~~ brwiami, którą umiejętnie ~~starpała~~ się przykrywać małym loczkiem z grzywki włosów nad czołem.

W ten sposób poznałem bliżej Simę, młodą Rosjankę, która, przyznam się szczerze, radykalnie podniosła mnie na duchu swoim beztroskim stosunkiem do mojej osoby, z biegiem czasu wkraczając coraz śmielej i intymniej w mo-

je skryte, męskie zakamarki serca i... jakieś nowe odczucia, graniczące chyba z miłosnymi ciągotami. Stwierdziłem jednakże wkrótce, że muszę być nieszychanie czujnym, obserwując zachowanie się Simy w stosunku do innych mężczyzn, a szczególnie dorodnych i dobrze odżywionych i zdrowych Anglików - jeńców wojennych! Gdzie mnie tam do nich!

W jesieni otrzymałem, inni robotnicy również, nowe drewniaki czyli obuwie o drewnianych, wystruganych na miarę stopy spodach obitych świńską, wyprawioną skórą. Oprócz tego dostałem przydziałowe ubranie: spodnie i kurtkę na mój wzrost i wymiar szytych z jakiegoś materiału zupełnie podobnego do do worków papierowych na kartofle ale o dobranym, zielonkawo-brunatnym kolorze.

Drewniaki nazywano tutaj "klumpami". Nadawały się one doskonale do pracy w polu przy ładowaniu, zbieraniu i wywózce buraków cukrowych, kartofli czy brukwicya później liści. Była to bardzo ciężka praca, szczególnie podczas drobnych, siąpiących długo i nieprzyjemnie deszczów i przenikliwie zimnych mocnych wiatrów.

Do prac tych szef przeznaczał przeważnie "Ostarbeitrów", a do "dugrowania" czyli ręcznego wrywania buraków zatrudniał mocnych i dobrze odżywionych Anglików, którzy pracowali przy tym bardzo sprawnie i szybko. W czasie zbierania liści na przyczepy konne ładowaliśmy z Tomkiem widłami pracując z jednej strony, a z drugiej dwu innych. Na przyczepie układały i deptały liście Sima z Olga, lub Lidia z Marusią. Było nam wówczas wesoło w czasie tej pracy.

Dwie pierwsze dziewczyny - to Rosjanki, a drugie były Ukrainkami z Kijowa. Rozumieliśmy się doskonale, ponieważ my z Tomkiem znaliśmy dobrze oba te języki, a one, pracując dłużej od nas, wyuczyły się niezłe po polsku, kalecząc czasami niemiłosiernie niektóre polskie zwroty, i odwrotnie. Smialiśmy się wówczas z siebie do łez!

Olga i Marusia były najmłodsze - miały około 15 lat, a Lidia i Sima około 17-18 lat. Lidia była miłą blondynką, dość zalotną i rozmowną, natomiast Marusia to czarny trzpiot o kruczonych włosach i czarnych jak węgiel oczach, w których zawsze migotały wesołe, figlarne ogniki. Zawsze była gotowa śmiać się głośno, kiedy próbowałem zalecać się do niej lub opowiadać po ukraińsku jakieś przysłowia czy wierszowane kawały. Marusia i Lidia przyjaźniły się z Oksaną, - cała ta trójka została razem wywieziona na roboty do Artschau, i razem dzieliliśmy odtąd nasze dole i niedole. Oksana pochodziła z Żytomieszczyzny, z zachodniej Ukrainy. Była trochę starsza i poważniejsza od pozostałych przyjaciółek. W czasie prac polowych asystował przy niej zawsze Anglik, którego nazywaliśmy "Trekefirer" - traktorzysta, ponieważ wykonywał zawsze co roku podorywki i głębokie orki traktorem na polach folwarcznych!

Razem z nami przebywały również trzy siostry, Ukrainki z Bystrzycy nad Słuczą, położoną pomiędzy Ludwipolem a Bereznem. Najstarsza z nich to Zofia, zdaje się wdowa, około 35-letnia, szczupła i zamknięta w sobie, z obfitymi zmarszczkami na nerwowej twarzy. Młodsza, Peła, lat około 25, energiczna, pyska-ta, łatwo wpadająca w niepohamowany gniew, czarnowłosa, dość zgrabna i ładna. Najmłodsza to Nadia, spokojna i zrównoważona, o owalnej twarzy z dołeczkami w kącikach ust, ale nie zwracająca na mężczyzn żadnej uwagi. Widocznie była wcześniej zakochana w jakimś "mołojcu" w Bystrzycy. Kiedy się śmiała, czy tylko uśmiechała odwracała twarz kryjąc ją ~~w~~ dłonią lub chustką, wsty-dząc się mocno.

Moim rówieśnikiem był Bolesław Kosiński z Podłużnego. Mocno zbudowany, o dobrze rozwiniętych mięśniach, nie bał się żadnej fizycznej pracy. Okrągły na twarzy, o krótkiej ~~sztywnej~~ szyi, lekko otyły, o wąskich ustach nieco za-ciśniętych, charakteru bardzo spokojnego, mówił dość rozwlekłe, wtrącając rusycyzmy, wyniesione zapewne z domu. Dobry kolega. W końcu naszego pobytu w Artschau zakochał się trochę w Lidii / z wzajemnością! ? - Napewno! /.

Gienia Buraczewska, po kilku miesiącach pracy w polu i przebywania razem z nami w "budzie", ze względu na swoją dość oryginalną urodę / zapewne! ? / - szybko została zauważona przez żonę szefa i zatrudniona / nie wiem dokład-nie / w pałacyku za pokojówkę czy pomoc kuchenną, i wkrótce znikła z kręgu moich zainteresowań. Gwoli ścisłości pamiętnikarskiej pozwolę sobie dopisać, oczywiście na marginesie tej sprawy, że w ~~jakiś~~ jakiś czas później zaszła w ciążę i została odwieziona do Gdańska / czy może Pruszcza / tak, że nie słyszałem o niej zupełnie nic o jej losach. A sprawcą tej miłosnej przygody był, o ile pamiętam, jeden z najprzystojniejszych Anglików o imieniu Aleks.

Z gospodarskich rodzin wyrzuconych przez hitlerowców z własnych zagród najbardziej zapamiętałem nadzwyczaj sympatyczną rodzinę Detlawów, pochodzą-cych ze wsi Gnieźdżewo pod Puckiem. Wspominam o nich jeszcze z innej przyczy-ny, ponieważ tuż po wyzwoleniu jakiś czas ~~mieszkałem~~ mieszkałem razem z nimi, kiedy to zawędrowałem tam do Gnieźdżewa w poszukiwaniu własnego losu i własnego szczęścia.

Rodzina ta była bardzo liczna. Pamiętam dobrze żonę starego Detlawa, któ-ra bardzo mnie lubiała i zapraszała często do swego mieszkania na rozmowy w czasie których częstowała zawsze jakąś zupką czy kromkami chleba smarowa-nymi margaryną czy smalcem. Wkrótce stała się moją opiekunką i informatorką o przeróżnych ciekawych sprawach. Doskonale знаła język polski i niemiecki w mowie i piśmie. Od niej to właśnie dowiedziałem się bardzo dużo precyzyj-nych szczegółów o obronie polskiego wybrzeża i walkach na Westerplatte

w 1939 roku, a także o kapitulacji załogi polskiej na półwyspie helskim. Detlawowie to stary ród polskich Kaszubów, osiadły z dawien dawna na ziemi w okolicy Pucka, w starej wsi kaszubskiej Gnieźdźewo.

Najstarszy syn Detlawów, Józef pracował we folwarku w charakterze specjalisty-owczarza, opiekującego się stadem owiec liczącym kilkaset sztuk. Pamiętam jego codzienne odwiedziny w "budzie" i rubaszne zaloty do ukraińskich dziewcząt. Mówił przeważnie gwarą kaszubską, ale w stosunku do mnie i innych Polaków nastrojał się natychmiast "intelligencko", używając poprawnej polszczyzny. Często zachodziłem, oczywiście, kiedy szef tego nie widział, do owczarni mieszczącej się w części olbrzymiej stodoły, ucinając z nim pogawędki na przeróżne tematy. A wiedział bardzo dużo o stosunkach panujących na folwarku i okolicy. Pamiętał również dobrze wiele wydarzeń ze swego dzieciństwa. Był starym kawalerem.

Edmund Detlaw, młodszy był od Józefa o kilka lat, pracował w stajni przy czwórce koni, którymi opiekował się stale i pracował w polu w czasie orki, bronowania, siewu czy zwózki zboża do stodoły. Doskonale opanował sztukę powożenia czwórką koni siedząc na tylnym lewym potężnym wałachu dyszlowym, i trzymając długie lejce, którymi kierował po mistrzowsku parą przednich, zaprzęgniętych do haka umocowanego na końcu grubego dyszła. Nigdy nie widziałem jeszcze jazdy czwórką koni, z podziwem więc i z napiętą uwagą obserwowałem ceremoniał powożenia w wykonaniu Edmunda. Nie było dla niego rzeczy nie/możliwych do wykonania w transporcie kiedy dosiadłszy potężnego fryzjczyka / rasa koni/, strzelił z niesłychaną wprawą długim biczem ruszając swoim zaprzęgiem. Czwórka koni była szczególnie potrzebna przy wyciąganiu ciężkich platform na kołach gumowych z burakami i liściami z pola na asfalt. W czasie jesiennych deszczów koła oblepione grubo gliną i błotem sunęły się po mazi nie chcąc się nawet obracać, ale olbrzymie wałachy ciągnęły wóz zapierając się w grząskim polu po kolana, a przednia dwójka wyczyniała wówczas przedziwny taniec w prawo i w lewo wyszarpując dyszłem zaryty w błocie obładowany do granic możliwości ciężki wóz. Konie po prostu szorowały brzuchami po ziemi przebierając z wysileniem nogami i... ciągnęły ~~z~~ straszliwym ^{napięciem} zachęcane jedynie głosem bez użycia bata przez całą długość pola aż do wjazdu na asfalt. Kiedy platforma stała już bezpiecznie na twardej powierzchni szosy, konie prychały z zadowoleniem, a Edmund klepał je po karkach i przemawiał do nich po swojemu czekając aż odpoczną przed następnym manewrem wyciągania z pola obładowanych platform.

Konrad, młodszy od Edmunda, był zabrany przez Niemców przymusowo do Wehrmachtu. Walczył wówczas pod Narwikiem przeciwko desantom angielsko-francuskim w 1940 roku. Pisał od czasu do czasu listy do rodziny narzekając na los i nięławistny mundur, który zmuszony jest nosić oraz strzelać nie do tych,

do których by się chciało. Czytałem kilka jego listów, które w tajemnicy pokazywała mi stara Detlawowa.

Najmłodszy z synów Detlawów miał na imię Władek; kilkunastoletni chłopiec ucześnieł poprzednio do polskich, a później do niemieckich szkół. Władek poprawnie językiem polskim i niemieckim. Zprzyjaźniłem się z nim rychło na polu w czasie prac, grasując godzinami równe rzędy zbóż i rozmawiając z nim na różne tematy. Uczył mnie przy tej okazji poprawnego wymawiania niemieckich wyrażeń i całych zwrotów. Z rodzicami i rodzeństwem rozmawiał po kaszubsku. Kiedy przysłuchując się tym rozmowom, nic nie rozumiałem, tłumaczył mi zaraz znaczenie wyrazów kaszubskich, zapożyczonych w większości z języka niemieckiego i przystosowanych do ludowej gwary.

Stary Detlaw zatrudniony był przy karmieniu i hodowli świń. Część budynku stajni była oddzielona ścianą z cegieł, gdzie znajdowało się pomieszczenie dla kilkudziesięciu sztuk świń. W ogromnym parniku Detlaw parował ziemniaki, zaprawiał je różnymi dodatkami i rozwoził taczkami długim chodnikiem rozdzielając karmę szuflą pomiędzy poszczególne przegrody wypełnione kwiczącymi zwierzakami. Nosilem często i rąbałem stare pniaki do palenia pod kotłem, pomagałem pchać taczki i szufłować karmę dla świń a także wyrzucać gnoj z zagród. Taczki z gnojem trzeba było następnie pchać przez podwórze do ogromnej kupy usytuowanej przed krowim chlewem.

Stary Detlaw znał doskonale język niemiecki, co wykorzystywałem również do pogłębienia mojej znajomości tego języka. W czasie tych prac często wpadał do chlewa szef, kontrolując stan pogłowia świń i ich zachowanie się. Rozmawiali między sobą poprawnym językiem niemieckim, który Detlaw nazywał "hochdeutsch". Kiedy szef znalazł jakąś sztukę lekko chorą natychmiast podnosił głos i beształ starego biegnąc po chodniku i machając nad nim laską. Stary garbił się wówczas i usuwał się na bezpieczną odległość. Był trochę głuchawy. W czasie rozmowy przechylał głowę w kierunku mówiącego i pilnie śledził ruch warg. Przypominam sobie, że w czasie jakiejś rozmowy ze mną popłakiwał trochę nad swoim losem wolnego zagrodnika, wyrzuconego przez hitlerowców z własnego gospodarstwa. Dużo też opowiadał o Gnieździe.

Detlawowie posiadali jedynaczkę, córkę Irenę, starszą od Władka. Miała około 18 lat, blondynka, dość niskiego wzrostu. Pracowała najczęściej w polu, w ~~polu~~ pomagając matce przy kuchni. Miała łagodny i wesoły charakter. Często odwiedzała nas w naszej "budzie" rozmawiając gwarą kaszubską, co natychmiast podchwyciłem, przekrzywiając ją niemilosiernie i drażniąc się na wszystkie możliwe sposoby. Wcale się nie gniewała o to, przeciwnie. Stwierdziłem po jakimś czasie, że wpadłem jej w oko i często przysuwała się do mnie w czasie tych odwiedzin posyłając długie, powłóczyste spojrzenia w moją stronę. Miała również, co szybko odkryłem, swojego Anglika w czasie pracy.

W osiedlu folwarcznym mieszkało jeszcze kilka rodzin niemieckich. Pamiętam rodzinę Gnybów, którzy posiadali o ile dobrze przypominam, troje dzieci: najstarszego syna chorego na kręgosłup i dzięki czemu uniknął on powołania do Wehrmachtu /do wojska/. Trudnił się szewstwem imienia już nie pamiętam, młodszego Brunona, typowego przedstawiciela "Hitlerjugend" - zarozumiałego i cynicznego młodzika, odnoszącego się ordynarnie do rówieśników innej narodowości, zarówno do chłopców jak i dziewcząt, oraz najmłodszej córki - Gertrudy, zwanej w domu zdrobniale "Trudchen", o typowej niemieckiej urodzie. Była blondynką o niebieskich oczach i lekką ospowatych policzkach oraz szerokich ustach stale uśmiechających się w czasie rozmowy. Miała około 16 lat. Grywała trochę na harmonii aktualne piosenki i marsze niemieckie fałszując nieco melodie.

Stary Gnyba pracował w stajni folwarcznej opiekując się czwórką koni roboczych, podobnie jak Edmund Detlaw. Razem "futrowali", poili, czyścili zwierzęta, wyrzucali z pod nich gnój i wyjeżdżali w pole do pracy. Obaj posiadali niemieckie zegarki na łańcuszku, schowane w solidnej kopercie metalowej z zatrzaskiem. Pracowali zawsze ściśle według czasu odmierzanego na zegarku, rozplanowując go według przyjętego rozkładu zajęć w folwarku. Kiedy nadchodziła pora obiadu, zwanego po niemiecku "Mittagessen" zawsze punktualnie wychodzili ze stajni, i wolnym krokiem, dodając jeszcze kilka minut na dojazd do domu, ruszali do domu na godzinną przerwę obiadową.

Czas pracy i odpoczynku był wszędzie ściśle normowany i przestrzegany. Idąc z pola nasz brygadzysta zawsze precyzyjnie pilnował aby nikt za wczesnie nie przyszedł do domu, hamując idących w przodzie kolumny bardziej niecierpliwych. W wypadku kiedy szef zauważył kilkuminutowe wcześniejsze zejście z pola, natychmiast robił wściekłe awantury brygadziście, a ten z kolei równie ostro beształ podległych sobie robotników rolnych. W czasie pracy na podwórzu pilnie wypatrywałem w kierunku stajni, kiedy ukażą się dwie postaci Edmunda i Gnyby idące na "Mittagessen", i to właśnie było dla mnie nieomylnym sygnałem, że pora już przerwać pracę i iść na posiłek, a zegarka nie posiadałem wcale jeszcze zupełnie. Dopiero tutaj nauczyłem się punktualności aż do przedady. Powoli zacząłem odczuwać potrzebę posiadania własnego zegarka.

W osiedlu mieszkała Niemka o nazwisku Daleka. Nazywaliśmy ją potocznie "Frau Daleka". Wysoka, dość przystojna blondyna pomagała mi odbierać z poczty w Gdańsku paczki z sucharami i odzieżą przysyłane przez rodziców z Brześcia. Sam nie miałem jeszcze pojęcia jak trafić w takim dużym mieście tam gdzie potrzeba. Kupowała też dla mnie kartki pocztowe, i w ogóle świadczyła dla nas przeróżne drobne przysługi jak tylko mogła i umiała.

Butowscy mieli jednego syna Franca /Franciszka/ około siedemnastu lat. Znał słabo język polski w przeciwieństwie do ojca, który podobnie jak Gnyb doskonale władał tym językiem, bez naleciałości gwary kaszubskiej. Franc, podobnie jak i jego ojciec, miał zdolności techniczne. Jeździł traktorami - ropniakiem i benzynowcem, który był dostosowany do napędu na gaz drzewny.

Nowy traktor, kupiony w czasie mego pobytu we folwarku miał ogumione koła zdejmovaną tylną budkę kierowcy, mógł uciągnąć dwuskibowiec, szerokie brony, prasę do siana i tp. Początkowo był obsługiwany przez Anglików, którzy w większości znali się na pojazdach mechanicznych i maszynach rolniczych, a później prowadzenie nowego traktora objął Franc. Właśnie z nim jeździłem zawsze do lasu po drzewo do Prangenau/Pręgowa/i Kolbud Górnych.

Na poddaszu jednego z budynków mieszkalnych folwarku mieszkali Kuszowie z jedynaczką, córką Anną. Kuszowa w przeciwieństwie do swego męża, który był dość szczupły i wątłej budowy ciała, była niesłychanie gruba i ociężała. Podobnie i Ania miała zadatki na otyłość. Była ona cichego i spokojnego charakteru w przeciwieństwie do matki o wybuchowym usposobieniu.

Pewnego dnia, a było to w okresie letnim, doszło do sprzeczki pomiędzy Kuszową a Ukrainką Pelą z Bystrzycy. Sprzeczka ta, początkowo ograniczała się tylko do wymiany poglądów między stronami na tematy ogólne, a później przekształciła się w spór, i to bardzo ostry, kto i kogo ma gdzieś z powodu odmiennego poglądu na temat pochodzenia społecznego i realnego działania Ukraińców w stosunku do Polaków. Prawdopodobnie Kuszowa zarzuciła wszystkim pobratymcom Peli o udział w mordach i przynależność do banderowców, w czym napewno miała słusność. Ale tu jednakże trafiła kosa na kamień?!

Akurat byłem świadkiem, wraz z wielu innymi, którzy przypadkiem znaleźli się przy tym, a była to zdaje się niedziela, jak błyskawicznie i bezwzględnie zareagowała Pela, współmieszkanca "budy" na wywody Kuszowej na temat pochodzenia społecznego Peli !!! - w pewnej chwili odwróciwszy się tyłem do perorującej zawzięcie z okna Kuszowej niespodziewanie dla nas wszystkich, wprawnym ruchem ~~pochyliła~~ się nagle do przodu zadzierając wysoko spódnicę i ukazując zupełnie goły tyłek. !!!!!! Oniemiałem zupełnie z wrażenia! Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. ... Była to odpowiedź godna pędzla najlepszego malarza! Scenę tę mam jeszcze dotychczas w pamięci z najdrobniejszymi jej szczegółami.

Biedna Kuszowa, nie spodziewająca się takiej pointy, początkowo oniemiała a później zupełnie zsiniała z gniewu. Zlazła ociężała z góry po schodach, i chwyciwszy po drodze ~~za~~ jakąś kopanicę ruśzyła z nią do ataku za rejterującą w pępłochu Pelą, która zdążyła jednakże szczęśliwie umknąć do "budy"

Wzburzone siostry Ukrainki długo jeszcze narzekały i przeklinały swój los, który zmusił ich do obcowania z "przeklętymi" "Lachami" pod jednym nie-

Stary Gnyba był jednocześnie jak gdyby zastępcą szefa do spraw prac polowych, opiekując się także sezonowymi robotnikami rolnymi, natomiast Butowski, drugi Niemiec o wybitnie polsko brzmiącym nazwisku zajmował się sprawami technicznymi folwarku. Dbał o traktory, obsługiwał wszelkie silniki elektryczne, wszelkiego rodzaju maszyny rolnicze, żniwiarki, koparki, zgrabiarki, prasy do siana, siewniki i t.p. Ustawiał i pilnował właściwej pracy młocarni podczas młocki w stodole, kierował pracami przydzielonych do jego dyspozycji Anglików znających się na kierowaniu i obsłudze maszyn.

Z drugiej strony "budy", gdzie było osobne wejście mieszkała tam rodzina Szumnych; również Polacy wyrzuceni z gospodarstwa z obszaru Pomorza polskiego. Mieli oni dwie dorosłe córki, których imion już nie pamiętam. Starsza z nich to spokojna, dokładna w pracy dziewczyna, bardzo skromna i wstydliwa, w czasie rozdziału prac w polu otrzymywała zawsze jako pierwsza początkowe rzędy do grasowania, obok niej stawała do grasowania jej siostra a potem następne miejscowe dziewczęta, no i my, jako "Ostarbeitry" w środku. Na końcu kolumny pracowali zawsze Anglicy. Oczywiście, że porządek ten ^{nie zmienił} chwilą, kiedy już szefa nie było a brygadzysta Dąbrowski stwierdził, że niebezpieczeństwem z jego strony już nie ma, pozwalał łączyć się parom na polu jak kto chciał.

Oprócz dwóch córek starzy Szumnowie mieli również syna w wieku około 25-28 lat bardzo spokojnego charakteru, pracującego przeważnie w stajni przy koniach, ale w razie potrzeby szef wysyłał go do pracy w polu.

Żniwa i sprzęt zboż odbywał się bardzo szybko w czasie słonecznej pogody z zastosowaniem mechanizacji. Po ściętym zbożu ścierniska natychmiast były podorywane przy użyciu wieloskibowego pługa ciągnionego przez konie zaprzęgi czwórkowe a także traktora na napęd olejowy z silnikiem Diesla. Równolegle kilkunastu ludzi stawiało związane snopy snopowiązałką w długie rzędy, zwane przez tutejszych pracowników sztygami. Rzędy były stawiane w bliskiej odległości od siebie aby można było wygodnie wjechać konnymi wozami i ładować z obu stron. Wozy były podstawiane pod ustawioną w pobliżu folwarku ogromną nowoczesną młocarnię napędzaną traktorem.

W późniejszym okresie kiedy część zboża składano w stodole młocarnia była napędzana potężnym motorem elektrycznym umocowanym w przewoźnej budzie, chroniącej silnik od deszczu czy śniegu. Wożenie zboża trwało nieprzerwanie przez cały dzień w kilka zaprzęgów: konie były jedynie wyprzęgane od pełnych platform zostawianych przy młocarni i natychmiast zaczepiane orczykami do pustych. Gwarantowało to bardzo wydajną pracę przy omłoceniu zboża.

Zbieranie ziemniaków z pola odbywało się przy pomocy koparki skrzydło-

wej lub wiatrakowej bardzo wydajnej. Naprzód trzeba było ręcznie oczyścić pole z badyli i chwastów, później zbieraliśmy wykopane ziemniaki do koszy, przenosząc je do podstawionych na pole przyczep. W wyznaczonym miejscu, obok zabudowań folwarcznych część ziemniaków kopcowaliśmy, a reszta zsypana do odważonych worków była natychmiast zabierana przez samochody do miasta.

Z czynności, które były wykonywane na folwarku interesowały mnie najbardziej w wysokim stopniu zmechanizowane prace związane z omłotami zboża w stodole. Maszyna do młócenia, jak dowiedziałem się z rozmów prowadzonych w czasie przerw obiadowych z Butowskim, była najnowszej konstrukcji, zakupiona w znanej niemieckiej firmie Lanz w Mannheimie nad Renem. Konstrukcja szkieletowa była obudowana srebrzystą, ocynkowaną blachą od wewnątrz tak, że wszelkie mocowania łożysk i panewek różnych wałów poszczególnych urządzeń były z zewnątrz widoczne i łatwo dostępne do smarowania czy ewentualnej wymiany w razie potrzeby. Maszyna wraz z silnikiem elektrycznym zamocowana była na specjalnym wózku oraz prasą do słomy i urządzeniem podającym snopy do bębna. Mierzyła około 25 metrów długości. Urządzenia podające ustawione były od podwórza, gdzie łatwo było zajeżdżać pełnymi przyczepami, natomiast prasa mieściła się za drugimi wrotami od strony pola, gdzie po specjalnie ustawionych drągach wysuwały się z prasy bele związanej i sprasowanej słomy.

Do taśmociągu obrzeżonego z obu stron wysokimi blaszanymi burtami kilku mocnych Anglików wrzucało bez przerwy snopy zboża. Długi taśmociąg niósł je do szerokiej paszczy maszyny, gdzie zostały porywane przez ostre stalowe siekacze wirujące naprzemian, napędzane wykorbionym wałem. Zazębione siekacze błyskawicznie rozrywały związane mocnym sznurkiem snopy, wciągając jednocześnie w głąb maszyny, wprost na kolczasty, wirujący i wyjący na wysokich obrotach bęben, napędzany bezpośrednio elektrycznym, potężnej mocy silnikiem poprzez pas transmisyjny, huśtającym się i opadającym niżej pod własnym ciężarem. Powietrze aż syczało nad pędzącym pasem, biegnącym szybko wokół kół pasowych silnika i bębna maszyny.

Młocarnia była samoczyszcząca. Specjalne wytrząsacze oddzielały słomę od ziarna, które spadało na dolne partie sit, (~~które~~) oczyszczały je ze zgonin i plew, następnie transportowane wyżej, było dokładnie czyszczone wentylatorem i sortowane gęstymi sitami. W ostatniej komorze specjalna śruba ślimakowa przesuwiała zboże do podstawionych worków. Słoma z maszyny spadała wprost do wnętrza prasy, ugniatała tam potężnymi zabierakami pracującymi rytmicznie, napędzane dużymi zębatymi kołami z obu stron prasy. Sprasowane i związane bele słomy powoli były automatycznie wypychane z prasy po długich drewnianych belkach ustawionych skośnie do góry, rytmicznie następującymi potężnymi uderzeniami zgniataczy. Spadały one za śodołą, gdzie układano stertę. Budowana ona była w kształcie regularnego prostokąta ze stożkiem. Bele słomy

były mocno sprasowane, ciężkie, związane z obu stron białym sznurkiem skręconym ze sztucznego tworzywa, niesłychanie mocnym, nie dającym się ręcznie rozerwać, możliwe to było jedynie przy pomocy noża.

Za sprawną pracę młocarni w czasie pracy odpowiedzialny był Butowski. Cały czas chodził przy urządzeniach i maszynie śledząc ich prawidłową pracę, smarując panewki, zatrzymując i uruchamiając młocarnię w planowanych godzinach pracy i przerw na posiłek, zgodnie z zegarkiem, który zawsze nosił ze sobą, podobnie jak stary Gnyba, czy Edmund Detlaw, w szczelnie zamkniętej pochewce z zatrzaskiem:

Gotowaniem obiadów i kawy na śniadanie dla "Ostarbeitrów" zajmowała się początkowo matka Simy. Podstawowym produktem z którego składał się dzienny posiłek, zwany szumnie "obiadem", była kartofla, która była ściśle na ten cel wydzielana przez szefa. Wieczorami trzeba było kolejno chodzić do kuchni, mieszczącej się w podwórzu folwarcznym, w tym samym budynku, w którym byli skoszarowani Anglicy. Mieszkali oni na strychu, przystosowanym do zamieszkania. Były tam takie same prycze piętrowe, jak w naszej budzie; obok miał swój pokój wachman, strzeżący Anglików. W kuchni obieraliśmy ziemniaki, myliśmy i płukali całą kadź, która następnie stała przez całą noc do następnego południa. Obieranie ziemniaków następowało co drugi dzień, ponieważ nie wolno było obierać razem z Anglikami, którzy mieli dyżury osobno. Ale w każdym zakazie Anglicy robili jakieś przekroczenia, zupełnie niewinne, bo chodziło im szczególnie o obcowanie z dziewczętami w tym czasie. Jak już pisałem, każdy z Anglików miał swoją "sympatię", asystując przy niej w czasie obierania kartofli wieczorami, ~~gównie~~ na polu przy grasowaniu, czy innej polowej pracy!

Większość Anglików, jak już wspominałem, posiadała umiejętność obsługi wania pojazdów mechanicznych czy innych urządzeń o silnikowym napędzie. Celował wśród nich Anglik o przydomku "Trekefirer", czyli traktorzysta. Opowiadał mi kiedyś zabawny incydent, jaki mu się przydarzył z szefem na tym folwarku. Było to w okresie zimowym, gdzieś chyba w grudniu czy styczniu. Zimy w tym okresie były bardzo lekkie, bez śniegu jedynie trzymał kilkunastopniowy mróz. Szef postanowił wykorzystać ten fakt i polecił Anglikowi wykonać jakąś orkę na polu. Początkowo jeniec protestował, a nawet składał zażalenie do swego wachmana, ale nic nie pomogło. Wyjechał więc w pole i rozpoczął orkę. Było bardzo zimno, wiał mroźny wiatr, palenie potężnej fajki nie dawało żadnego ciepła i postanowił więc poradzić sobie inaczej.

Po kilku próbach, nakierował traktor na przeciwległy punkt pola, zgodny z kierunkiem orki, przywiązał paskiem od spodni kierownicę traktora do bo-

lónych błotników, a sam zlązłszy z siedzenia szedł obok "zabijając" dla rozgrzewki rękami po żebrach. Jak twierdził pomogło znakomicie, niestety... nakrył go niespodzianie szef objeżdżający pola kanno. Doszło nawet do rękoczynów, ale łebski Anglik bez chwili wahania oddał z nawiązką! Był to, jak twierdził Anglik, właściwy sposób i odpowiedź angielska w stosunku do "bleed Dzeris" / przeklętych Niemców/.

Postanowiłem uczyć się języka angielskiego. Była ku temu doskonała okazja, której nie mogłem zlekceważyć. Obecność Anglików, z którymi na polu czy w czasie pracy w innym miejscu mogłem się bliżej spotykać, a nawet rozmawiać początkowo na migi, lub trochę po niemiecku, znakomicie ułatwiała zaplanowane zadanie wykonać. Trzeba było tylko wybrać odpowiedni moment.

Na moją prośbę ktoś kupił mi w Pruszczu spory notatnik kratkowany oraz wsuwany w pochewkę ołówek chemiczny. Przygotowywałem zawczasu pytania po polsku, tłumaczyłem z pomocą innych, znających dobrze ten język na niemieckie, drukowałem to pracowicie w jedną linijkę, zostawiając jeszcze miejsce na podanie znaczenia tego wyrazu czy słowa w języku angielskim.

W czasie wychodzenia na pole podawałem nieznacznie notes wybranemu Anglikowi, a ten mając cały dzień do dyspozycji, wypełniał angielskimi słowami pozostałe rubryki, najczęściej w czasie przerw śniadaniowych czy obiadowych. Później zwracał mi go z powrotem. W tym czasie obmyślałem już nową partię zwrotów i pytań, które w następnym dniu przepisywałem do notesu, i tak stale w kółko. Najgorzej było z wymową, ponieważ jest ona zupełnie różna od polskich czy łacińskich zapisów / czynionych łacińskim alfabetem/

Przysłuchiwałem się pilnie angielskim rozmówkom, przebywając w pobliżu grupy Anglików i powoli zacząłem chwytać ich sens i znaczenie. Najlepszym "profesorem" pod tym względem okazał się Aleks, znający trochę język polski i szukający zbliżenia z Polakami z powodu swoich zapędów miłosnych, okazywanych właśnie w stosunku do Polki, Gieni Buraczewskiej!

Czasami próbowałem wymieniać notes z zapisami w kuchni przebywając tam wieczorami w czasie obierania kartofli czy nabierania kawy dla ludzi. Jednakże pewnego wieczoru przyłapał mnie na tej "operacji" "wachman". Był to starszy człowiek, posiadający liczną rodzinę w centralnych Niemczech. Błyskawicznie wsunąłem notes z powrotem do kieszeni ale... było już za późno! Musiałem na jego kategoryczne żądanie okazać ów feralny notes. W mojej obecności przewertował go dokładnie i... zwrócił go bez słowa! Odchodząc, zwrócił mi uwagę na... kilka błędów w zapisie niemieckich zwrotów, podając ich właściwe brzmienie! Byłem wstrząśnięty i jednocześnie mocno podbudowany tym tym pobłażliwym zachowaniem się "wachmana". A byłem przygotowany

na najgorsze, tym bardziej, że niedawno szef obiecywał mnie wysłać do Sztuthofu / obóz koncentracyjny w pobliżu Gdańska / za jakieś drobne uchybienie / było to prawdopodobnie w czasie przerywki buraków na wiosnę w 1944 roku, kiedy z powodu kalectwa nie mogłem dobrze trzymać małej kopanicy i odstawałem w tyle za innymi / Otrzymałem wówczas porcję batów od szefa na oczach wszystkich pracujących na polu! Ze wstydu i żalu nad swoim losem popłakałem się ukradkiem schylony nad swoją "rają" czyli buraczanym rzędem, który należało przerwać i oczyścić z chwastów. Jednakże, ~~szopere~~ współczucie i realną pomoc w przerywce otrzymałem niespodziewanie z zupełnie nieoczekiwanej strony! A była to znowu pomoc zaofiarowana przez Simę oraz inne dziewczęta z "budy":

Nauka angielskiego trwała. Czasami przerywało ją jakieś nagłe polecenie szefa, który wysyłał mnie do jakiejś innej roboty na cały dzień, kiedy nie miałem styczności z Anglikami. Musiałem to zaraz nadrobić w następnym okresie i przy najbliższej nadarzającej się okazji. Jednakże w roku następnym, to jest gdzieś chyba w połowie 1944 roku czy w jesieni, Anglicy zostali ewakuowani na zachód ponieważ front wschodni niebezpiecznie się przybliżył i Niemcy obawiali się jakichś zamieszek ze strony jeńców wojennych.

Pracowałem wówczas w oborze razem z Bolkiem Kosińskim i "szwajcarem" czyli mistrzem oborowym, Niemcem i w dodatku członkiem NSDAP - rządzącej partii hitlerowskiej. Tu dopiero poznałem do głębi ciężar fizycznej pracy, rannego wstawania o godzinie trzeciej nad ranem, bez nadziei ~~wności~~ swojego położenia, stanu niewolnika przykutego na stałe do taczek z karmą dla bydła, które zawsze było trzeba obrządzać bez względu na porę dnia czy nocy.

Co pewien czas trzeba było asystować i pomagać w czasie cielenia się, zaprzęgając się do powroza uwiązanego do poprzecznego drąga i ciągnąć z całej siły, zapierając się nogami w śliski od kału, moczu i krwi chodnik oborowy, wyciągając z krowich pochew zdrowe i dorodne cielaki. Było to już ponad moje siły; jednakże coraz częściej, we dnie i w nocy słychać było dudnienie potężnych bombardowań i ataków lotniczych na Gdańsk i Gdynię, co niesłychanie podnosiło mnie na duchu i pozwalało przetrzymywać bezsenne noce i ciężką pracę we dnie.

Chcąc częściowo zapobiec bezpośrednim atakom lotniczym na porty i liczne zakłady przemysłowe w pobliżu Gdańska i Gdyni, władze hitlerowskie zarządziły zbudowanie na polach Artschau i innych pobliskich majątków, sztucznego oświetlenia na wysokich słupach w szczerym polu. Ekipa monterska wkopała kilkadziesiąt drewnianych słupów na rozległych polach, połączyła je przewodami elektrycznymi z transformatorów i rozwiesiła na słupach mocne latarnie. Za jednym pociągnięciem dźwigni można było iluminować kilku-

sethektarowy obszar, imitujący w nocy oświetlenie właściwego centrum miasta, pracującego i żyjącego rzekomo normalnie na tym obszarze. Zawsze w czasie alarmu i spodziewanych nalotów, pola jarzyły się rżęsiście, jak gdyby zapraszając niezorientowanych w tym terenie alianckich lotników do bombardowania oświetlonych a pustych pól. Ale, jak pamiętam, ani jedna bomba nie spadła na "podstawiony" teren, a lotnicy oczywiście nie dali się nabrać na to oszustwo i lotniczy fortel.

W okresie zimowym właściciele majątków urządzali polowania z nagonką na zające, organizując je z całą pompą i nie żałując do tego ludzi spędzonych do tego celu. Brałem oczywiście udział w tej eskapadzie jako jeden z wielu naganiaczy zwierzyny, ubrany w "papierowy" garnitur i obuty w klumpy, zaopatrzony w tęgi kij do płoszenia i gonienia w pożądanym kierunku wszelkiej zwierzyny, która podlegała odstrzałowi. Chodziło przeważnie jedynie o zające, a inne należało przepuszczać. Dla mnie osobiście była to dobra zabawa i z ochotą przystąpiłem do płoszenia zajęców razem z innymi, chodząc w obławie i okrążając pierścieniem ogromny szmat pola, poprzedzielany na odcinki, w których operowali myśliwi mając przy boku swoich naganiaczy.

Kiedyś, będąc jeszcze w chłopięcym wieku, naganialiśmy w ten sposób stryjowi Zygmuntowi, który był również zawołanym myśliwym, zające na naszej łące, a po skończonym polowaniu, taszczyliśmy za uszy piękne i dorodne sztuki upolowane przez stryja do domu, gdzie opraciał je fachowo ze skóry i przekazywał do dalszej obróbki w piecu na brytwannie mamie, która przyrządzała wspaniałe pieczenie zajęcze. Chodząc więc po obszarniczych polach wraz z niemieckimi myśliwymi, nie mogłem się opędzić od tych wspomnień przeżytych w dzieciństwie w ojczystej zagrodzie, wracając z trudem do ponurej i nieznośnej rzeczywistości, krzycząc i machając kijem zgodnie z poleceniem szefa.

Oczywiście, że każde niepowodzenie w polowaniu, każdy chybiony strzał, czy nieplanowana ucieczka zajęcia spod strzelby szefa, była natychmiast kwitowana wściekłym wrzaskiem i niebezpiecznym machaniem nieodstępnej szpicruty nad naszymi głowami, jako jedynymi winnymi jego niecelnych i chybionych strzałów. Doświadczyłem to kilkakrotnie na sobie, ponieważ szef ustawił mnie dość blisko od siebie.

Upolowane zające należało przynosić do ustawionych na polu przyczep, gdzie inni pomocnicy uwiązali je do specjalnych kozioków do dalszego transportu. Oczywiście myśliwski bigos jedli wyłącznie sami myśliwi, a naganiacze zostali odesłani do swoich "bud".

Odwiedziny Teofila Lisieckiego w naszej "budzie" zuchęciły mnie do złożenia "rewizyty" w Koesemarku, gdzie przebywali wujostwo wraz z synami:

Edmundem, Teofilem i Antonim. Trasę podróży pokazał mi na małej mapce i objaśnił dokładnie Teofil, który pierwszy przetaił drogę w obu kierunkach, jako już bywały, doświadczony i otrząskany z niemieckimi warunkami członek naszej rodziny. Postanowiłem więc skorzystać z tych możliwości i odwiedzić rodzinę w tej wsi odległej od nas w prostej linii około 25 km.

Jednakże później okazało się to nie takie proste, jak sobie wyobrażałem i sądziłem. Chodziło tu konkretnie o to, że ^{nie}umiałem się jeszcze w ogóle poruszać w wielkim mieście, jakim był Gdańsk, i to jeszcze w dodatku w okresie władzy hitlerowskiej, kiedy na tego typu podróżujących czyhało wiele nieprzewidzianych zupełnie niebezpieczeństw, o czym miałem możność w czasie takich /półlegalnych/ wędrówek wkrótce się ^{próbkami}spotkać w bardzo przykrych okolicznościach.

Właśnie znowu z pomocą przyszła mi nieoceniona w tym czasie Sima, która z wielką chęcią, na moją prośbę, zgodziła się towarzyszyć mi w tej podróży do Gdańska, i zapoznać mnie z tymi, niesłychanie dla mnie w tym czasie trudnymi problemami poruszania się po ulicach wielkiego miasta, wyposażonego w przeróżne środki lokomocji jak np. tramwaje, stanowiącymi wtedy dla mnie kompletnym "tabu", czyli czymś o czym nie ^{nie} miałem ^{nie} zupełnego pojęcia, lub ^{było} zupełnie nieosiągalne, nawet w wyobraźni. Byłem wówczas, jeżeli chodzi o te sprawy, zupełnym ignorantem! Były to prawdopodobnie skutki braku doświadczenia i udziału w jakiegokolwiek wycieczkach do dużych miast w czasie mojego dzieciństwa i wieku chłopięcego. Bo przecież Kostopol, Berezne czy nawet Równe nie można było porównywać do takiego miasta jakim był Gdańsk!?

Pamiętam, że w towarzystwie Simy jechałem do Gdańska i na Dworcu Głównym trzeba było natychmiast przesiadać się do tramwaju, zatrzymującego się tuż przed dworcem, a następnie jechać gdzieś do centrum, mijając po drodze różne stare gmachy, budowle, kluczyć wąskimi uliczkami aby w końcu dojechać do dworca kolejki wąskotorowej, położonego na peryferiach Gdańska.

Tam ~~dopiero~~ należało wykupić za fenigi bilet do stacji, zwanej po niemiecku Klein Zuender, i stamtąd dopiero piechotą około 2-3 km można było dojść do Koesemarku, pytając się o majątek Niemca Pohlmann.

Sima pojechała z powrotem do centrum, a ja ruszyłem w pierwszą samodzielną podróż "ciuchcią", do złudzenia przypominającą mi "ciuchcią" mokwińską, którą oglądałem z niesłychanym zainteresowaniem, pasąc krowy na ojcowskiej łące.

Zachęcony pierwszą udaną wyprawą do krewnych w zupełnie obcym terenie, postanowiłem ~~zorganizować~~ zorganizować następne odwiedziny u Lisieckich w Koesemarku ale już z udziałem kilku osób. Do Gdańska na dworzec Główny podróż poszła zupełnie gładko, jednakże nie przewidziałem jednego - ...że kilkumi-

nutowe spóźnienie na tramwaj, pokrzyżuje zupełnie moje, tak misternie ułożone plany przewodzenia grupie, z którą jechałem. W następstwie drobnego opóźnienia nie zdążyliśmy na "ciuchcię" i w efekcie musieliśmy korygować to niedopatrzenie na własnych nogach, przemierzając później połowę drogi piechotą, maszerując pięknym asfaltem, wiodącym pomiędzy starymi drzewami, rosnącymi po obu stronach drogi prowadzącej do Koesemarku /dzisiejszy Kiezmark/.

Początkowa łatwość podróżowania pociągiem do Gdańska i z powrotem, a także owe odwiedziny u krewnych, niezupełnie co prawda udane, zachęciły mnie do spróbowania swoich sił na dalsze odległości tym bardziej, że uległem prośbom mojej Wujenki, która chciała bardzo odwiedzić młodego krewniaka przebywającego w tym okresie na robotach przymusowych w miejscowości Sobowice - na połowie drogi z Pszczółek do Gołębiewa. Nie pamiętam już imienia ani nazwiska tego chłopca, ale wiem tylko tyle, że napisał do Artschau kartkę, podając adres i nazwisko gospodarza gdzie pracował. Było to stosunkowo blisko od nas, gdzie pracowaliśmy.

Musiąłem naprzód dokładnie przestudiować trasę, którą mieliśmy zamiar podróżować. Udaliśmy się więc z prośbą do "wachmana" pilnującego Anglików, ponieważ wiedziałem, że posiada dużą mapę obszaru i okolic Gdańska, aby dokładnie wyjaśnił jak mamy jechać i jakie są połączenia pociągami do tej miejscowości. Stary "wachman" był nads spodziewanie uprzejmy i z miejsca spełnił naszą prośbę. Przejęci naszą podróżą w najbliższą niedzielę, zapomnieliśmy, a właściwie nawet nie przyszło nam do głowy to, że każde oddalenie się z miejsca pracy czy zamieszkania, a szczególnie w tym niespokojnym, wojennym okresie, i to bez specjalnego zezwolenia szefa, jest srogo karane!

Tak też się stało. Dojechaliśmy jakoś szczęśliwie do celu, znaleźliśmy chłopca dokładnie pod wskazanym adresem, ale trzeba było rychło wracać, ponieważ warunki w jakich przebywał i żył były wręcz opłakane. Zatrudniony przy oprzątaniu krów i koni w oborze tam też przebywał cały czas, siedząc lub leżąc na drewnianej pryczy w kącie obory, oddzielonym od zwierząt cienkim przepierzeniem z cegieł, bez podłogi, z jedynym maleńkim okienkiem nad wejściem, oraz drzwiami wychodzącymi wprost na podwórze, gdzie piętrzyła się ogromna kupa gnoju z cieknącą stale gnojówką. Nie było nawet na czym usiąść, porozmawialiśmy więc na stojąco parę chwil, Wujenka popłakała trochę nad losem samotnego chłopca i należało znowu wracać z powrotem pociągiem z przesiadką w Pszczółkach / po niem. Hohenlinden/. Właśnie tu, na tej stacji Bahnschutze, czyli strażnicy kolejowi natychmiast zainteresowali się nami, ponieważ czekając na pociąg do Gdańska, przechadzając się po peronie, wpadliśmy zupełnie niespodziewanie w ich łapy.

Za podróż bez zezwolenia i bez przypiętego znaczka "Ostarbeiter" przesie-

dzieliśmy w piwnicy pod poczekalnią ponad dobę, razem z kilku jeszcze innymi podobnymi nieszczęśnikami, podróżującymi na własne ryzyko bez zezwolenia okrutnej władzy.

Cała ta przygoda skończyła się ostatecznie bez kary chłosty chyba tylko z tego względu, że przebywałem w towarzystwie starszej kobiety czyli mojej Wujenki, która zupełnie nie rozumiała ani jednego słowa po niemiecku, oczywiście, że i moja nikła znajomość tego języka również nie na wiele się przydała.

Jednakże w późniejszym okresie, będąc również na jakiejś samodzielnej wyprawie ~~z~~ Gdańsku, w czasie przebywania w poczekalni na dworcu Głównym wpadłem w oko strażnikowi, który niespodziewanie wylazł z jakiegoś pomieszczenia. Zaprowadził mnie do jakiegoś kąta, i stwierdziwszy że nie mam przypiętego znaczka "Ost", trzasnął kilkakrotnie pałką przez głowę. Byłem wówczas ubrany w zieloną watowaną kurtkę i grubą czapkę z nausznikami, które otrzymałem w przesyłce z Brześcia po bracie - co znakomicie zamortyzowało wściekłe razy rozsierdzonego strażnika, niemniej gorszy był o wiele efekt psychologiczny tej "ideologiczno-rasistowskiej nauki". Wyciągnąwszy szybko z kieszeni ów niezbity dowód niższości mego pochodzenia i rasy, niezwłocznie usunąłem się poza niebezpieczny teren, oczekując gdzieś pod ścianą w klozecie na pociąg do Straszyna. W ten sposób nauczyłem się podróżować w tym okresie po terenie opanowanym przez "Herrenvolk"/ rasę panów/.

Mineła zima. Zbliżało się przedwiośnie 1944 roku i pierwsza rocznica pobytu w Artschau = Arciszewie. Szef zarządził remont "budy" i rozbudowę strychu na pomieszczenia mieszkalne dla robotników rolnych. Pan Rut, po śmierci starego stelmacha i stolarza w jednej osobie, awansował na jego miejsce i zagnieździł się w warsztacie stolarskim, położonym tuż przy głównym magazynie, dzieląc budynek wspólnie z folwarcznym kowalem, okuwającym wszystkie konie i wykonującym wszelkie prostsze prace kowalskie dla potrzeb folwarku. Jemu to właśnie szef zlecił dokonanie przebudowy strychu, przydzielając do pomocy Anglików. Robota poszła szybko. Oczyszczono strych ze śmieci i gratów, otynkowano przewód kominowy, ściany nośne i szczytowe, zabudowano ścianki działowe z płyt pilśniowych, wstawiono drzwi i wykonano krótki korytarzyk wiodący do poszczególnych pomieszczeń. Było ich chyba, jak pamiętam trzy. Ustawiono nowe schody prowadzące na strych i wybudowano małą balustradę na balkonie. Wkrótce większość młodych wyniosła się na poddasze w tej liczbie i ja z Tomkiem i Bolkiem, oraz Oksana, Marusia, Lidia i Sima z Olgą. Warunki mieszkaniowe ludziom mieszkającym na parterze tym samym znacznie się poprawiły, a młodzi zupełnie niespodziewanie, znaleźli się w nowych dla siebie warunkach bytowych i towarzyskich. Jako jeden

tego obszaru, czyli zastępcą Hitlera z ramienia NSDAP, Albert Foerster, rezydujący stale w Gdańsku.

W drugiej połowie 1943 roku, a także na początku 1944 roku naloty formacji bombardujących anglo-amerykańskich niesłychanie wzrosły. Ogromne eskadry w dzień i w nocy przelatywały w różnych kierunkach na znacznych wysokościach w asyście bardzo szybkich i zwrotnych myśliwców ochraniających lecące w zwartym szyku eskadry bombowców.

Na obszarze portów w Gdańsku i Gdyni, a dalej na zachód również w Szczecinie, celem ataków lotnictwa zachodnich aliantów były przede wszystkim zakotwiczone tam, po poprzednich uszkodzeniach w bitwach morskich i atakach lotniczych i przekazane przez dowództwo marynarki wojennej Rzeszy do remontów pancerniki oceaniczne i szkolne. Były to - zakotwiczony w Gdyni niemiecki pancernik *G n e i s e n a u* o wyporności 31 800 ton wybudowany w 1936 roku. Został on po ciężkich uszkodzeniach zadanych przez lotnictwo brytyjskie zdemobilizowany 1 lipca 1942 roku i zadokowany w porcie gdyńskim do generalnego remontu. W dniu 28 marca 1945 roku został zatopiony w ciężkim nalocie i osadzony przez hitlerowców na dnie przed wejściem w celu zablokowania portu.

Drugi pancernik, tak zwany pancernik szkolny - *S c h l e s w i g H o l s t e i n*, wybudowany w 1906 roku o wyporności 12 100 ton w dniu 18 grudnia 1944 roku został zbombardowany przez lotnictwo brytyjskie i zatopiony również w porcie w Gdyni, będący tam w remoncie po uszkodzeniach w czasie działań wojennych. Był to ten sam pancernik, który w dniu 1 września 1939 roku rozpoczął pierwsze działania wojenne przeciwko Polsce, ostrzeliwując obrońców placówki tranzytowej na Westerplatte w Gdańsku.

Natomiast w porcie szczecińskim i w Swinoujściu celem ataków eskadr bombowców brytyjskich i amerykańskich były: pancernik *D e u t s c h - l a n d*, wybudowany w 1931 roku, przemianowany w 1940 roku na *L ũ t z o w*, o wyporności 11 700 ton. Był on tak uszkodzony po bombardowaniach lotniczych, że hitlerowcy musieli go później wycofać z eksploatacji do końca wojny. W końcu wojny w dniu 4 maja 1945 roku hitlerowcy zatopili go na Morzu Bałtyckim, wraz z innym pancernikiem o nazwie *S c h l e s i e n*.

Oprócz tego w portach Morza Bałtyckiego przebywało w ostatnich latach wojennych dużo innych jednostek marynarki wojennej Rzeszy, które dowództwo hitlerowskiej "Kriegsmarine" przerzuciło celowo na akwen Morza Bałtyckiego z powodu niestannych, zacieklej ataków lotnictwa sprzymierzonych na flotę hitlerowską na zachodzie. Na tym terenie spodziewano się tego uniknąć, ponieważ lotnictwo radzieckie operacyjnie nie miało jeszcze możliwości atakowania tych jednostek na dalsze odległości. Na przeszkodzie stały tu

również czynniki konstrukcyjne jak i techniczne związane z budową samolotów przeznaczonych do bombardowania na dalsze odległości. Po prostu lotnictwo radzieckie nie dorównywało pod każdym względem konstrukcjom zachodnim.

Oczywiście, że o tym wszystkim wówczas zupełnie jeszcze nie wiedziałem ale będąc świadkiem zaciętych walk lotniczych nad tym terenem, zdawałem już sobie sprawę, że chodzi tu o ważne strategicznie porty nad Bałtykiem, będące niejako azylem dla resztek potężnej poprzednio na początku wojny, morskiej floty hitlerowskich Niemiec.

Prawdopodobnie w pierwszej połowie 1944 roku zjawiała się we folwarku dość liczna ekipa wojskowych elektryków i innych specjalistów niemieckich. Obiektem ich zainteresowania był duży transformator elektryczny, umieszczony na wysokiej wieży murowanej z cegły, znajdującej się na skraju podwórza tuż obok krowiej obory. Transformator dostarczał prądu do oświetlenia całego osiedla mieszkalnego, pałacu i kuchni, jak również siły do napędu silników elektrycznych, pomp wodnych czerpiących wodę ze studni i napędzającej rurami do obór i stajni, oraz innych maszyn.

Grupa elektryków i robotników w bardzo szybkim tempie wybudowała krótką odnogę linii elektrycznej od wieży w kierunku niżej położonego, ogrodzonego ze wszystkich stron pastwiska dla cielaków i krowiego młodniaka, ciągnącego się szerokim pasmem od szczytu stodoły i dalej za tylną ścianą długiej obory. Linia kończyła się drewnianym słupem, zamocowanym w kształcie litery "A", od którego szczytu biegły w dół przewody zakończone kilkoma gniazdami wtykowymi. Po kilku dniach ekipa odjechała.

Wkrótce na plac wokół słupa zwieziono jakieś ogromne urządzenia w częściach. Nowa ekipa przybyła razem z transportem tych urządzeń, szybko, również jak pierwszy zespół pracowników, zmontowała w jedną całość zwiezione zespoły. Okazało się, że były to olbrzymie reflektory przeciwlotnicze przeznaczone do wspomagania zwalczania ataków bombowców alianckich nękających coraz częściej porty i zakłady przemysłowe położone nad zatoką Gdańską.

Zespołów reflektorowych było kilka. Każdy zespół składał się z nieruchomej stalowej podstawy krzyżowej opartej bezpośrednio na wyrównanym placu, rozwidlonej, ogromnej szczęki-uchwyty z dwoma łożyskami na obu końcach, na których zamocowany był obrotowy reflektor. Dzięki tym dwu niezależnym zespołom, reflektor mógł być obracany korbami poruszonymi ręcznie na wszystkie strony i pionowo w górę.

Któregoś wieczoru, po zakończeniu montażu, ekipa wypróbowała działanie zespołu reflektorów. Widok był imponujący! Potężne smugi jarzącego się światła przecinać zaczęły niebo aż pod same chmury, płynące na wysokości ponad jednego kilometra. Z innych miejscowości odpowiedziały natychmiast podobne

potężne białe smugi, krzyżujące się wysoko na niebie. Miejsce skrzyżowania się dwu lub więcej smug świetlnych ogromnej mocy było kilkakrotnie jaśniejsze od pozostałych części reflektorowej smugi. Te ćwiczenia zespołów reflektorowych trwały do późna w nocy, tnąc czarne niebo zygzakami równych snopów światła na wszystkie strony. Niemcy poważnie zabierali się do obrony wybrzeża rozciągającego się nad zatoką Gdańską, które stanowiła dla nich klucz do utrzymania obszaru niezwykle ważnych portów oraz dróg prowadzących do Prus Wschodnich.

W końcu wiosny służbę przy obsłudze zespołów reflektorowych objęły małe oddziały kobiece zmieniające się co jakiś czas. Zostały one zakwaterowane na stałe w budynku obok pałacu szefa. Front wschodni zaczął się zbliżać szybko na ziemię polskie.

W okresie wiosennym zostałem przez szefa przydzielony na stałe do pracy w krowiej oborze razem z Bolkiem Kosińskim. Warunki znacznie się pogorszyły. Była to nad wyraz ciężka praca fizyczna. Równocześnie szef sprowadził ekipę monterską, która zainstalowała w oborze dojarki elektryczne wraz z całym zapleczem maszynowym. Przeciągnięto i zamocowano dwa rzędy rur podciśnieniowych nad grzbietami krów uwiązanych wzdłuż żłobów. Krowie łby sterczały na zewnątrz w kierunku okien obory po obu stronach środkowego chodnika, szerokiego około 2,5 metra. Po obu stronach chodnika biegły ścieki gnojowe obniżające się w jednym kierunku, gdzie na końcu wymurowane były zbiorniki.

Tuż obok obory znajdowało się specjalne pomieszczenie, gdzie przechowywano mleko w konwiach zanurzone w basenie z zimną wodą. Było to mleko z południowego i wieczornego udoju, wysyłane później z rannym udojem do mleczarni do Gdańska. W pomieszczeniu tym znalazło się miejsce na zainstalowanie sprężarki powietrznej wraz z silnikiem elektrycznym napędzającym oraz przechowywanie, płukanych ciepłą wodą i dokładnie czyszczonych po każdym dojeniu, hermetycznych baniek wraz z przyssawkami i gumowymi wężami służącymi jako łącza z rurami podciśnieniowymi biegnącymi nad grzbietami krów.

Teraz dopiero miałem możliwość poznać dokładnie zmechanizowaną pracę przy obsłudze ogromnego stada krów mlecznych liczących około 60-70 sztuk, oraz młodniaku mieszczącego się w drugim końcu ogólniej obory. Najgorsze było ranne wstawanie około godziny trzeciej. Codziennie po drugiej w nocy podchodził do "budy" szwajcar / o ile pamiętam nazywał się Biliński / i wołał donośnym głosem : "aufstehen, Boles, Aufstehen"! Sypiając tuż przy ścianie z okienkiem wychodzącym na tę stronę, przeważnie pierwszy słyszałem to wezwanie do wstawania i, z kolei budziłem Bolka. Biegliśmy szybko później prostą ścieżką, ogrodzoną z obu stron płotem drucianym biegnącą przez środek pastwiska, a wydeptaną przez setki nóg pracowników folwarcznych, da-

zących tędy do codziennych zajęć we folwarku. Wszyscy jeszcze smacznie spali, cały pałac i służba pańska były jeszcze uśpione, a wszystkie budynki pograżone w ciemnościach. Jedynie czasami, jak pamiętam, w okienku "wachmana" świeciło się przygaszone światełko. Stary cierpiał często na bezsenność.

Szwajcar budził już krowy i poszturchiwał je zmuszając do wstawania i wygnojenia się. Trzeba było naprzód usunąć gnój spod krów, podścielić nieco świeżej słomy, która zawsze była pod ręką, przewietrzyć halę otwierając niektóre okienka. Do moich specjalnych obowiązków należało poprzynosić aparaty do dojenia, a było ich razem sześć kompletów / baniek / oraz na polecenie szwajcara w oznaczonej godzinie zapuścić silnik elektryczny uruchamiający pompę / sprężarkę / podciśnieniową. Rozpoczynaliśmy ceremoniał dojenia, który był dość złożoną czynnością związaną z zainstalowaniem elektrycznego sposobu dojenia.

Kilka dni trwało zanim pod kierunkiem sprowadzonego monter-spezjalisty nauczyłem się obsługiwać elektryczne dojarki. Ze względu na moje częściowe kalectwo prawej ręki, szef polecił szwajcarowi nie zatrudniać mnie bezpośrednio przy ręcznym dojeniu, kiedy jeszcze nie było dojarek. Pracowałem jedynie przy wywożeniu gnoju starą kobyłą o imieniu "Liza", którą zaprzęgałem do drewnianych sań, o okutych stalowymi taśmami płozach, pchałem taczki z kiszonymi buraczanymi liśćmi, otrębami zmieszanyymi z makuchami czy wytłokami, przywoziłem na przyczepie słomę i tp. roboty nie wymagające specjalnych kwalifikacji czy zdrowia.

Dopiero po zainstalowaniu dojarek elektrycznych szef awansował mnie na ~~xx~~ stanowisko obsługiwaacza elektrycznych dojarek. Po kilku miesiącach mogłem stwierdzić, że ~~funkcja~~ ta nie była zbyt skomplikowana, ponieważ zawsze miałem skłonności do dżubania i grzebania w prostych urządzeniach elektrycznych niskiego napięcia, wyniesione jeszcze z domu rodzicielskiego.

Z dnia na dzień wciągałem się powoli do nowego rytmu życia i pracy w chlewni. Wstawałem kiedy wszyscy jeszcze byli głęboko uśpieni, biegłem z moim towarzyszem niedoli do krowich stanowisk i brałem się do roboty będąc jeszcze na pół śpiący. Szwajcar z Bolkiem, po ~~wiecznym~~ oczyszczeniu stanowisk krowich siedzieli już na swych jednonożnych stołeczkach przytroczonych paskiem do tyłków i zabierali się do ~~wstępnego~~ poddawiania krów, oczyściwszy je z gnoju i umywszy ciepłą wodą wymioną.

Pierwsze litry ciepłego świeżego mleka były przeznaczone przez szwajcara / oczywiście nielegalnie, bez wiedzy szefa / do wypicia przez nas na chybcika, stojąc ukryci za krowymi grzbietami. Należało do już do codziennego rytuału. Początkowo, będąc żywiony brukwią i cuchnącą kapustą, cierpiałem stale na niedosyt. Żołądek wciąż domagał się uzupełnienia brakującego

zastrzyku pokarmowego, przystąpiłem więc ochoczo do picia tłustego, ciepłego mleka. Wkrótce przekonałem się jednak, że na osłabiony organizm i nie -
sprawny żołądek tłuste mleko podziało jak gwałtowna dawka większej ilości rycynusu, lekarstwa, które w dzieciństwie dawała mi matka na moje częste ztwardzenia. Powtórzyła się sytuacja z czasów nauki w gimnazjum rówieńskim, kiedy to osłabiony organizm po przyjęciu większej ilości smacznego domowego mleka gwałtownie zareagował rozwolnieniem żołądka. Od tego czasu miałem dziwną awersję do mlecznych potraw, a szczególnie do picia świeżego mleka.

Regularne picie tłustego mleka wczesnym rankiem, bez intensywniejszej fizycznej zaprawy zaczęło dawać opłakane skutki. Ponownie zacząłem cierpieć na gwałtowne rozwolnienie. Kucąłem długo pomiędzy rzędami krów z opuszczonymi portkami nie mogąc się przyzwyczoić załatwić. Bystre oko szwajcara natychmiast stwierdziło rzekome uchylenie się od solidnej pracy i ...
~~Wkrótce~~ wziął mnie pod baczniejszą uwagę. Coraz częściej sytuacje stawały się napięte i niebezpieczne, kiedy przykuchnięty pod krowami brzuchami musiałem jednocześnie trzymać portki w garści i, wychylając się za krowich zadków, obserwować skradającego się w moim kierunku szwajcara!

Wkrótce musiałem na jakiś czas zaprzestać picia mleka do chwili, kiedy choroba i dolegliwości żołądkowe związane z tym ustąpiły. Później, za poradą Wujenki zacząłem przynosić buteleczkę mleka do "budy", gdzie zacząłem je gotować w blaszance po konserwie i pić przegotowane. Trochę to pomogło, ale nie na wiele. Wciąż czyniłem to pod strachem, ponieważ mleko było rygorystycznie przydzielane do spożycia dla wszystkich mieszkańców i wszelkie odstępstwa od "normy" były surowo karane przez szefa oraz miejscowe władze hitlerowskie.

Jednakże głód popychał stale do ryzykownych posunięć. Zauważyłem, że pewnego razu Bolek wyciągnął z kieszeni butelkę z czystą śmietaną i zaczął sobie popijać ze smakiem w "budzie" po pracy, kiedy odpoczywaliśmy po rannym udoju i oprzątnięciu krów. Okazało się, że śmietaną zbierał z baniek pozostawionych z wieczornego udoju umieszczonych w basenie z zimną wodą. Postanowiłem zaryzykować, i zabrałem się precyzyjnie do podkradania śmietany na szkodę "Wielkiej Rzeszy i Wodza" - zwrot ten zapożyczyłem z "Danziger Vorposten".

Codziennie rano, kiedy przenosiłem aparaty dojarkowe do obory, celowo marudziłem kilkadziesiąt sekund wyjmując błyskawicznie przygotowane uprzednio w kieszeni małe buteleczki i, zanurzając je w kilku bańkach ustawionych w basenie chłodniczym, szybko zbierałem z wierzchu warstwę śmietany, zacierając następnie szybko krawędź palcem aby nie było śladu poziomu płynu,

oblizywałem w przyspieszonym tempie palce, płukałem buteleczki w zimnej bieżącej wodzie nad zlewem, pchałem je w nerwowym pośpiechu do kieszeni i... jak gdyby nigdy nic, taszczyłem resztę dojarek do wnętrza chlewni.

Początkowo kradłem zawsze po jednej buteleczce śmietany ale z chwilą kiedy wszystko zaczęło iść swoim trybem, postanowiłem brać dwie. Okazja rodzi więc złodzieja. Od tego czasu gotowane zupy, które fasowałem z ogólnej kuchni były zawsze zabielaone **ściąganą** śmietaną, a kartofle jadałem teraz wspólnie z Tomkiem i Wujenką okraszone zsiadłym mlekiem zmieszany z śmietaną. Widmo głodu, które poprzednio, kiedy pracowałem na polu stale mnie prześladowało, obecnie przestało być zmorą na jakiś czas.

Rozpoczęły się systematyczne naloty bombowców alianckich na porty. Było to niezapomniane widowisko, kiedy któregoś dnia, w samo południe duża formacja amerykańskich samolotów bombardujących zaatakowała Gdynię i Gdańsk.

Wycie syren, dochodzące z Pruszcza i Straszyna oraz częściowo z przedmieść Gdańska zelektryzowało wszystkich. Na małym wzgórku pod samotnym drzewem miałem tam upatrzony swój punkt obserwacyjny. Olbrzymie kłęby sztucznej mgły zaczęły się wzbijać do góry, otulając burą zasłoną cały północny widnokrąg. Dudnienie wystrzałów artylerii przeciwlotniczej przerywane było ciężkimi wybuchami bomb. Wysoko na niebie widać było długie białe smugi spalin silników samolotowych, snując gęstą pajęczą siecią całą zachodnią połąć czystego nieboskłonu. Pod nimi, doskonale widoczne gołym okiem na niebie, rozrywały się pociski znacząc ślad wybuchu gwałtownie rozszerzającym się obłoczkiem czarnego dymu po rozerwanym pocisku. Pociski rwały się gęstym równym szeregiem, goniąc bezskutecznie klucze lecących śmiało na znacznej wysokości eskadry bombowców, ochraniaane szybkimi punkcikami uwijających się wokół nich myśliwców. Dochodzić zaczęły wkrótce do uszu poszczególne krótkie, urywane serie karabinów maszynowych, ciche ale ostre i bardzo wyraźne słyszalne z odległości około kilku kilometrów. Z dołu podlatywały małe formacje niemieckich myśliwców usiłujących nawiązać walkę z eskadrą.

Patrzyłem jak urzeczony na to wspaniałe i groźne widowisko. Zachodnią, północno-zachodnią i północną część nieba zasnuta została wkrótce czarnymi dymami gęstych wybuchów pocisków artyleryjskich, rozrywających się teraz chaotycznie z różnym natężeniem i kierunkach. Potężna eskadra liczyła chyba kilkaset samolotów; niebo, powyżej czarnych wybuchających wciąż pocisków było pocięte gęstymi, krzyżującymi się w różne strony białymi smugami spalin. Widać było, że eskadra zatacza różne kręgi i atakuje porty z różnych stron. Ziemia zaczęła powoli trząść się i chybotać od zlewających się w jeden huk potężnych uderzeń spadających z góry i wybuchających ze straszliwym łomotem ciężkich bomb. Zafascynowany tym niesamowitym i groźnym widowis-

kiem, nie zauważyłem początkowo, że w naszym kierunku spływał z góry jakiś szybki myśliwiec, zapewne ~~typu~~ Messerschmidt, kierując się w stronę lotniska pod Pruszczem. Gwałtowny i niespodziewany, przerywany łomot silnika od strony południowo-zachodniej dobiegł do moich uszu i wtedy ujrzałem nagle wznoszący się i opadający w jakichś konwulsyjnych podrygach niemiecki myśliwiec z wyraźnym czarnym krzyżem ~~na~~ obu stronach skrzydeł od dołu.

Myśliwiec zniżał się coraz bardziej i w pewnym momencie sądziłem, że wyląduje na dachach naszego osiedla. Pilot ~~pod~~erwał maszynę w górę, samolot ~~wy~~konał ciężki łuk ponad dachami i ...stopniowo zaczął spadać na leżące dalej tuż pod lasem obszerne puste pole. Pilot wykonał jeszcze manewr podrywający samolot przodem do góry zaczepiając jednocześnie ogonem o ziemię...

Ogon pyłu natychmiast pojawił się od strony usterzenia. Myśliwiec miał schowane podwozie - było chyba uszkodzone albo pilot postanowił lądować na brzuchu, a w tym wypadku koła tylko przeszkadzałyby ~~by~~ na nierównym polu - silnik załomotał nagle nierównym biegiem i zgasł. Ogromne śmigło zaczęło gwałtownie orać przed sobą pole żłobiąc głęboki ślad na długości kilkuset metrów; w ostatniej chwili kadłub, na ułamek sekundy jeszcze konwulsyjnie dźwignąwszy się nieco ku górze, ciężko grzmotnął o ziemię wzbijając za sobą tumany kurzu i pociętej na miał ziemi przez ~~zagięte~~ do tyłu łopaty śmigła... Rozkrzyżowany bezradnie, uszkodzony kadłub myśliwca zatrzymał się tuż przed gęstym, sosnowym lasem, za którym w dole znajdował się zalew Raduni, elektrownia wodna i widne z daleka lotnisko w Pruszczu Gdańskim.

Ruszyłem pędem w kierunku samolotu. Po kilku minutach stanąłem przed leżącym bezradnie nieruchomym kadłubem z uszkodzonym usterzeniem i wygiętym silnie do tyłu trzema łopatami śmigła. Lotnik wygramolił się z siedzenia i stał obok obciążony z tyłu ciężkim, złożonym w ścisłą kostkę spadochronem. W ślad za mną nadbiegli inni ludzie z osiedla i zajęli się lotnikiem. Wkrótce zjawił się szef, który przygalopował ~~w~~ierzchem na koniu. Machając władczo ręką w której trzymał nieodstępny pejcz, kazał natychmiast wszystkim ludziom usunąć się z pola i iść do domów. Zdażyłem jeszcze obejść ze wszystkich stron kadłub samolotu. Podziwiałem zręczność i doświadczenie zawodowe lotnika. Samolot dwukrotnie odbijał się dolną częścią kadłuba od ziemi zanim zatrzymał się przylegając całą długością spodu. Półokrągła rynna, wyżłobiona przez wirujące śmigło ciągnęła się kilkadziesiąt metrów z tyłu, wyraźnie widoczna na pustym polu i rzucająca się w oczy świeżością poruszonej i rozrzuconej daleko ziemi.

Na drugi dzień przyjechała ekipa pracowników lotniska z Pruszcza zaopatrzona w specjalny dźwig i platformę. Zdjęto skrzydła i po załadowaniu kadłuba odwieziono do hangarów do remontu, a lotnika szef odwiózł samo-

chodem. W "budzie" długo komentowaliśmy i roztrząsaliśmy szczegóły lotniczego ataku na porty i brawurowego lądowania uszkodzonego hitlerowskiego myśliwca.

Szef zwiększył nieco pogłowie krów mlecznych. Krowy karmione kiszonką bardzo brudziły swoje stanowiska i trzeba było ~~KXXK~~ podścielać więcej słomy. Praca przy krowach w oborze stała się obecnie cięższa niż dawniej. Stara kobyła nie mogła już uciągnąć olbrzymich kup gnoju, które codziennie z trudem wywalaliśmy na sanie, poganiając nieszczęśliwą "Lizę" dobywającą resztki sił wyciągając gnój na ogromną kupę przed oborą. Szwajcar zażądał od szefa pomocy. Któregoś dnia ~~stawił~~ się do pracy Anglik - "Trekefirer", o którym wiedzieliśmy, że pracuje za czterech chłopów. Ten dopiero pokazał co potrafi!

Szwajcar jak, zwykle, ustawił się cichoem za jakimś słupem puszczając wodę dla krów, która ciekła bardzo cienkim strumyczkiem, obserwując nas ukradkiem i łypiąc zza słupa w naszą stronę jedynym okiem /ponieważ miał bielmo na drugim/, a ja z Bolkiem zabraliśmy się do wyrzucania gnoju spod krów, każdy ze swojego rzędu. "Trekefirer" jednakże po chwili zastanowienia ustawił się sam z jednej strony, a mnie polecił pomagać z drugiej strony Bolkowi. Pracowaliśmy obydwaj normalnymi widłami czterozębnyymi, z trudem wyszarpując zleżały gnój. Anglik, który już wcześniej zaopatrzył się w stare ale jeszcze sprawne widły od kartofli z potężnym uchwytem i szerokim nabierakiem, ruszył do wywalania gnoju jak szatan! Mocując się z ciężkim gnojem obserwowałem ukradkiem jego system roboty. A było na co patrzeć!

Szturchając styliskiem krowy wyrzucał naprzód błyskawicznie spod nich nawóz spychając go do rynny i układając w niesłychanie szybkim tempie wał wzdłuż chodnika. Krowy natychmiast czując energiczną rękę cofały się na boki w popłochu ustępując przed atakującym krowie stanowiska "Trekefirerem", który trzymając w zębach dymiącą fajkę okładał od czasu do czasu po zadzie niektóre zbyt opieszale krowy. Skończywszy swój rząd, natychmiast cofnął się z powrotem na skraj i zaczął jeszcze szybciej zsuwać po rynnie gnój aby utworzyła się odpowiednio wysoka kupa, którą później podważając kartoflanymi widłami, z ogromnym wysileniem zwałił na sanie. Kilka takich potężnych rzutów wystarczyło aby zapełnić całe sanie!

W czasie tej pracy odstawialiśmy daleko w tyle oczyszczając wspólnie jedną stronę krowich stanowisk. Pykając fajkę Anglik tymczasem obserwował nas jakiś czas, potem zniecierpliwiony naszym nieporadnym grzebaniem się, przechodził do naszego rzędu i... brał się do roboty z drugiego końca zbliżając się szybko w naszą stronę. Za chwilę sanie były pełne.

Stara kobyła eksploatowana zbyt intensywnie przez krewkiego Anglika wkrótce odmówiła posłuszeństwa. Któregoś dnia nie zdołała już więcej wyciągnąć sań na czubek olbrzymiej kupy gnoju i trzeba było zwałać nawóz tuż u podnóża przyzmy, a później widłami przerzucać dalej na sam wierzch, ponieważ szef nie znosił widoku rozbabranego przyzmy. W tym czasie mnie przypadło w kolejności odtransportować mleko na asfalt.

Zmordowana kobyła z wielkim trudem dociągnęła czterokołowy ogumiony wózek na drogę, ale z powrotem kiedy usiłowałem zawrócić przy wjeździe na boczną drogę, przewróciła się pomiędzy dyszlami i... więcej już nie wstała na nogi. Zdechła jeszcze tego samego dnia.

Rozbudowa pomieszczeń mieszkalnych na strychu "budy", gdzie przeniosła się większość młodzieży obojga płci, znakomicie ułatwiła zawieranie bardziej intymnych stosunków pomiędzy zarysowującymi się "sympatiami" dziewcząt i chłopców. Jak już pisałem, Bolek zaczął asystować Lidii i okazywać jej na każdym kroku swoje świeżo pączkujące uczucia. Ja natomiast, czując coraz to bardziej przemożny wpływ Simy na moją dojrzewającą erotycznie psychikę, nie pozostawałem w tyle za moimi duchowymi potrzebami.

Foczątkowo na przeszkodzie stanęło moje nieprzewidziane zupełnie, nagłe przeniesienie mnie przez szefa do pracy w chlewni. Codzienne, bliskie obcowanie z Simą, nasze wspólne niedzielne, bezprawne coprawda, podróże i wycieczki do Gdańska raptem się skończyły, jak również wspólne grasowanie albo niewinne figle czy mocowania się w czasie młocki, pracując w stodole na sterwie razem z innymi. Jednakże, kiedy w czasie tych przewrotów i tarzań na snopach musiałem Simę trzymać tęgą w rękach i czasami przyciskać do siebie całym ciałem, zacząłem niespodziewanie odczuwać jakiś palący ogień pożądania, potęgujący się tym bardziej, że w niektórych takich momentach dziewczyna przestawała się niby bronić i... opadała razem ze mną na miękkie snopy pociągając mnie ze sobą trzymając się kurczowo za szyję i zbliżając niebezpiecznie swoje usta do moich. Gorąca krew falą nabiegała wówczas mi do głowy paraliżując zupełnie wzrok i moje mięśnie. Musieliśmy jednak oboje pamiętać, że tuż obok nas znajdowała się inna grupa chłopców i dziewcząt, wyznaczająca podobne barce na snopach! Wszystko to się skończyło i jakiś czas musiałem pokutować w chlewni, szukając możliwości częstszego obcowania z Simą, obmyślając jednocześnie sposoby realizacji spotkań. Do tego celu nadawał się znakomicie ów wąski i krótki korytarzyk łączący nasze pomieszczenia na strychu.

Wieczorami, kiedy miałem trochę czasu po wieczornym obrządzeniu krów, przebywając w swoim pomieszczeniu na strychu, zawsze pilnie wypatrywałem

przez okienko wracających do "budy" dziewcząt z wieczornego obierania kartofli. Zastępowałem wówczas drogę Simie w korytarzyku przekomarzając się z nią dłuższy czas i trzymając ją za ręce, które wcale, jak to natychmiast wyczuwałem, nie wydzierała i nie cofała za siebie, pozwalając później przyciągnąć się bliżej i całować w usta. Wkrótce podobne zbliżenia stawały się częstsze i bardziej intymne. Każdą jej bliższą obecność zacząłem natychmiast podświadomie odczuwać, kierując swoje myśli i odczucia w jej stronę. Te myślowe napięcia uruchomiały z miejsca działania fizyczne, które czasami stawiały moją osobowość w stan gotowości realizacji najbardziej śmiałych zamierzeń czy pomysłów.

Czasami w te erotyczne skojarzenia zupełnie niespodziewanie wkraczała postać mego potencjalnego rywala - Anglika, o którym zaraz na początku mego przybycia do "budy" dowiedziałem się, później nawet sam widziałem, że asystuje i zaleca się do Simy. Wówczas to moja rogata dusza buntowała się i zacinąła w dziwnym oporze, pozwalającym na próbę odseparowania się od miłych spotkań w korytarzyku czy rezygnacji z intymnych zbliżeń. Próby te kończyły się przeważnie bezradną klęską z raz powziętych postanowień.

Stwierdziłem bowiem doświadczalnie, że skutki są zupełnie inne; świadome stawianie sztucznych przeszkód wyzwalalo natychmiast przeciwdziałanie innych, jeszcze bardziej intymnych i skrytych sprężyn działania, reagujących na zupełnie ~~podświadome~~ bodźce, na które już nie miałem zupełnie wpływu! Czyżby to było podobne do tego uczucia, które niedawno przeżyłem, a którego korzenie tkwiły jeszcze we mnie, nie dając się zupełnie wyrwać!?

Musiałem więc przeprowadzić retrospektywną kontrolę mego nowego stanu psychicznego i ewentualnie szukać sposobu rozwiązania: bronić się przed wdzierającym się do mojej psychiki nowym uczuciem czy bezwolnie pozwolić się ~~nagnieździć~~ we mnie i ulec mu! Oto było pytanie, jedne z ważniejszych, na które musiałem znaleźć rychło odpowiedź w owym czasie, kiedy wkraczałem w swój wiek męski! Nie przypuszczałem wówczas, że najbliższe miesiące, groźne i pełne przeziennych wydarzeń przyniosą całkowite rozwiązanie i odpowiedź na to i wiele, wiele innych dryczących mnie zagadnień.

Postać Anglika-Trekefirera interesowała mnie pod każdym względem. Był dość rozmowny i chętnie opowiadał łamanym niemieckim językiem swoje różne domowe przeżycia i przygody. Charakter miał dość ekscentryczny i niezrównoważony. W przeciwieństwie do swoich kolegów zawodowych szeregowych żołnierzy armii angielskiej, nie uznawał powolnej, systematycznej pracy, a nawet celowo zwalnianej w czasie kiedy nie było szefa w pobliżu.

Był bardzo silny chociaż niezbyt wysokiego wzrostu, lekko zgarbiony sprawiał wrażenie bardzo spokojnego i statecznego człowieka. Zmieniał się

jednakże natychmiast kiedy stawał przed problemem wykonania jakiejś bardziej złożonej i ciężkiej roboty, której szef mu nie szczędził znając jego impulsywny charakter i zaciekłość w pokonywaniu przeszkód. Nosił zawsze ze sobą kapciuch z tytoniem i fajką. Przed rozpoczęciem roboty stawał chwilę zadumany, marszczył brwi, nabijał powoli fajkę i, wsadziwszy ją sobie w zęby, mierzył wzrokiem przydzielony odcinek pracy. Pykając coraz szybciej i puszczając dym bokiem zaciśniętych ust ... ruszał z furją do roboty i szaleńczej pogoni z czasem! Tak było zawsze w czasie wykonywania każdej pracy, również i w oborze gdzie pracował już wcześniej. Szef wiedząc o tym kierował go zawsze do wykonywania najcięższej pracy.

Wciąż zadawałem sobie pytanie, co go zmusza do tak niesłychanego wysiłku w czasie pracy i, obserwując go przez pewien czas, prawdopodobnie odkryłem częściowo przyczynę czy tajemnicę jego zachowania się w celu zyskania na czasie.

Zazwyczaj po każdym porannym obrządzaniu krów, dojeniu, wywiezieniu gnoju na przymę i oczyszczeniu chodnika, szybko przebierał się, mył i zniknął z obory. Szwajcar, który go doskonale znał, wiedząc o tym, że pracę która do niego należała wykonał wcześniej, nie robił mu w tym momencie żadnych przeszkód. W okresie wiosennym, w czasie przedpołudniowych przerw w zajęciach w oborze Anglik udawał się do swojego pomieszczenia, przebierał w czysty mundur żołnierski, golił, zapalał nieodstępną fajkę i ... szedł na pole, gdzie pracowała w tym czasie Oksana. Zawsze pachniał wówczas mocną wodą kolońską, a w kieszeniach bluzy przynosił jej czekoladę czy inne drobiazgi, na które są łase wszystkie dziewczęta. Po chwili brał zapasową kopanicę i ... stawał obok Oksany w rzędzie grasując zawzięcie zarówno swoją jak i jej "raję", wyprzedzając wkrótce całą kolumnę innych pracowników. Taki był już ten "Trekkfirer!"

Na strychu obory było składowane prasowane siano z lucerny i koniczyny. Oprócz tego leżały tam również bele sprasowanej słomy owsianej i jęczmiennej przeznaczone na skarmianie przez krowy i stado owiec. Część strychu była oddzielona grubym murem. Znajdował się tam magazyn pasz treściwych - zwały suszonych wytlóków buraczanych, otręby w workach papierowych, maku-chy i inne pasze granulowane, których nawet nazw nie pamiętam.

Główną magazynierką we folwarku była najstarsza córka starego Gnyby imieniem Maria, o której zapomniałem poprzednio zupełnie. Obsługiwała ona również główny magazyn zbożowy, gdzie mieścił się duży śrutownik, była zainstalowana winda do worków, jakieś elewatory, wentylatory, dmuchawy. Wszystko to było napędzane prądem elektrycznym. Nazywaliśmy ją z niemiecka "Marie" - Marii, erując gardłowo spółgłoskę "r" i przeciągając końcówkę "i".

Dość niskiego wzrostu miała ładny owal twarzy i piękne oczy, z czarnymi

długimi rękami. Kiedy rozmawiała z mężczyznami, tak ~~się~~ mnie się wydawało, spuszczała powieki w dół i odwracała się bokiem. Była chyba już starszą panną. Miała również swojego Anglika, jak każda miejscowa dziewczyna.

W czasie pracy nosiła stale przy boku pęk kluczy, biegnąc do magazynów położonych na przeciwległych krańcach rozległego folwarcznego podwórza rejestrując i wydając potrzebne materiały, produkty, przyjmując na stan zboże, pasze, paliwo - stale zabiegana i zapracowana. W magazynie głównym pomagał jej jeden z Anglików, zatrudniony tu na stałe, młody, szczupłej postaci z zaczesanymi na gładko włosami na głowie smarowanymi obficie brylantyną używaną powszechnie przez jeńców angielskich. Tworzyli wspólnie dobrą parę.

W ciągu godzin roboczych szef bardzo często porozumiewał się z Marią, lustrował magazyny w jej obecności, a kiedy czasami przebywała w ~~magazynie~~ magazynie, poza zasięgiem wzroku, natychmiast rozlegał się jego podniesiony głos albo wysyłał kogoś do jej odszukania, kto był tylko pod ręką. W razie jej nieobecności nawet parę razy, a byłem świadkiem tych faktów, brał sam klucze i wydawał potrzebne artykuły, szczególnie żywność / kartofle, warzywa / dla potrzeb pracowników zatrudnionych we folwarku. Widocznie nikomu nie dowierzał, tucząc się na ludzkiej krzywdzie. Byłem na szczęście biernym świadkiem zupełnej ruiny i upadku tego zajadłego hitlerowca. Dosłownie w ciągu kilku dni stracił wszystko!

Napływające informacje z sytuacji na frontach niosły zapowiedź rychłego upadku hitlerowskiego panowania w uciemiężonej Europie. Pracując od kilku miesięcy w krowiej oborze miałem obecnie najnowsze wiadomości z pierwszej ręki, bo od samego...szwajcara, który będąc członkiem NSDAP / hitlerowskiej partii, aktualnie dzierżąc władzę przede wszystkim w samych Niemczech/, stawał się coraz bardziej zaniepokojony porażkami armii niemieckich.

O ile się nie mylę, oprócz młodego Arna, kilkunastoletniego syna, posiadał jeszcze starszego, będącego na służbie w armii. Przebywał prawdopodobnie na wschodnim froncie, który obecnie trzeszczał i rozpadał się pod uderzeniami sowieckich armii. Stary szwajcar codziennie słuchał pilnie wiadomości z frontów nadawanych przez radio hitlerowskie, ale oprócz tego, odnosiłem takie wrażenie, że musiał również słuchać komunikatów wojennych z Londynu czy innych zachodnich radiostacji. Znał doskonale język polski i niemiecki wysłuchiwał więc napewno także audycji i wiadomości w języku polskim. Niepokoił go szczególnie front wschodni, który w tym czasie zbliżył się do Bugu i w niektórych odcinkach nawet przekroczył tę historyczną rzekę oddzielającą Wołyń, który już był zajęty przez wojska radzieckie, od Generalnej Gubernii. Informując nas o niektórych postępach militarnych

wojsk radzieckich ~~czy~~, anglo-amerykańskich, czy nawet polskich, nie mógł ukryć przykrego dla siebie wrażenia, że wszystko tak szybko zmienia się na gorsze. Jeszcze trzy, czy dwa lata temu Niemcy dyktowały całej pokonanej Europie swoje warunki, zdobywając i rabując jedno państwo po drugim, a obecnie wszystkie te zdobycze zupełnie wyslizgują się im z rąk, ponosząc na każdym froncie dotkliwie straty. Stary nie mógł tego jakoś zrozumieć.

Zasłyszane wiadomości od szwajcara, które przekazywał nam w tajemnicy, natychmiast korygowałem i porównywałem z ~~informacjami~~ wyczytanymi w dzienniku "Danziger Vorposten" nanosząc później te zmiany na mapce. Tu dopiero orientowałem się dokładnie jakie były różnice w danych, otrzymywanych z dwu zupełnie innych źródeł.

Powoli stosunki pomiędzy mną a szwajcarem zaczęły się psuć. Każdego ranka przynosił coraz gorsze wiadomości z frontów co wprawiało go w zły humor. Początkowo wyśmiewał i krytykował informacje aliantów, ale później, kiedy po pewnym czasie wiadomości te powoli zaczęły się potwierdzać w oficjalnej hitlerowskiej prasie i radio, stary poważniał i zasiadając do poddawania krów, milczał długo, zażywając wolniej niż zwykle tabaki. Dopiero kiedy kilka krów poddoił, rozpoczął wówczas starcze narzekania na ciężkie czasy i wariackiego szefa, z którym przyszło mu współpracować.

Po pewnym czasie zaczął powoli przyczepiać się do mnie za niewłaściwe, jego zdaniem, obsługiwanie elektrycznych dojarek. Chodziło konkretnie o to, że krowy zaczęły chorować na wymioną po wprowadzeniu elektrycznego udoju. Wymiona puchły, czasami tylko jedna, dwie lub trzy sutki, krowy stawały się nerwowe, szczególnie młodsze, fukały i kopały nogami kiedy zbliżałem się do rzędu krów, załączając przewód do syczącego powietrznego zaworu. Po otwarciu zaworu pulsator zaczynał działać wydając charakterystyczny, przerywany stłumiony syk, co bardzo drażniło płochliwe, młode krowy. Musiałem wówczas długo uspokajać podrażnione zwierzę, trzymając jedną ręką aparat, a drugą głaszcząc i klepiąc po zadku, pocąc się jednocześnie z nerwowego wysiłku.

Zacząła się moja nowa udręka. O chorobie krów, powstałej jakoby z mojej winy szwajcar zawiadomił szefa. Musiałem znowu wysłuchiwać wrzasków i pogroźek szefa, wymachiwać laską niebezpiecznie blisko moich pleców i tyłka, przyjmować do wiadomości obietnic o wysłaniu mnie do obozu w Sztuthofie.

Sprowadzony specjalista oraz weterynarz wyjaśnili wreszcie sprawę. Okazało się, że był to normalny objaw choroby wymion i sutek u krów, które zostały poddane elektrycznemu systemowi dojenia. Była to normalna reakcja zwierzęcego organizmu na wprowadzaną automatykę, do której musiał się stopniowo przyzwyczaić. Był to tak zwany obronny odruch warunkowy znany w psychologii zwierząt. Sprawa się wyjaśniła ale uprzedzenie i uraz pozostał, zarówno w mojej jak i krowich psychikach. Odtąd narodziła się podjazdowa walka

poniędzy mną a szwajcarem, podsycana później przez "Trekefirera" i innych Anglików, którzy czasami byli kierowani do pomocy w chlewni lub spotykałem się z nimi w czasie wykonywania innej pracy we folwarku. Powoli zacząłem hołdować zasadzie, którą przejąłem od Anglików, że dla "Dżeris" trzeba pracować powoli / "immer langsam"/, nie przejmując się zupełnie robotą.

Rozpocząłem dwudziesty rok życia poznając coraz lepiej jego zawiłości i komplikacje. Obskurna, ciężka fizyczna praca trwająca od późnych godzin nocnych z małymi przerwami do późnego wieczora, bez normalnego czasu na godziwe rozrywki kulturalne i inne, których tu w ogóle nie było, zaczęły mi wreszcie doskwierać do żywego. Brak było jakiegokolwiek polskiej książki do czytania czy samokształcenia się nie mówiąc już o zwykłych podręcznikach np. do nauki języków obcych albo chociażby słowników angielskiego czy niemieckiego. Szarpałem się pomiędzy dorywczym ciągnięciem za język Anglików, Niemców czy nawet Simy, która bardzo chętnie uczyła mnie całych zwrotów po rosyjsku, a ciągłą obawą i strachem aby to się nie wydało, że tracę drogocenny czas na podobne bzdury. Szef każdemu deptał zawsze po piętach wykorzystując siły i umiejętności swoich niewolników do ostatnich granic.

Jedyną rozrywką jaka mi pozostawała do wyłącznej mojej dyspozycji była możliwość ukradkowego spotkania się z Simą w różnych okolicznościach i miejscu. Wąski korytarzyk, łączący nasze pomieszczenia na przebudowanym strychu już nam nie wystarczał. Obieranie kartofli nie mogło już wchodzić w rachubę ze względu na zróżnicowany nasz czas pracy. Kiedy rano odsypiałem nocne godziny pracy, Sima pracowała gdzieś daleko na polu, i nie miałem z nią wówczas żadnej styczności. Konieczność częstego widywania się stawała się dla mnie obecnie czymś zupełnie normalnym i nieodzownym wiedząc jednakże o tym, że mam stałego rywala w osobie jednego z Anglików.

Uczucie zazdrości, początkowo zupełnie mi obce i nieznanne, zaczęło się rodzić powoli, wbrew moim wysiłkom, zamieniając się z biegiem czasu w uczucie niechęci i rezygnacji, a potem złości czy nienawiści, ale w stosunku, co było dla mnie pełnym zaskoczeniem do... Simy! W takim stanie duchowym ponownie zacząłem odczuwać, zaleczone nieco wcześniej bóle korzonków nerwowych w okolicy stawów lędźwiowych. Zupełnie niespodziewanie dla mnie, droga z Pruszcza Gdańskiego do Arciszewa stała się ponownie dla nas miejscem intymnych, chociaż krótkich, nerwowych spotkań. Musiałem znowu udać się do lekarza uzyskując kilkudniowe zwolnienie od pracy, które trzeba było wykorzystać na szukanie leków w miasteczku, a potem przymusowe leżenie na pryczy na strychu. Sima wykorzystywała każdą okazję aby mnie odwiedzić.

Przypominam sobie, że wędrując razem z Pruszcza do Arciszewa odkryliśmy krótszą drogę wiodącą przez osiedle o nazwie zdaje się Kiszkowo/Giskau/,

leżące tuż przy zalewie wodnym. Droga skręcała tam na mostek, przerzucony przez Radunię w pobliżu tamy, a dalej prowadziła pod górę obok ściany sosnowego lasu należącego do folwarku w Arciszewie.

Dość duży obszar pięknie położonego lasu na krawędzi doliny Raduni przyciągał wiele osób, spędzających tu wolny od pracy czas, szczególnie w soboty i niedziele. Przyjeżdżali tu z Pruszcza, czy okolicznych wiosek, a nawet chyba z Gdańska młode pary zaprawione w kulcie uprawiania wolnej miłości, którym patronuje Eros, bożek miłości. Niewiele mogłem sobie pozwolić z tych rzeczy w owym czasie, kiedy na horyzoncie widniał srogi szef, ciężka praca czekała w oborze, a w stawie lędzwiowym bóle korzonkowe zwały mnie ~~po~~ prostu z nóg. Z Simą mogłem spotykać się obecnie od przypadku do przypadku, co nie przeszkadzało nam w **każdym** razie, będąc sam na sam, kochać się po trosze, ściskać i całować, wykorzystując te krótkie chwile.

W połowie 1944 roku, około końca czerwca zaczęły docierać wiadomości o zwycięskich bojach armii generała Andersa w bitwie o Monte Cassino we Włoszech, gdzie Niemcy usadowieni w betonowych bunkrach linii obronnej, zwanej linią Gustawa, zagradzali armiom sojuszniczym dalszy zwycięski marsz w kierunku Rzymu.

Pierwsze wieści o wojennej działalności generała Władysława Andersa docierały do mnie jeszcze w końcu 1941 roku, po napaści Niemiec hitlerowskich na Rosję. Obecnie wiadomości te były równie skąpe i niejasne, co poprzednio. W każdym razie, czytając ówczesne hitlerowskie szmatkawyce, supłakem prawdę punkt po punkcie, mozoląc się i borykając z brakiem dobrej mapy, szukałem gorączkowo to, co mnie wówczas najbardziej interesowało - w jaki sposób utworzona na wschodzie przez generałów Sikorskiego i Andersa polska armia przechodzi swój pierwszy poważny chrzest ~~wojowy~~, bijąc Szwabów nie gorzej od Amerykanów, Anglików czy Rosjan, podnosząc na duchu miliony Polaków w kraju, jak również będących w niewoli hitlerowskiej czy bolszewickiej.

Jednakże najbardziej elektryzującą wieścią był fakt lądowania wojsk alianckich we Francji w dniu 6 czerwca 1944 roku. "Danziger Vorposten" - gdańska codzienna gazeta partyjna donosiła wtedy, że wojska alianckie zostały zupełnie zniszczone i zepchnięte do morza. Później, po kilku dniach gazeta twierdziła, że zacięte ataki wojsk anglo-amerykańskich rozbijają się o sławetny "Wał Atlantycki" niczym fale morskie o betonowy falochron.

Kilka tygodni później informacje o Wale Atlantyckim zaczęły nabierać coraz bardziej smętnego zabarwienia, pojawiły się notatki o walkach i zaciętych zmaganiach wokół portowego miasta Cherbourg, położonego na półwyspie Cotentin nad kanałem La Manche. Odtąd śledziłem pilnie rozwój tych olbrzymich zmagania obu przeciwników na wybrzeżu Normandii, gdzie zastosowa-

no najnowsze osiągnięcia techniczne w II wojnie światowej: lotnictwo, okręty, wojska lądowe, desantowe, radar, sztuczne porty, najcięższe czołgi, wojska pancerne, walkę w fortach przybrzeżnych itp. Zanim jednakże doszło do tych historycznych wydarzeń na zachodnim froncie, alianci musieli bardzo solidnie przygotować się naprzód do rozpoczęcia, zaplanowanej na olbrzymią skalę, ofensywy powietrznej przeciwko Niemcom hitlerowskim.

Wiosna 1944 roku była w Europie okresem wzrastającego napięcia. Nikt, poza najwyższym dowództwem sprzymierzonych, nie wiedział dokładnie gdzie i kiedy rozpocznie się wielka amerykańsko-brytyjska ofensywa przeciwko Niemcom. Pierwszy etap powietrznej ofensywy zapoczątkowali Brytyjczycy pod dowództwem marszałka lotnictwa Harrisa jeszcze zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Wielka Brytania mogła wówczas bezpośrednio Niemcy, jedynie z powietrza, zaatakować i niszczyć cele naziemne.

Od początku 1941 roku bombowce typu Blemheim mimo ciężkich strat atakowały nieprzyjacielską żeglugę, aby uniemożliwić Niemcom używanie wód przybrzeżnych. Z chwilą niemieckiej inwazji Rosji, brytyjskie bombowce atakowały wszelkie cele, których zniszczenie mogło być pomocą dla Rosji Sowieckiej. W lecie 1941 roku siła brytyjskich bombowców wzrosła na tyle, że można było wysłać nad Niemcy ponad trzysta maszyn jednocześnie / 14 sierpnia 1941 r./, a pod koniec tego samego roku około czterysta samolotów w skoncentrowanym ataku na Berlin / 7 listopada 1941 roku/.

W pierwszej fazie powietrznej ofensywy sprzymierzonych / lipiec 1941 r. - luty 1942 r./, w czasie której lotnictwo brytyjskie współpracowało z rosyjskimi siłami lądowymi, skierowano naloty nocne na niemieckie węzły kolejowe i zakłady przemysłu wojennego, aby dezorganizować hitlerowski system dostaw. Berlin i Lubeka były wówczas najbardziej odległymi celami. Najczęściej atakowano miasta Nadrenii: Akwizgran, Münster i Kolonię.

Druga faza ofensywy zaczęła się w lutym 1942 r. i skoncentrowana była na niemieckie dostawy i jej źródła, zakłady stalowe Kruppa w Essen, Düsseldorfie, Dortmundzie i Kolonii. Naloty na Niemcy przeprowadzano nocą, a w czasie dnia atakowano fabryki w północnej Francji i Belgii. Niemiecka flota inwazyjna, przygotowująca się w Lubece / na północny wschód od Hamburga / do najazdu na Leningrad, została zniszczona ciężkim nalotem bombowym / 28 marca 1942 roku /; był to jeden z wielu typowych nalotów wspomagających Rosję Sowiecką.

Gdy Niemcy udoskonalili swoją obronę przeciwlotniczą, zastosowano nową technikę w nalotach na zakłady samochodowe Renault / Reno / pod Paryżem / 3 marca 1942 roku /. Wysłano wówczas ogromną ilość bombowców w szybkim nalocie na jeden cel, aby obezwładnić obronę z ziemi. Ta koncentracja natarcia

okazała się tak skuteczna, że stała się wzorem większości strategicznych nalotów wielkich formacji bombowych. W najcięższym nalocie na Kolonię /30 maja 1942 roku/, ponad tysiąc brytyjskich bombowców przypuściło atak "nasycający teren", zrzucając około 3.000 ton /3.000.000 kg/ w przeciągu 9 minut, z szybkością jednej tony /1.000 kg/ na sześć sekund.

Neutralni świadkowie oceniali, że zginęło wtedy ponad 20.000 ludzi, a zakłady chemiczne i fabryki narzędzi technicznych zostały poważnie zniszczone. Następnego dnia ponad tysiąc bombowców skierowało swój atak na metalowe zakłady Kruppa w Essen. Straty brytyjskie w tych szybkich nalotach spadły z dziesięciu do pięciu procent, a zniszczenia obiektów nieprzyjacielskich wzrastały w o wiele większej proporcji. Naloty takie, jak powiedział ówczesny premier Wielkiej Brytanii, Churchill /Czerczil/, były "zapowiedzią tego, co czeka odtąd wszystkie niemieckie miasta jedno po drugim".

Bombowce brytyjskie atakowały głównie nocą. W lecie 1942 roku przyłączyli się do nich Amerykanie, rozpoczynając naloty dzienne. W swej pierwszej samodzielnej wyprawie /17 sierpnia 1942 roku/ "Latające Fortece" zapuściły się ponad 75 km w głąb terytorium Francji, zrzuciły 18.000 kg bomb na dworce towarowe i przetokowe w Rouen nad Sekwaną i powróciły bezpiecznie bez strat do swej bazy w Anglii. Nalot ten był pierwszym eksperymentem dziennych precyzyjnych nalotów, wprowadzonych przez opancerzone "Fortece", silnie uzbrojone w działka, armatki i specjalne wyrzutnie do precyzyjnego bombardowania. Amerykańskie VIII dowództwo bombowe, początkowo pod dowództwem generała Spaatz'a, a następnie generała Eaker'a, rozbudowało swe siły w ciągu 1942 i 1943 roku na 77-ciu bazach w Anglii, Szkocji i Walii. Bazy te stale się rozrastały, aż w 1944 roku każda z nich posiadała przeciętnie 2.000 ludzi załogi oraz zapasy benzyny, części samolotowych i amunicji, niezbędnych dla utrzymania w sprawnej operacji grupy bombowej 48-iu do 72-ch "fortec" lub "Liberatorów".

Rozwój stacjonującej w Wielkiej Brytanii 8-iej floty/armii/ powietrznej przerwany został tymczasowo w zimie 1942-43 r. przez przeniesienie sił powietrznych W. Brytanii na front śródziemnomorski dla osłony inwazji Północnej Afryki i walk w Tunisie. Amerykańska 8-ma i 9-ta armia lotnicza poświęciły większość swych sił dla współpracy z tymi operacjami lądowymi, w rezultacie czego ciężkie amerykańskie naloty na okupowaną Europę opóźnione zostały do połowy 1943 roku.

W tym czasie W. Brytania stała się głównie bazą sił powietrznych z przeszło tysiącem ciężkich bombowców amerykańskich. Kiedy amerykańska 8-ma armia powietrzna oraz 9-ta, stanowiąca jej osłonę taktyczną i myśliwską, doszły do pełnych sił, zaczęły się przygotowywać do przeprowadzenia powierzonego

im na ważnej konferencji w Casablance /Zachodnia Afryka, wybrzeże Atlantyku/ zadania niszczenia niemieckiego przemysłu wojennego. W rok po pierwszym próbnym nalocie na Rouen we Francji, lotnictwo amerykańskie w w. Brytanii było dość silne, by przypuścić trzy potężne uderzenia na niemiecki przemysł wojenny, a każde z nich przy udziale ponad trzystu "Latających Fortec". Dwie grupy zrzucały 573.000 kg bomb na Schweinfurt, centrum niemieckiej produkcji łożysk kulkowych, po czym powróciły do swych baz angielskich. Trzecia grupa zaatakowała zakłady budowy samolotów myśliwskich w Ratzbonie, zrzucając na nie 298.000 kg bomb, po czym powróciły ponad Alpami i Morzem Śródziemnym do amerykańskich baz w Północnej Afryce, w pierwszym tzw. "locie sztafetowym" / 17 sierpnia 1942 r. /. W tydzień później zaatakowali oni Bordeaux /Bordo/ port na zachodnim wybrzeżu Francji, w drodze powrotnej do baz w Anglii.

W ciągu pierwszego roku nalotów bombowych na Europę samoloty amerykańskie wystartowały z baz angielskich do 124 misji, zrzucały 16.977.000 kg bomb na cele nieprzyjacielskie, zniszczyły 2.050 niemieckich myśliwców, a straciły same 472 bombowce i 4.481 ludzi, łącznie z zaginionymi i wziętymi do niewoli. Za wyjątkiem wielkiej ilości zestrzelonych myśliwców niemieckich, operacje amerykańskie nie stanowiły prawdopodobnie więcej jak 1/5 tego, czego dokonać mogło lotnictwo brytyjskie przy większej pojemności bombowców i cięższych nalotach nocnych. W ciągu np. pierwszego roku swych działań operacyjnych, amerykańska 8-ma armia lotnicza zrzucała około 15.000.000 kg bomb na okupowaną przez nieprzyjaciela Europę, podczas gdy lotnictwo brytyjskie zrzucało około 136.000.000 kg.

W 1942 roku, w okresie eksperymentalnych swych działań, bombowce amerykańskie skoncentrowały się na bazach okrętów podwodnych i pobliskich celach w okupowanej Francji. W lecie 1943 roku zdolne one były do zapuszczania się w głąb Niemiec. Latająca Forteca okazała się nie tylko skutecznym bombowcem dziennym, pomimo swego ograniczonego promienia działania w porównaniu do Liberatorów i brytyjskich Lancasterów, lecz była ona równocześnie o wiele lepszym myśliwcem niż jakikolwiek inny ciężki bombowiec. Latająca Forteca przyczyniła się do wielkich taktycznych zaskoczeń nieprzyjaciela, dokonanych przez amerykańskie siły lotnicze.

Powodzenie amerykańskich dziennych bombowych ataków precyzyjnych skłoniło połączone sztaby generalne na konferencji w Casablance do zatwierdzenia wspólnej brytyjskiej i amerykańskiej ofensywy powietrznej przeciwko Niemcom. Zadaniem ich było "stopniowe zniszczenie i zdeorganizowanie systemu militarnego, przemysłowego i gospodarczego oraz podminowanie moralne

narodu niemieckiego tak dalece, by odbiło się to na ich zdolności stawiania zbrojnego oporu". W języku lotników, Niemcy miały być "zmiękczone" przed inwazją. Zanim można było przystąpić do inwazji, uczyniono próbę wytrącenia Niemców z wojny przy pomocy sił powietrznych.

Bombowce brytyjskie i amerykańskie miały operować na zmianę według 24 godzinnego rozkładu. Lotnictwo brytyjskie miało dokonywać nalotów okręgowych w nocy, a amerykańskie miało dokonywać ataków na poszczególne cele w dzień. Przy tym podziale zadań lotnictwo brytyjskie atakowało niemieckie miasta, by zniszczyć ich zapasy i poderwać morale, podczas gdy amerykańska ósma armia powietrzna zrzucała swe bomby na kluczowe zakłady niemieckiego przemysłu wojennego, porty i instalacje wojskowe. Ofensywa rozpoczęła się w lecie 1943 r. nocnymi nalotami po 800 maszyn brytyjskich, po których następowaly dzienne naloty po 300 bombowców amerykańskich.

Gdy warunki atmosferyczne w czasie lata 1943 r. pozwoliły na wzmocnienie alianckiej ofensywy powietrznej, niemiecki przemysł samolotowy przerzucił się z produkcji bombowców na produkcję myśliwców, co było widocznym znakiem, że Niemcy zmuszone zostały do przejścia w powietrzu z ofensywy na defensywę. By zapobiec tym posiłkom powietrznym, amerykańskie VIII dowództwo bombowe zaatakowało w lipcu zakłady Focke-Wulf, które - jak oceniano - budowały 65% niemieckich maszyn myśliwskich. Fabryka opon samolotowych w Huls oraz zakłady łożysk kulkowych w Schweinfurt były również ciężko atakowane z powietrza. Naloty nad tak ważnymi okręgami zwiększyły znacznie straty amerykańskie. W rocznicę rozpoczęcia swych działań 8-ma armia lotnicza straciła w nalocie na Schweinfurt i Ratzbonę w czasie jednego dnia / 17 sierpnia 1943 r. / więcej samolotów niż w czasie pierwszych sześciu miesięcy swych lotów nad Europą. Wydawało się, że sprzymierzeńcy wykrwawią się w wojnie powietrznej - wygrali ją jednak. Ponad tysiąc czteromotorowych ciężkich bombowców wychodziło co miesiąc z amerykańskich fabryk.

Podczas gdy samoloty z baz angielskich atakowały nieprzyjaciela dniem i nocą od zachodu, Liberatory amerykańskiej 9-tej i 12-tej armii lotniczej z Północnej Afryki kierowały swe naloty bombowe na cele na obszarze całych Włoch, na zakłady budowy Messerschmitt'ów pod Wiedniem / 15 sierpnia 1943 r. / i na pola naftowe w Ploesti w Rumunii / 1 sierpnia /. Ta ostatnia misja zaznaczyła się okrężnym 3.600-kilometrowym lotem 162 bombowców B-24 z baz libijskich oraz atakiem na cel z bardzo małej wysokości. W ciągu września, gdy nad Europą rozgrywały się największe walki powietrzne od czasu bitwy o Wielką Brytanię, sama tylko amerykańska 8-ma armia zrzuciła 9.180.000 kg tzn. ponad dwa razy więcej niż w jakimkolwiek poprzednim miesiącu.

Aby przeciwstawić się rosnącym na sile brytyjskim i amerykańskim atakom, Niemcy wzmocnili na terenie Rzeszy swoją obronę przeciwlotniczą i zas-

tępy samolotów myśliwskich. W pierwszej połowie 1943 r. zdwoili oni ilość jednomotorowych, szybkich samolotów myśliwskich w bezowocnych usiłowaniu powstrzymania amerykańskich nalotów dziennych. Konieczność obrony własnego kraju i ważnych zakładów przemysłu wojennego pozbawiła Niemców przewagi powietrznej na froncie rosyjskim i włoskim. W połowie 1943 r. obliczano, że Niemcy posiadali 39.000 dział przeciwlotniczych, a ponad połowę swych samolotów myśliwskich na froncie zachodnim. Ponad 1.000.000 ludzi /mężczyzn i kobiet/ zajętych było przy obsłudze ziemnej baterii przeciwlotniczej, zespołów reflektorowych i zapór balonowych, a przynajmniej 1/10 mieszkańców cywilnych zajęta była całkowicie lub częściowo przy obronie przeciwlotniczej i w oddziałach ratowniczych. Zaistniała konieczność powołania do tych celów emerytowanych mężczyzn i młodzieży.

Metody obrony zmieniały się, podczas gdy Niemcy próbowali coraz to innych środków celem złamania rosnącej ofensywy alianckich bombowców. Niemieckie dwumotorowe bombowce myśliwskie czekały w powietrzu poza zasięgiem ognia bombowców alianckich i celowały w nie nowego typu raketami. Messerschmitt'y 109 i Focke-Wulfy 190 atakowały każdy bombowiec, który odłączył się od formacji macierzystej.

Jakkolwiek przeciętne straty "Latających Fortec" nie przekraczały 4% zaangażowanych w lotach maszyn, to jednak wymagały one osłony myśliwców, by uniknąć wysokich strat w niektórych wyprawach bombowych i by zapewnić przepisowe wykonanie lotów według planu. Myśliwce typu Lightning, Thunderbolt i Mustang setkami eskortowały alianckie bombowce, zapewniając im lepszą osłonę, niż Luftwaffe /niemieckie siły lotnicze/ mogła kiedykolwiek dać swym własnym samolotom i bronionym celom naziemnym. Amerykańskie myśliwce przewyższały często czterokrotnie niemieckie samoloty raketowe. Nic nie zdołało powstrzymać bombowców alianckich; poprzez ogień artylerii przeciwlotniczej, myśliwce, bomby i rakiety, Fortece, Liberatory i Lancastery niezłomnie prowadziły naloty na wyznaczone im cele. Niektóre samoloty amerykańskie stały się równie sławne w powietrzu, jak okręty na morzu.

Od chwili pierwszych lotów amerykańskich do początku 1944 r. brytyjskie i amerykańskie bombowce zrzuciły ponad 330.000.000 kg bomb na same tylko Niemcy. W sumie tej udział amerykańskiej 8-ej armii lotniczej wynosił około 50.000.000 kg w ciągu 1943 r.; dokonali oni 64.000 lotów, stracili 1.000 ciężkich bombowców i zniszczyli 4.000 maszyn niemieckich. Na froncie śródziemnomorskim strategiczna armia lotnicza północno-zachodniej Afryki i amerykańska 15-ta armia lotnicza zrzuciły w ciągu 1943 r. 74.000.000 kg bomb na cele nieprzyjacielskie w Afryce, na Sycylii, we Włoszech, na Bałkanach i w Niemczech. Jednakże armie niemieckie walczyły jeszcze dalej.

Z początkiem zimy 1944 r. stało się jasne, że mimo rozmiarów alianckiej ofensywy powietrznej, Niemcy nie mogli być pokonane jedynie z powietrza. Ponosiły one ciężkie straty, nie przekraczające jednak nigdy możliwości ich naprawy. Główną wadą ataków bombowych było to, że zniszczenie niemieckiego przemysłu wojennego było jedynie czasowe, a jakkolwiek ogólna jego produkcja spadała stale, to jednak nie stanęła ona nigdy.

W czasie zimy 1943 - 44 r. samoloty alianckie usiłowały zniszczyć niemiecką siłę powietrzną tak dalece, by przy inwazji Europy wojska sprzymierzone spotkały się jedynie z siłami lądowymi Niemiec hitlerowskich. Niemieckie samoloty myśliwskie stanowiły trudność każdej wyprawy. "Zdaliśmy sobie sprawę" - powiedział w dniu 18 maja 1944 r. generał Arnold - "że musimy się do nich dobrać w fabrykach, zakładach naprawy, składach, lotniskach i w powietrzu". Generał Arnold obliczał, że po sześciu miesiącach ciężkich nalotów siła bojowa Luftwaffe nie zmniejszyła się. Straciła ona jednak wszystkie swe rezerwy, a prawdopodobnie 3/4 niemieckiej produkcji samolotowej leżało już w gruzach.

Kampania zimowa przeciwko niemieckiemu przemysłowi lotniczemu zaczęła się / 11 stycznia 1944 r. / nalotami dziennymi na Oscherleben, Brunshwik, Halberstadt i inne ośrodki przemysłowe, przy stracie 59 bombowców amerykańskich. Pomimo tych ciężkich strat ataki trwały dalej przez następne sześć tygodni / 11 stycznia - 22 lutego 1944 r. /, a straty w bombowcach spadły do 2,2%. Spadek w stratach tłumaczył się trzema powodami. Po pierwsze Luftwaffe wycieńczona była bezustannymi nalotami - dniem i nocą na zmianę - dokonywanymi przez Brytyjczyków i Amerykanów. Przykładem, jak dalece Niemcy niezdolni byli do utrzymania obrony w bezustannym pogotowiu był fakt, że jeden nocny nalot na Lipsk / 20 lutego 1944 r. / kosztował Brytyjczyków 79 maszyn, gdy następnego dnia natomiast Amerykanie przypuścili atak, stracili jedynie 21 swych bombowców. Czasem stosunek był odwrotny i Amerykanie z kolei ponosili większe straty. Niemcy jednak tracili w 24-godzinnym pogotowiu dwa razy więcej niż Brytyjczycy lub Amerykanie.

Drugim powodem zmniejszonych strat amerykańskich była stale polepszająca się celność amerykańskich strzelców bombowych. Najważniejszym jednak powodem była olbrzymia siła każdej wyprawy amerykańskiej, eskortowanej licznie przez samoloty myśliwskie. Amerykańska siła powietrzna wzrosła do tego stopnia, że każda wyprawa 800-set bombowców mogła zapuścić się gdziekolwiek nad Europę w biały dzień z eskortą 700-set myśliwców.

Zimowa kampania doszła do szczytu w lutym, w okresie dobrej pogody nazwanej "tygodniowym blitz'em" / 20-25 lutego 1944 r. /, gdy 8-ma armia z baz brytyjskich oraz 15-ta z Włoch połączyły się w ciężkiej ofensywie na nie-

mieckie zakłady budowy samolotów w Lipsku, Brunzwiku, Hannoverze, Sztutgarcie, Schweinfurcie, Ratzbonie i innych miastach centralnych Niemiec. Przeciwno tym fabrykom, produkującym 2/3 niemieckich samolotów myśliwskich, Amerykanie dokonali w przeciągu jednego tygodnia 3.800 startów bombowych i 4.300 myśliwskich, zmniejszając produkcję nieprzyjacielską przynajmniej do połowy na przeciąg następnego miesiąca. Niemieckie straty w powietrzu były również bardzo ciężkie. Obliczano, że w ciągu lutego zestrzelono 900 hitlerowskich samolotów myśliwskich przy stracie 250 bombowców amerykańskich!

Berlin był szczególnie ważnym celem ze względu na swe znaczenie jako okręg przemysłowy oraz administracyjny ośrodek władzy hitlerowskiej, który był broniący silnymi zastępami myśliwców. Lotnictwo brytyjskie rozpoczęło powietrzną bitwę nad Berlinem / 8 listopada 1943r - 15 lutego 1944r./ zrzucając na miasto ponad 20.000.000 kg bomb, niszcząc lub uszkodzając 326 fabryk i tracąc blisko 500 własnych bombowców. Amerykanie przejęli ofensywę na Berlin w marcu 1944r., kierując dziewięć ciężkich nalotów dziennych, w wyniku których zestrzelili 524 samoloty hitlerowskiej Luftwaffe, tracąc przy tym 242 bombowce. Wszystkie te naloty odbywały się przy udziale wielkich sił powietrznych. W czasie jednej wyprawy np. / 8 marca 1944r./, ponad dwa tysiące samolotów amerykańskich, bombowców i myśliwców, zrzuciło 350.000.000 sztuk bomb zapalających i 10.000 sztuk kruszących. Obliczano, że w czasie sześciu nalotów uszkodzono lub zniszczono 74 ważne niemieckie zakłady przemysłowe. Berlin stał się wówczas jednym olbrzymim rumowiskiem, gdyż prawie połowa jego centrum została zniszczona przez pożary!

Pierwsza faza strategicznych nalotów bombowych na Niemcy / 20 lutego - 9 marca 1944r./ zakończyła się intensywną serią operacji, poczynając od "tygodnia blitz'u", poprzez naloty na Berlin w marcu. W czasie tych dwóch tygodni amerykańska 8-ma i 15-ta armia powietrzna, składająca się z 80.000 załóg latających, co stanowiło równowartość ośmiu dywizji zmechanizowanych, zapuściły się daleko w głąb kraju nieprzyjacielskiego. Zrzuciły one ponad 17.000.000 kg bomb na cele przemysłowe, zestrzeliły 1.000 samolotów, tracąc same 414 bombowców, 121 myśliwców i ponad 4.000 ludzi, z których prawdopodobnie połowa zdołała się uratować na spadochronach i dostała się do niewoli. Atakowali oni zakłady budowy jednomotorowych myśliwców w Lipsku, Oschlerleben, Regensburgu i Steyer, fabryki dwumotorowych myśliwców w Brunzwiku, Gotha i Furth, zakłady budowy bombowców w Bernburgu, Rostoku i Halberstadt oraz składy łożysk kulkowych w Schweinfurcie i Sztutgarcie. Szacuje się, że niemiecka produkcja samolotów myśliwskich została, przynajmniej tymczasowo, zmniejszona o 2/3 od początku 1944r. a budowa bombowców o 1/3.

Siła alianckich strategicznych nalotów bombowych zwiększała się stale w ciągu kwietnia i maja 1944r., w przygotowaniu do inwazji Francji, która nastąpiła w dniu 6 czerwca 44 r. W ciągu kwietnia brytyjskie i amerykańskie samoloty pobiły wszystkie rekordy, zrzucając 81.000.000 kg bomb zapalających i kruszących na tereny okupowanej przez Niemcy hitlerowskie Europy. Amerykańska 8-ma armia i 15-ta armia powietrzna, które zrzuciły ponad połowę tych bomb, zniszczyły 1.282 samoloty nieprzyjacielskie, a straciły 537 własnych bombowców. W maju, gdy Brytyjczycy wspólnie z Amerykanami zrzucili 1118.000.000 kg bomb na nieprzyjacielskie linie dowozu zaopatrzeń, Amerykanie zrzucili wtedy 63.000.000 kg bomb i zniszczyli 1.200 samolotów niemieckich, tracąc 481 bombowców i 235 myśliwców. Zaznaczała się wzrastająca różnica pomiędzy ilością zestrzelonych maszyn niemieckich, a opadającą liczbą strat amerykańskich. Myśliwce eskortujące donosiły, że w maju napotkały na mniejszą o połowę ilość myśliwców nieprzyjacielskich niż w ciągu miesięcy zimowych. Oczywiście było, że siła Luftwaffe została poważnie zmniejszona!

Poza strategicznymi nalotami bombowymi, mającymi na celu zmniejszenie sił powietrznych i osłabienie przemysłu niemieckiego, konieczne było podjęcie taktycznych nalotów bombowych w przygotowaniu inwazji, by zniszczyć nieprzyjacielskie linie komunikacyjne i dostaw w okręgach, na które miała być skierowana ofensywa tj. w Normandii, Bretanii i terenach położonych nad północnym biegiem rzeki Sekwany.

Celem wsparcia w tych zadaniach lekkich i średnich bombowców amerykańskich 8-mej armii lotniczej, przeniesiono z nad Morza Śródziemnego na bazy brytyjskie 9-tą armię powietrzną. Te dwie armie powietrzne, 8-ma pod dowództwem generała Doolittle, a 9-ta pod generałem Breretonem, rozpoczęły w czasie kwietnia taktyczne naloty bombowe na linie kolejowe i mosty od Niemiec w głąb Francji. Zniszczono wtedy 34 towarowe dworce kolejowe.

Pierwsza faza bombowych nalotów taktycznych ~~z wyjątkiem~~ w mocy i gwałtowności, rozpoczęta na miesiąc przed dniem inwazji/ t.jzw. "D-Day" - 6.VI.44 r./, skierowana była na mosty na Sekwanie, od Paryża ku południowemu zachodowi do Kanału La Manche /La mansz/. W tej fazie ataku główne zadanie spoczywało na 9-tej armii lotniczej, która posługiwała się maszynami typu "Marauder", "Havoc" i "Thunderbolt" i zniszczyła w przeciągu 35 dni 23 największe mosty. Bez tych przejść Sekwana stawała się barierą, rozdzielającą północną Francję i poważnie opóźniającą posiłki niemieckich oddziałów na zachód od rzeki.

W drugiej fazie naloty bombowe skierowane zostały na mosty i punkty koncentracji wojsk niemieckich na obszarze pomiędzy Paryżem i Orleanem, a w szczególności na mosty na Loarze, które zdołano całkowicie zniszczyć do połowy czerwca 1944r., w czasie tego tygodnia 8-ma armia lotnicza

przyłączyła się do 9-tej, a wszystkie ciężkie bombowce ruszyły do ataku. Nawet samoloty myśliwskie "Lightning" i "Mustang" zaopatrzone zostały w pół-tonowe bomby. Atakowały one i dezorganizowały ruch na drogach w 105 km korytarzu pomiędzy Sekwaną i Loarą, odcinając Normandię i Bretanię od reszty Francji.

Trzecia faza rozpoczęła się w dniu inwazji i jest częścią alianckich operacji inwazyjnych w Normandii. Inwazja przygotowana została nalotami bombowymi zarówno strategicznymi jak i taktycznymi: pierwsze miały zamieszanie i zniszczenie wewnątrz samych Niemiec i unieruchamiały niemiecką siłę powietrzną, podczas gdy drugie, taktyczne, zdeorganizowały nieprzyjacielskie linie dostaw do Francji, zahamowały ruch na francuskim terenie działań wojennych i odcięły Normandię i Bretanię, na które miał pójść pierwszy atak sił sojuszniczych.

W ciągu dwóch i pół lat wojny, od chwili japońskiego ataku na Pearl Harbour, oceaniczną bazę wojenną Stanów Zjednoczonych na wyspach hawajskich, do połowy maja 1944 r., armie lotnicze Ameryki zadały ciężkie ciosy państwowom "osi" - Niemcom i Japonii. W tym okresie zrzuciły one 468.391.000 kg bomb na nieprzyjacielskie cele, rozsiane po całym świecie i zniszczyły 20.174 samolotów nieprzyjacielskich, z tego 16.510 w walkach powietrznych, a 3.664 na lotniskach. W czasie tych działań straciły one w akcji ogółem 6.154 samolotów, z tego 5.718 w powietrzu, 236 na lotniskach oraz 200 maszyn pomocniczych. Z operacji amerykańskich na wszystkich frontach, strategiczne naloty bombowe na Niemcy i na okupowaną przez Niemcy Europę były najbardziej niszczącą i najdłuższą ofensywą powietrzną, jaką kiedykolwiek podjęto przeciwko nieprzyjacielowi. Był to również największy pokaz nowoczesnej wojny powietrznej.

Od dwóch lat, począwszy od wiosny 1942 r., brytyjskie i amerykańskie bombowce sprowadziły wojnę na obszar rdzennych Niemiec. W lecie 1944 r. akcja ta osiągnęła punkt szczytowy. Na długo zanim Europa mogła być zaatakowana na lądzie, z "drugiego frontu", jakim była ofensywa powietrzna, spadł grad bomb na nieprzyjacielskie miasta, zakłady przemysłowe, porty i linie komunikacyjne. Ataki te były niezbędnym przygotowaniem do inwazji lądowej Europy.

Jakkolwiek strategiczne naloty bombowe wywołały ogromne zniszczenia w Niemczech i spowodowały straty w ludności cywilnej większe niż w jakimkolwiek innym kraju, to jednak szerzenie terroru nie było ich celem. Naloty nocne lotnictwa brytyjskiego na poszczególne okręgi, a następnie dzienne precyzyjne naloty amerykańskiego lotnictwa były w obu wypadkach skierowane

przede wszystkim na obiekty wojskowe. Pierwszym ich celem były betonowe schrony okrętów podwodnych na wybrzeżu francuskim i stocznie okrętowe w Niemczech, ponieważ olbrzymia flota łodzi podwodnych zagrażała wygłodzeniem Wielkiej Brytanii i odcięciem od Stanów Zjednoczonych. Potem przyszła kolej na zakłady budowy samolotów, łożysk kulkowych, nafty syntetycznej oraz ważnych materiałów wojennych, gdyż one były źródłem niemieckiej potęgi powietrznej. Wreszcie celem była sama Luftwaffe, która wyruszyła na obronę obiektów, z których czerpała swoją siłę. Po tych kolejno po sobie następujących strategicznych nalotach bombowych, nastąpiły naloty taktyczne na linie kolejowe, wagony, lokomotywy i tabor kolejowy wraz z jego skomplikowanymi urządzeniami i zapleczem oraz na nieprzyjacielskiej sieci dostaw, na której wspierał się niemiecki plan stawienia czoła inwazji aliantów na Włochy, Francję i centralne Niemcy. Następnie bombardowały okręgi na tyłach wroga i na przybrzeżne umocnienia i forty "Wału Atlantyckiego" oraz lądowych armii hitlerowskich skierowanych przeciwko armiom inwazyjnym.

Jakkolwiek istniały jeszcze inne cele, jak np. instalacje "bomb latających" na wybrzeżach naprzeciw Anglii, okręgi przemysłowe Nadrenii oraz kilka portów na Bałtyku np. Rostock, Szczecin, Kołobrzeg, Gdynia, Gdańsk, Piława, Lipawa, to jednak były one jedynie działaniami pomocniczymi w głównym porządku strategicznych i taktycznych celów. W ciągu tej ofensywy powietrznej, naukowo planowanej i wykonywanej z rosnącą energią, lotnicy brytyjscy i amerykańscy wyczerpali nieprzyjacielskie siły lotnicze, zniszczyli ogromną część niemieckiego przemysłu wojennego i przygotowali tereny okupowanej przez Hitlera Europy do decydujących ataków amerykańskich, brytyjskich i rosyjskich olbrzymich armii lądowych.

Tymczasem, kiedy ważyły się losy wielkiej bitwy o Normandię w północnej Francji i na wybrzeżu Kanału La Manche w końcu czerwca 1944 roku, trzy armie sowieckie ruszyły do ataku na zachód na odcinku od Witebska do bagien Prypeci i Wołynia, posuwając się przez ziemie polskie w dniach 22-25 czerwca 1944 roku. Celem najbardziej na północ wysuniętej 3-ciej armii białoruskiej pod dowództwem generała Czerniachowskiego były Prusy Wschodnie. Zaś celem dwóch pozostałych była stolica Polski, Warszawa.

W ciągu pierwszych dziesięciu dni ofensywy letniej padły po kolei Witebsk, Mohylew nad Dnieprem i Bobrujsk/26, 28 czerwca, 1 lipca 1944r.//. Północne armie Czerniachowskiego ruszyły na południe po zajęciu Witebska i przedarły się przez niemieckie linie obronne/1 lipca 44r./ na froncie długości ponad 90 km na północ od Borysewa i Mińska, zmuszając Niemców do opuszczenia tych miast. Na wschód od Mińska Niemcy wycofali się, mając nadzieję, że uda im się zaskoczyć na flance posuwające się oddziały rosyjskie

Zamiast tego jednak sami dostali się w pułapkę obustronnego uderzenia rosyjskich armii, a siły ich zostały odcięte przez inne armie białoruskie, -jedną napierającą od czoła, a drugą na tyłach/ 1-6 czerwca 44 r./: Ponieważ najbardziej na południe wysunięta pierwsza armia białoruska pod dowództwem generała Rokossowskiego była w większej części zmotoryzowana, mogła się ona posunąć naprzód o 60 km w przeciągu dwóch dni / 25-26 czerwca 44r/, na samym początku ofensywy, a po bitwie na wschód od Mińska posunęła się na zachód, by zająć Baranowicze / 8 czerwca 44 r./ i zaatakować nieprzyjaciela na jego pośpiesznie sformowanej nowej linii obronnej.

W drugiej fazie kampanii letniej Niemcy rzucili do walki rezerwy/4-5 lipiec 44r./ z bezczynnego frontu na południe od bagien Prypeci, celem wzmocnienia linii, biegnącej od Wilna, przez Baranowicze do Pińska. Centrum jednak tej linii przerwane zostało poprzednim atakiem armii Rokossowskiego, a północne zakotwiczenie linii w Wilnie padło pod atakiem armii Czerniachowskiego / przy współudziale polskich partyzantów w ramach akcji "Burza"/ w dniu 13 lipca 44r., posuwającej się od Mińska, stolicy Białorusi, ku Prusom Wschodnim. Podczas gdy gen. Rokossowski oczyszczał z nieprzyjaciela "kliny" na bagnach Prypeci, Niemcy cofnęli się na ostatnią już linię obronną na Białorusi / 14-18 lipca 44r./ od Bugu na północ przez Białystok i Grodno do Kowla. Linia ta załamała się natychmiast, jak dwie poprzednie, pod szybkim pochodem armii rosyjskich na oba jej końce. Na północy padło Grodno/16 lipca 44r./, okrążone przez Czerniachowskiego, a na południu Rokossowski ruszył nad Bug, na północ od Brześcia Litewskiego /18 lipca 44r./ . Silny opór niemieckich wojsk na tym odcinku zwolnił jego pochód w kierunku Warszawy.

Wszystkie siły niemieckie na froncie przebiegającym obecnie przez ziemie polskie, a osłaniającym Warszawę, zagrożone zostały nową ofensywą, trzecim wielkim pochodem w lecie tego roku; szedł on od frontu, na południe od Prypeci, w kierunku Brodów, Lwowa i Kowla. Wkrótce po wycofaniu przez Niemców rezerw z tego obszaru i ewakuacji Kowla i Brześcia, dwie armie rosyjskie pod dowództwem marszałka Koniewa ruszyły do ataku na froncie o długości ponad 150 km, przepравиły się przez Bug w okolicy Lubomla i szły na północny zachód ku Wiśle, na południe od Warszawy/14 lipca 44r./ . Przepołowiły one armie niemieckie na południu Polski przez otoczenie Lwowa i zajęcie Lublina/25 lipca 44r./ . W obliczu niebezpieczeństwa, zagrażającego okrążeniem ich całego prawego skrzydła na północ od Bugu, Niemcy wycofali się ku Warszawie i Prusom Wschodnim. Rokossowski zajął Brześć Litewski/28 lipca 44r./ i posunął się na wschód i północ od Warszawy, kierując na przedmieścia miasta ogień dalekosiężnej artylerii. W tym samym czasie/17 sierpnia 44 r." Czerniachowski doszedł do granicy Prus Wschodnich. Armie Koniewa na południu rozeszły się tymczasem, kierując jedną odnogą na południowy zachód, by zająć

dwa tysiące źródeł haftowych we wschodniej Małopolsce/7 sierpnia 1944 r./, a drugą na zachód prawie pod sam Kraków /Tarnów, Mielec/, pokonując uprzednio niemieckie umocnienia nad Wisłą/4 sierpnia 1944r./ .To przedarcie się było ostatnim wielkim posunięciem się Rosjan naprzód na terenie Polski na trzy pozostałe tygodnie sierpnia 44 r. Wzdłuż całego frontu, od Prus Wschodnich, poprzez Warszawę-Pragę pod Kraków, Niemcy, wzmocnieni rezerwami nadesłanymi z Niemiec, przypuścili teraz silne kontrataki!

W Warszawie wybuchło powstanie skierowane przeciwko hitlerowskiemu okupantom. "Danziger Vorposten" skwitował to wydarzenie ironiczną wzmianką o warszawskich bandytach dezorganizujących tyły frontu niemieckiego, krwawiącego się, w obliczu bolszewickich ataków, w obronie Europy i zachodniej cywilizacji. Podawano, że spokój został w Warszawie przywrócony a bohaterska armia hitlerowska trwa nadal na swoich posterunkach w sercu buntowniczej Polski!

Przywódcą Powstania Warszawskiego był generał Tadeusz "Bór"-Komorowski, poprzedni z-ca Komendanta Głównego Armii Krajowej generała Stefana "Grota"-Roweckiego, aresztowanego w 1943 roku przez Niemców w Warszawie!

Generał Tadeusz Komorowski urodzony w roku 1895 w Chorobrowie pod Tarnopolem kończy w 1913 roku ósme gimnazjum we Lwowie i wstępuje do Akademii Wojskowej w Wiedniu. Od roku 1915 jako oficer kawalerii austriackiej walczy naprzód na froncie rosyjskim, a następnie włoskim. W listopadzie 1918 roku zgłasza się do tworzącego się wojska polskiego. Pełni służbę na froncie wschodnim w 9 pułku ułanów ~~gemi~~ generała Juliusza Rómmla. Na czele 12 pułku ułanów, jako jego chwilowy dowódca bierze udział w walce z olbrzymią armią Budionnego. W wielkiej bitwie kawaleryjskiej z oddziałami bolszewickimi pod Komarowem / w trójkącie pomiędzy Zamościem, Hrubieszowem a Tomaszowem Lubelskim/ zostaje ranny. Po zwycięskiej wojnie polsko-bolszewickiej, w Polsce niepodległej służy w 8-mym pułku ułanów i znów w 9-tym pułku ułanów, którego jest dowódcą przez długi okres czasu w latach 1928-1938. Był znakomitym jeźdźcem i szefem ekipy polskiej na konkursach hippicznych międzynarodowych.

Wojna 1939 roku zastaje pułkownika Tadeusza Komorowskiego na stanowisku komendanta Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu. Bierze udział w działaniach wojennych dowodząc zgrupowaniem kawalerii w osłonie środkowej Wisły na południe od Warszawy i w walkach nad Wieprzem. Po zakończeniu walk przedostaje się do Krakowa, gdzie rozpoczyna służbę w konspiracji wojskowej w organizacji Służba Zwycięstwu Polski, przekształconej z biegiem czasu w Armię Krajową!

Mianowany dowódcą Powstania Warszawskiego przed 1 sierpnia 1944 roku,

dotrwa na tym stanowisku aż do chwili upadku zbrojnego zrywu powstańczego Warszawy oddając się wraz ze sztabem do hitlerowskiej niewoli. Po wojnie przebywa w Londynie, gdzie napisał szczegółowe wspomnienia o utworzeniu Armii Krajowej oraz swoim udziale w Powstaniu jako jego dowódcy.

Powstanie Warszawskie było częścią walk skierowanych przeciwko hitlerowskiemu okupantowi narodu polskiego w ramach ogólnego planu zwanego "Burzą". Przygotowania do tej akcji partyzanckiej zaczęły się już z końcem 1943 roku kiedy poszczególne mniejsze oddziały AK w każdym okręgu zostały połączone w większe oddziały i skierowane do rejonów leżących na liniach odwrotu wojsk niemieckiej od strony wschodniego frontu.

W okręgach wschodnich, które leżały na ziemiach polskich i miały tam być rozpoczęte działania wojenne, zostali zmobilizowani wszyscy żołnierze AK. Bataliony, pułki i dywizje otrzymały nazwy i numery znane jeszcze z 1939 roku. Bronie, aparaty radiowe, materiał sanitarny, ciepłą odzież, kurtki, czapki, obuwie, wszystko to, wyprodukowane w tajnych warsztatach, przemycono do lasów. Oto co pisze na temat przygotowań i walk na zachodnim Wołyniu ówczesny dowódca Armii Krajowej w swej autobiograficznej pracy pt. "Armia Podziemna" - generał Tadeusz "Bór" - Komorowski:

- "Wydałem raz jeszcze rozkaz, aby oddziały w terenie unikały na wszelki sposób sporów i zatargów z partyzantką radziecką. Jakby w odpowiedzi na to, nadeszły / do Komendy Głównej AK w Warszawie - dop. S.K. / alarmujące meldunki z Wołynia / dokąd Armia Czerwona wkroczyła najwcześniej - dop. S.K. /: dnia 7 listopada 1943 roku, jeden z najdzielniejszych partyzantów, por. "Bomba", który dowodził oddziałem 640 ludzi na terenie powiatu rówieńskiego - / błąd, ma być powiatu kostopolskiego, na terenie pomiędzy Słuczą a dawną granicą polsko-sowiecką, w okolicy Moczulanki, dop. S.K. / został zaproszony na spotkanie z dowódcą partyzantki sowieckiej gen. Neumanowem / był on jednocześnie dowódcą oddziałów NKWD, - dop. S.K. / . Celem spotkania miała być koordynacja wspólnej akcji przeciw Niemcom. "Bomba" wyruszył na "konferencję" z 14 ludźmi. Nikt z nich nigdy nie powrócił. - Komendant innego oddziału partyzantki sowieckiej, płk. "Bohun", zaprosił dowódcę naszego oddziału partyzanckiego w powiecie łuckim, por. "Drzazgę" i jego adiutanta na "rozmowę", celem "uzgodnienia wspólnej akcji przeciw Niemcom". Ci również nie wrócili. Zwłoki ich odnaleziono później w miejscu, gdzie w chwili spotkania stał obóz partyzantów sowieckich."

Sytuację na Wołyniu utrudniały ponadto wielkie masowe rzezie dokonywane przez Ukraińców na ludności polskiej. Zaczęły się one na wiosnę 1943 r. Bandy ukraińskie paliły całe wsie i osiedla, mieszkańców wycinając w pień.

Komendant Okręgu Wołyńskiego "Luboń", poza przygotowaniami Okręgu AK do walki z Niemcami, zmuszony był podjąć obronę ludności cywilnej. Na domiar złego, na terenie Wołynia dawał się dotkliwie odczuwać brak broni, w którą formujące się oddziały musiały się zaopatrywać na Niemcach. W tym ciężkim położeniu "Luboń" postanowił skupiać ludność polską z mniejszych osiedli w dogodniejszych do obrony większych miejscowościach, zwanych "bazami samoobrony". W tych bazach nakazał organizować obronę pod dowództwem oficerów, których w tym celu odkomenderował na dowódców poszczególnych ośrodków samoobrony. Natrafiając na zorganizowany i zdecydowany spór, bandy ukraińskie nie ważyły się, bez miażdżącej przewagi, na napad.

Ten sposób obrony ludności okazał się skuteczny. W miarę jednak opadania fali mordów i pożogi, wzrastał się wrogi stosunek partyzantki sowieckiej do naszych oddziałów. Była to jedna z wielu metod rosyjskich i sowieckich do bezpardonowego rugowania żywiołu polskiego z tych ziem, osiadłego tam od wieków, rękami ukraińskich pobratymców lub bezpośrednio przez sowiecką administrację i NKWD - dop. S. K. /.

Latem i jesienią 1943 roku Okręg Wołyński był w toku przygotowań do oczekującej go walki z Niemcami. Wyznaczony został rejon koncentracji dla 27 DP gdzie miały się skupić główne siły, by działać z tej tzw. "bazy operacyjnej" po liniach wewnętrznych, na komunikacje niemieckie. Rejon tej bazy był ograniczony: od północy - szlakiem komunikacyjnym od stacji Hołoby - Kowel, Dorohusk, od wschodu: szosą Torczyn - Włodzimierz - Uściług, od zachodu: rzeką Bug.

Koncentracja odbywała się w warunkach równoczesnej walki, bardzo ostrej, z oddziałami hitlerowskimi i ukraińskimi bandami. Doprowadziła ona w rezultacie do oczyszczenia całego rejonu bazy operacyjnej, która stała się domową oddziałów AK, przede wszystkim partyzanckich. Większość oddziałów konspiracyjnych pozostawiono natomiast na terenach, z których się one wywodziły, dla ochrony polskiej ludności.

W nocy z 3 na 4 stycznia 1944 roku Rosjanie przekroczyli granicę Rzeczypospolitej w rejonie Rokitna koło Sarn. Wbiwszy się głębokim klinem w pozycje niemieckie, zajęli w kilka dni później Sarny. Było to pierwsze nasze zetknięcie się z regularnymi wojskami Armii Czerwonej na terenie Polski, od 1941 roku. Gwałtowny kontratak niemiecki pod Żytomierzem wstrzymał na dłuższy czas dalsze posuwanie się Rosjan w głąb terytorium Polski.

Tymczasem działania wojenne rozwijały się dalej. Na wiosnę 1944 roku doszło do przewlekłych walk niemiecko-sowieckich na Wołyniu pod Kowlem i Włodzimierzem. W walkach tych wzięły udział oddziały AK zmobilizowane do akcji "Burza" i sformowane w 27 Dywizję Piechoty, liczącą około 6.000 żoł-

nierzy, samych Wołyniaków. Dowództwo nad nimi sprawował major/późniejszy ppłk/ Jan Wojciech Kiwerski, "Oliwa", wyznaczony ostatnio na komendanta Okręgu Wołyń, w miejsce "Lubonia", który otrzymał inny przydział.

Dywizja stoczyła z Niemcami cały szereg pomniejszych i większych walk na tyłach frontu, zajmując przejściowo wiele miejscowości. W dniu 20 marca 1944 roku wypadło pierwsze uzgodnione z oddziałami sowieckimi współdziałanie na dwóch różnych odcinkach. Jednostki nasze przy wsparciu sowieckim zdobyły w tym dniu Turzysk, a inne walczyły z powodzeniem w rejonie Kowla i Włodzimierza:

Oddziały polskie musiały się dać Niemcom dobrze we znaki, skoro generał SS, dowódca obrony Kowla, nadesłał pismo przez parlamentariusza do "Oliwy", proponując wspólną akcję "wobec zbliżającego się od wschodu wspólnego niebezpieczeństwa", w zamian za co, obiecywał dozbroić oddziały polskie oraz pozostawić im wolną rękę w sprawie ukraińskiej. Pismo to pozostało bez odpowiedzi, doszło natomiast do bezpośrednich rozmów dowódcy 27 Dywizji z dowódcą armii sowieckiej...

...Od tej chwili współdziałanie bojowe z wojskami sowieckimi na Wołyniu było podtrzymywane ze strony sowieckiej stałymi prośbami o wykonanie określonych zadań taktycznych. Stosunek Rosjan do naszych oddziałów w pierwszej linii frontu był na ogół poprawny. Trwało to do 9 kwietnia 1944 roku. W tym czasie wywiązały się zacięte walki z przeważającymi siłami niemieckimi. Niemcy zasilili front dywizją pancerną SS "Wiking" i kilku jeszcze innymi jednostkami ściągniętymi z dalszych odcinków. Po kilku dniach ciężkich walk, prowadzonych ze zmiennym szczęściem, Rosjanie zostali odrzuceni na wschód. Ponieważ do ostatniej chwili oni od oddziałów AK utrzymania pozycji za wszelką cenę, sami zaś wycofali się bez uprzedzenia, uniemożliwili przez to samo przerwania na czas walki i oderwania się od nieprzyjaciela. Wskutek tego 27 Dywizja Piechoty została otoczona nad rzeką Turią w rejonie lasów pomiędzy Zamłyniem a Kładniowem / obszar ten położony jest pomiędzy Włodzimierzem Wołyńskim a Chełmem, jednakże po wschodniej stronie Bugu, dop. S. K. /. Położenie pogarszał fakt, że wojska sowieckie pod naporem Niemców oddalały się coraz bardziej na wschód.

W bitwie tej prowadzonej przez obie strony z największą zaciętością, poległ w dniu 18 kwietnia 1944 roku dowódca 27 DP Jan Kiwerski "Oliwa"...

2 ... Dowództwo po nim objął jego dotychczasowy szef sztabu, major Tadeusz Sztumberg-Rychter, "Żegota". Zdecydował on się przebić na północ w rejon Brześcia, pozostawiając go pierścień kotła. Wykorzystując noc, dywizja wysliznęła się szczęśliwie z kleszczy wroga. Niemniej w dalszej drodze na-

trafiła na nowe siły niemieckie, i dopiero po kilkudniowych ciężkich walkach osiągnęła rejon wsi Smolary - Rogowe/pomiędzy Lubomlem a Kowlem, na południe od linii kolejowej, - S.K./ .Straty dywizji przez okres minionych walk były poważne, wahając się w poszczególnych oddziałach pomiędzy 10 a 50%.

Z pozostałych przy życiu, blisko 30% było rannych i chorych. W przebijaniu się przez bezdroża i zabagniony teren musiały oddziały cały swój tabor i ciężki sprzęt częściowo zniszczyć, częściowo porzucić. W maju 1944 roku dotarła dywizja do lasów Szackich / w pobliżu dużego jeziora Swiż, około 30-35 km na wschód od Włodawy, dop. S.K./, pomiędzy sowiecką a niemiecką linią frontu, nie zaprzestając mimo wyczerpania i przemęczenia żołnierzy prowadzić przeciw Niemcom zwrotów zaczepnych, w czasie których stale się dozbierała.

Kontakt z dowództwem sowieckim został podjęty ponownie przez placówkę łącznikową, składającą się z oficerów polskich i sowieckich oraz przez sowiecki oddział partyzancki. W jej ramach odbyła się rozmowa "Ostoja"/pseudonim oficera polskiego, S.K./ z dowódcą oddziałów partyzanckich NKWD im. Dzierżyńskiego do zadań specjalnych. Sowiecki pułkownik postawił sprawę jasno, oświadczając, że reprezentuje NKWD i pozostaje w ścisłej łączności z centralnymi władzami w Moskwie. Zapropozował "Żegocie" przystąpienie do armii Berlinga, roztaczając przed nimi wizję szybkiej kariery. "Żegota" propozycję odrzucił, żądając takiej współpracy, która byłaby zgodna z moimi wytycznymi. Wyraził jednocześnie obawę, czy oddziały AK, które znajdują się za frontem rosyjskim, nie będą zmuszane gwałtem do wstępowania do armii Berlinga. Zapewniono go, że nie.

Wiadomości jednak, które dochodziły mnie spoza frontu rosyjskiego, przeczyły niestety, tym zapewnieniom. Depesza z 23 marca 1944 roku zawiadomiła o rozbrojeniu naszych drobniejszych oddziałów, kiedy się ujawniły, w Łużowej, Przebrażu, Rożyszczach, Antonówce i w Zaturcach. W dniu 15 marca 44 r. rozstrzelano w Przebrażu dowódcę miejscowej placówki, żołnierzy rozbrojono i częściowo aresztowano. W Rożyszczach rozstrzelano dowódcę i trzech żołnierzy, kilku innych powieszono, a około 20 innych aresztowano i wywieziono. W dniu 6 kwietnia 44 r. otrzymałem depeszę, że bolszewicy na całym terenie Wołynia od granicy przed wrześniem 39 r. do Styru i Stochodu /tereny zajęte w czasie ofensywy sowieckiej w 1944 roku, dop. S.K./, natychmiast po zajęciu każdej miejscowości, przeprowadzają pobór mężczyzn od lat 17 do 35.

Wobec trudności zaprowiantowania oddziałów i konieczności dania im dłuższego wypoczynku, "Żegota" był zdecydowany przebić się w rejon położony między rzekami Prypecią a Piną. Groziło to wejściem na tyły frontu sowieckiego. Wobec tego dałem dywizji rozkaz przebiccia się na zachód przez Bug, na tyły frontu niemieckiego. Dowódca otrzymał radiodepeszę w czasie marszu

do przewidzianego przeze mnie rejonu/były to obszary leśne położone na zachód od Włodawy, w województwie lubelskim, dop. S.K./ Stosując się do otrzymanego rozkazu, zawrócił kolumny. Jedyne bardziej wysuniętego naprzód zgrupowania "Garda" rozkaz ten już nie dosięgnął. Przeszło ono za front sowiecki, czego się obawiałem. W parę lat później dopiero dowiedziałem się, że bolszewicy rozbroili tych żołnierzy, po czym wcielili ich gwałtem do tzw. dywizji Kościuszki. Co zaś stało się z oficerami - nie wiadomo!

Oddziały 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty, w dniu 7 czerwca 1944 roku, przechodząc w rejon lubelszczyzny, gdzie po zasłużonym odpoczynku, uzupełnione i wyposażone w niezbędny sprzęt, doprowadzone zostały ponownie do stanu gotowości.

Doświadczenia z terenu wołyńskiego zdawały się wskazywać, że Moskale stosują wobec oddziałów AK taktykę zmienną. W pierwszej linii frontu wykorzystują pomoc wojskową z ich strony, uznając charakter ich jako części Sił Zbrojnych. Natomiast po zajęciu terenu, aresztują, a nawet mordują dowódców, a żołnierzy wcielają przemocą do armii Berlinga!

W czasie działań na terenie Wołynia, 27 DP zadała Niemcom poważne straty, wzięła setki jeńców, zdobyła sporo broni i amunicji. Pomoc udzielona przez nią na polu walki wojskom sowieckim była wielka. Dorobek ten nie znalazł jednak odpowiedniego oddźwięku w prasie i audycjach radiowych na Zachodzie. Godne upamiętnienia czyny wojenne żołnierzy tej dywizji pominięto milczeniem."

Niestety, Powstanie Warszawskie, które rozwinęło się z takim rozmachem, budząc nadzieję warszawiaków na zrzucenie nienawistnego hitlerowskiego jarzma, wkrótce zostało ograniczone przez przeważające siły Wehrmachtu do śródmieścia Warszawy, a wszelkie kontakty z terenem zablokowane i odcięte. Wiadomości, które wówczas do mnie docierały w tym okresie były bardzo skąpe i niejasne. W połowie września 1944 roku front wschodni w jego centralnym położeniu wysunięty najdalej na zachód pod Warszawą przebiegał obecnie środkiem Wisły, dzieląc miasto stołeczne na dwie połowy. I Front Białoruski dowodzony przez marszałka Rokossowskiego został zatrzymany i ustabilizował się na linii Wisły, Bugu i Narwi!

Początkowo siły powstańcze zdane były wyłącznie na własne zaopatrzenie uzbrojenia, amunicji i innych niezbędnych środków do prowadzenia walki w warunkach okrążenia. Później, na apel dowództwa powstańczego rozpoczęły się systematyczne zrzuty broni i amunicji, lekarstw i środków opatrunkowych z Zachodu, prowadzone, planowane i realizowane przez Polskie Siły Zbrojne. Według danych podanych w pracy generała Jerzego Kirchmayera pt:

"Powstanie Warszawskie" /Książka i Wiedza 1960 r/ zrzuty te przeznaczone dla wsparcia powstańców w Warszawie zostały przetransportowane przez ogółem 296 samolotów, z których zniszczeniu uległo 34 tj. około 12%. Start samolotów odbywał się z baz lotniczych we Włoszech i w Wielkiej Brytanii /stąd startowały samoloty amerykańskie do ostatnich zrzutów. Wykonało je 110 samolotów amerykańskich dokonując 107 zrzutów z czego odebrano jedynie 15, reszta trafiła na tereny zajęte przez Niemców! /

Jako fakt podaję tu, że trasa tych ciężkich czteromotorowych samolotów amerykańskich z zaopatrzeniem dla Warszawy prowadziła z Wielkiej Brytanii na wschód poprzez Morze Północne, Danię, Morze Bałtyckie. Nad półwyspem Helskim trasa skręcała nad ujście Wisły, której szerokie rozlane wody były doskonale widoczne w nocy i prowadziły prosto nad cel. Nad Toruniem wywiązała się krótka walka myśliwców amerykańskich eskortujących wyprawę z naziemną obsługą niemieckich baterii, ostrzeliwujących eskadrę płynącą wysoko na wysokości kilku kilometrów ponad miastem i korytem Wisły. Kilka baterii było wówczas zbombardowanych a obsługa ostrzelana z karabinów maszynowych myśliwców atakujących cele lotem koszącym. Ostatnia ta wyprawa amerykańska nad Warszawę odbyła się w nocy 18 września 1944 roku.

Razem Warszawa i bazy podmiejskie odebrały 73 zrzuty o łącznej wadze netto 104 tony, z czego około 82,3 tony amunicji i uzbrojenia, oraz około 21,7 tony żywności i lekarstw. Zawartość odebranych zrzutów wynosiła 953 zasobniki i 347 paczek.

Zrzuty sowieckie dla Warszawy, zapoczątkowane w nocy z 13/14 września 1944 roku, powtarzane były przez następne noce do 18 września, a po przerwie między 18 a 21 września trwały nadal do nocy z 28/29 września 1944 r. W ciągu 12 nocy zrzutów ogólny ciężar tych zrzutów wynosił około 50-55 t, z czego 15 ton przypadało na żywność. Ponieważ ~~zrzuty~~ zrzuty dokonywane były z niskiego pułapu, większość zaopatrzenia trafiła do rąk polskich. Niestety paczki z amunicją i żywnością zrzucone przeważnie bez spadochronów ulegały na ogół poważnym uszkodzeniom, a niekiedy nawet zupełnemu zniszczeniu!

Straty Armii Krajowej walczącej w Powstaniu Warszawskim ocenia się na 22.000 zabitych, zaginionych i ciężko rannych żołnierzy i oficerów. Do strat nie wlicza się lekko rannych żołnierzy: większość bowiem z nich pozostawała bez przerwy w oddziałach, a niewielu było takich, którzy bez zranienia przetrwali całe powstanie. Jeszcze trudniej jest obliczyć ofiary wśród ludności cywilnej, nie mogąc w przybliżeniu nawet ustalić cyfry pogrzebanych pod gruzami, jak i ofiar terrorku Niemców w zdobytych przez nich dzielnicach. Jak podaje dalej generał "Bóh" Komorowski "propaganda niemiecka-bez żadnych do tego podstaw-w parę dni po zakończeniu walk,

podała liczbę ofiar na 200.000. Za nią cyfrę tę powtórzyła propaganda sowiecka, podnosząc ją następnie do 250.000. Wydaje się - jak pisze generał Komorowski, że cyfra ta jest grubo przesadzona i że łączna liczba ofiar nie powinna przekraczać kilkudziesięciu tysięcy. Brak jakichkolwiek danych uniemożliwia jednak ustalenie ściślejszej cyfry.

Straty niemieckie w powstaniu warszawskim wynosiły - na podstawie zeznań gen. von dem Bacha / Kwartalnik Instytutu Pamięci Narodowej, tom I, zeszyt 2, kwiecień-czerwiec, Warszawa 1947/:

10.000 poległych,
7.000 zaginionych,
9.000 rannych

Straty niemieckie przewyższały zatem straty Armii Krajowej, zwłaszcza jeśli od strat bojowych AK odliczyć z liczby zaginionych wymordowanych przez Niemców w zdobytych przez nich dzielnicach jeńców i rannych.

Zniszczenia materialne Warszawy były olbrzymie. Według obliczeń, opartych na danych Głównego Urzędu Statystycznego, zniszczenia budynków spowodowane działaniami wojennymi wynoszą:

Działania wojenne 1939 roku	9,5%
Zniszczenie "getta" 1943, 1944 roku	15,0%
Powstanie Warszawskie 1944 roku	34,3%
Planowe niszczenie przez Niemców od 5.X.44 - 1.I.45	7,9%
Ogółem /średnio/	66,7%

Wymarsz oddziałów Armii Krajowej z Warszawy w dniu 5 października 1944 r. został wyznaczony na godzinę 9,45 rano."

Do niewoli niemieckiej poszła zgodnie z umową kapitulacyjną w dniach 4 i 5 października 1944 roku 11.668 powstańców, wśród nich generałowie Tadeusz "Bór"-Komorowski - dowódca powstania, Grzegorz-Pełczyński, Łaszcz-Skroczyński, Monter-Chruściel i Sęk-Bokszczanin. Do niewoli poszły również sztaby Komendy Głównej, obszaru warszawskiego, okręgu warszawskiego oraz sztaby 28 dywizji powstańczej ze Śródmieścia i 10 dywizji powstańczej z Mokotowa. Ze szpitali w Śródmieściu ewakuowano około 4.000 rannych.

Podaję także ciekawy fragment końcowych wspomnień generała dywizji "Bora"-Komorowskiego a dotyczących jego osoby: "Gdy późną nocą 30 września 1944 roku położyłem się i twardo zasnąłem, zbudził mnie nagle dyżurny tej nocy dowódca plutonu ochronnego. Zerwałem się natychmiast myśląc, że nadeszła odpowiedź od Rokossowskiego. Ale to była wiadomość z Londynu.

"Panie generale" meldował "Agaton", "przed chwilą w audycji BBC / radio londyńskie-dop.S.K./ podano wiadomość, że został Pan mianowany **W o d z e n**

Naczelnym Polskich Sił Zbrojnych". Przez chwilę myślałem, że mu się coś przyśniło lub przesłyszało. Nie było nic bardziej nieoczekiwanego, a co najmniej prawdopodobnego, jak taka wiadomość w takiej chwili. Wcześniej rano nadeszła depesza nominacyjna od Prezydenta Rzeczypospolitej w Londynie, którą podaję według tekstu, ogłoszonego w Dzienniku Ustaw Nr. 11 z roku 1944:

"Do Pana Generała Dywizji Tadeusza Komorowskiego "Bora" w Warszawie. Na podstawie art. 13, ust. 2, pkt. 4 d/ ustawy konstytucyjnej mianuję Pana Generała Naczelnym Wodzem Sił Zbrojnych

Pan Generał wstępuje w prawa i obowiązki Naczelnego Wodza z chwilą rozpoczęcia swych czynności w siedzibie Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu.

Londyn, dnia 30 września 1944 roku. Prezydent Rzeczypospolitej, Władysław Raczkiewicz."

Wiedzieliśmy z radia, że od pewnego czasu zarysował się kryzys na stanowisku Naczelnego Wodza. Premier żądał jego ustąpienia ze względów politycznych. Naczelnym Wodzem był wówczas gen. Kazimierz Sosnkowski, dop. S.K. Prezydent natomiast opierał się temu całą siłą. Nie mieliśmy jednak bliższych informacji w tej sprawie. By dać wyraz mojemu stanowisku i podległym mi żołnierzom, wysłałem 30 września depeszę do generała Sosnkowskiego, w której wyraziłem mu w imieniu własnym i szeregów AK żołnierskie oddanie i przywiązanie do jego osoby, jak i do instytucji Naczelnego Wodza. Z imieniem generała Sosnkowskiego związana była wspaniała tradycja, sięgająca początków istnienia wojska polskiego, jak i piękna karta obrony Lwowa z 1939 roku. Generał był popularną osobistością w kraju i cieszył się zaufaniem w szeregach żołnierskich. Jego obecna dymisja w połączeniu z tragicznym losem Warszawy wystawiała na ciężką próbę siły moralnej i odporność żołnierzy. W tej trudnej chwili zrozumiałem moją nominację, jako wysunięcie symbolu, który jednoczył wszystkich Polaków. Tym symbolem była Warszawa. Było to również uznanie dla ofiarnej i bohaterskiej walki żołnierzy AK. /Koniec cytatu ze "Wspomnień" generała T. Komorowskiego/

Na marginesie wspomnień generała "Bora", muszę tu podać niezwykle interesujący szczegół, który osobiście opowiedział mi w roku 1986 na własną prośbę Mieczysław Urbanowicz, na temat owego spotkania czy "konferencji" dowódców wojskowych partyzantów polskich por. "Bomby" /późniejszego kapitana, Władysława Kochańskiego/. Otóż spotkanie to odbyło się we wsi Bronisławka położonej około 10 km na pń.wschód od Bystrzycy za Skuczą. W tym czasie M. Urbanowicz wraz z rodziną /żona Helena z d. Rodziewicz i nieletni syn, Bogdan/ przebywali w Bronisławce u jednego z gospodarzy, po ucieczce z Bystrzycy przed spodziewanym napadem banderowców. Właśnie w tej zagrodzie nastąpiło spotkanie i tzw. "konferencja" kpt. "Bomby" z dowódcą NKWD:

gen. Neumanowem przybyłym tam z silną obstawą swoich żołnierzy. Na dane hasło wszyscy znajdujący się tam cywile/ gospodarz domu, Mieczysław Urbanowicz, Helena, jego żona oraz kilku sąsiadów zostali spędzeni do jednej izby i postawieni pod ścianą z rękami podniesionymi do góry pod strażą NKAWudziistów z wycelowanymi w nich automatami. Odbyło się to błyskawicznie i zupełnie z zaskoczenia, ponieważ początkowo większość z nich gawędziła przyjaźnie z "partyzantami" i częstowała bimbrem ze staropolską gościnnością przybyłych na "konferencję". Na oczach zaszokowanych i straszonego mieszkańców kpt. "Bomba" /Władysław Kochański/ wraz z rozbrojonymi polskimi żołnierzami z obstawy, zostali wyprowadzeni na dwór i poprowadzeni w nieznanym kierunku. Miało to miejsce w końcu zimy 1944 roku.

Tego typu akcja armii NKWD, na terenach gdzie działała polska partyzantka AK / przeważnie na dawnych terenach polskich zabranych przez ZSRR / została zsynchronizowana i przeprowadzona prawie jednocześnie na całym tym terytorium z chwilą zajęcia ich przez oddziały Armii Czerwonej / Wileńszczyzna, Nowogródzczyzna, Wołyń, Podole oraz na obszarze Białostocczyzny, Lubelszczyzny, Polesia, Lwowa, czyli na całym wschodnim obszarze Rzeczypospolitej.

Należy jeszcze zanotować fakt, że właścicielem zagrody w Bronisławce, gdzie miały miejsce te ponure wydarzenia w powiecie kostopolskim, był Dawidowicz, gdzie mieszkało i znalazło schronienie po ucieczce z terenów zagrożonych przez banderowców kilka polskich rodzin, m. innymi i moi kuzyni, Urbanowicze.

Ta podstępna obława na przywódców, oficerów i żołnierzy AK na terenie położonym za rzeką Słuczą, pomiędzy Sarnami, Klesowem, Emilczynem, Rokitnem, Zwiahlem, Korcem, Ludwipolem i Bereznem, prowadzona przez dłuższy czas, miała swój epilog właśnie na wiosnę 1944. roku w Bronisławce i Moczulance, kiedy ujęto Władysława Kochańskiego i szereg innych dowódców.

Władysław Kochański, były spadochroniarz do specjalnych zadań na terenach polskich, został zrzucony z samolotu nad terenem Wołynia. Był oficerem "Wachlarza", komendantem Obwodu Sarny i Kostopel, dowódcą patroli dywersyjnych na trasie Kowel-Sarny-Korosteń. Działał również w inspekcji AK w Równem. Był jednym z organizatorów obrony Huty Stepańskiej. Używał pseudonimów "Bomba" i "Wujek". Ujęty przez NKWD w Bronisławce, więziony i torturowany prawdopodobnie przeżył i zamieszkał ostatecznie w Szczecinie lub Gdańsku.

Trzeba jednakże wrócić do dalszego wątku wspomnień, zachowując chronologiczną kolejność wydarzeń, jakie miały miejsce w okupowanej Europie w tym gorącym wojennym czasie, pełnym ważnych historycznie faktów, mających związek z moimi dalszymi losami, oraz losami tysięcy Wołyniaków!

W kilku fazach inwazji sprzymierzeńcy zachodni wygrali bitwę o Normandię pancernymi dywizjami amerykańskiej 3-ciej armii, które przedarły się przez lewą flankę niemiecką pod miastem Avranches, weszły do Bretanii, skierowały się na północny wschód nad Sekwaną i oskrzydliły Paryż od strony południowej. Ta zadziwiająca szybkość i siła pochodu amerykańskiego mogły być jedynie przyrównane do niemieckiego zalewu Francji w 1940 roku. Konsekwencje strategiczne tych dwóch różnych pochodów były, również ważne i podobne, gdyż podczas gdy szybki pochód niemiecki w kierunku Kanału La Manche w 1940 roku rozdzielił armie brytyjskie i francuskie, - amerykańskie przerwanie frontu w Normandii spowodowało rozdzielenie dwóch armii niemieckich, które się już nie połączyły, a następnie wycofanie się ich do Niemiec. Pochód niemiecki w 1940 roku doprowadził do upadku Francji - sukces armii sprzymierzonych otworzył drogę do jej oswobodzenia.

Decydujący obrót spraw nie był jedynie zasługą 3-ciej armii amerykańskiej. Jej przedarcie się przez linie nieprzyjacielskie było iskrą, rzuconą na proch, trzy inne armie sprzymierzone zamieniły początkowe załamanie obronnej linii w zupełną porażkę wojsk niemieckich. Armie brytyjska i kanadyjska współpracowały z 3-cią armią amerykańską w pokonaniu niemieckiej 7-mej armii pancerniej w Normandii. W składzie 11 Armii Kanadyjskiej walczyła 11 polska dywizja pancerna pod dowództwem generała Stanisława Maczka.

Całością sił inwazyjnych sprzymierzonych dowodził amerykański generał, późniejszy prezydent USA, Dwight Eisenhower, główną grupą armii amerykańskich generał O. Bradley natomiast anglo-kanadyjskimi siłami i polską dywizją, podporządkowaną w czasie inwazji - Bernard Montgomery, późniejszy marszałek.

Początkowo w dniu inwazji tzn. 6 czerwca 1944 roku na czele sił inwazyjnych, zwanych inaczej Sojuszniczymi Siłami Ekspedycyjnymi stał amerykański generał D. Eisenhower. Podlegała mu 21 Grupa Armii pod dowództwem B. Montgomery'ego w skład której wchodziły: 1 Armia Amerykańska - dowódca O. Bradley i 2 Armia Brytyjska - dowódca Dempsey. Stan taki trwał do dnia 23 lipca 1944 roku. Wskutek napływu większej ilości wojsk na kontynent nastąpiła druga reorganizacja dowodzenia. Od dnia 23 lipca 1944 roku generał B. Montgomery został głównodowodzącym 21 Gr. Armii składającej się z: 1 Armii Am. - dowódca gen. O. Bradley, 2 Armii Bryt. - dowódca generał Dempsey oraz 1 Armii Kanadyjskiej - dowódca generał Crerar.

Ostatnia zmiana na stanowisku dowódczym miała miejsce w dniu 1 sierpnia 1944 roku: Głównodowodzący - gen. D. Eisenhower, dowódca 12 Gr. Armii Amerykańskiej - gen. O. Bradley, dowódca 21 Gr. Armii Brytyjsko-Kanadyjskiej - gen. B. Montgomery.

Wkrótce po wylądowaniu wojsk sprzymierzonych w Normandii, Niemcy zaatakowali południową Anglię łącznie z Londynem poczynając od dnia 15 czerwca 1944 roku "tajemniczą" bronią /~~Geheimwaffe~~ lub Wunderwaffe/, przy pomocy której Hitler miał nadzieję zdemoralizować ludność cywilną i odwlec swą klęskę. Była to bomba latająca, zwana przez Anglików bombą "bzykającą" /buzzbomb/, miniaturowy samolot o pięciometrowej rozpiętości skrzydeł, z napędem rakietowym, utrzymującym równowagę przy pomocy żyroskopu, kierowany przez kompas magnetyczny i lecący po linii poziomej.

Z chwilą wyczerpania się paliwa, samolot walił się na ziemię ze swym tonowym ładunkiem materiału wybuchowego. Ze względu na wielką ówczasie szybkość bomby latającej, wynoszącej ponad 600 km/godzinę, mogły ją dogonić jedynie najnowsze typy samolotów myśliwskich, jak "Tempest", "Spitfire" i "Mustang". Większość "robotów" była wypuszczana w powietrze seriami czy salwami ze starannie ukrytych wyrzutni wzdłuż wybrzeża Kanału La Manche na północ od Calais/Kale/. Ponieważ "roboty" nie nadawały się do atakowania oznaczonych celów wojskowych, ich jedynym skutecznym celem mogło być miasto tak olbrzymie jak Londyn.

Ta powietrzna nawała ogniowa trwała przez około 80 dni /15-go czerwca - 1-go września 1944 roku/. U szczytu natężenia, w czasie pochmurnych dni czerwca i lipca, Niemcy wystrzelili po 200 "robotów" w ciągu doby; przeważnie jednak nadchodziły one falami w większych ilościach na raz, dniami i nocą. Początkowo spowodowały one znaczną ilość wypadków: do początku sierpnia 44 r. zginęło ponad 45700 ludzi, głównie w Londynie, a 14.000 poniosło ciężkie obrażenia. Wyewakuowano z Londynu około 1.000.000 mieszkańców, głównie matki z dziećmi, by zapobiec większej ilości wypadków.

Największe szkody poczynione zostały w budynkach. Wybuchy bomb powodowały wypadanie szyb na wielkiej przestrzeni, a odłamki szkła raniły ludzi. "Roboty" zniszczyły wielką ilość szkół i szpitali; łącznie ponad milion domów mieszkalnych uległo zniszczeniu, z czego większość w samym Londynie. Brytyjczycy byli dobrze przygotowani do tej drugiej "bitwy o Londyn"; była ona do pewnego stopnia jeszcze groźniejsza niż pierwsza z 1940 r., gdyż bomby mechaniczne bez kontroli pilota uderzały gdzie popadło i niszczyły wszystko w najbliższym promieniu wybuchu. Na przeszło rok przed rozpoczęciem tego ataku wywiad brytyjski podał do wiadomości szefów sztabów sojusznicznych, że Niemcy przeprowadzają doświadczenia i próby z tajemniczą bronią; rekonesans powietrzny stwierdził wkrótce /maj 1943 roku/, że był to pewien rodzaj rakiety czy bomby latającej. Kiedy Niemcy wybudowali ponad sto wyrzutni tych bomb wzdłuż wybrzeża francuskiego /listopad 1943 roku/ samoloty sprzymierzonych zniszczyły je całkowicie w ciągu silnych nalotów bombowych, trwających całą zimę. Zniszczenia były tak wielkie, że w marcu 1944 roku Niemcy musieli zabrać się na nowo do roboty i pobudowali nowe wyrzutnie, bardziej proste w konstrukcji i lepiej zamaskowane.

z ukrytymi składami materiału i zapasów bomb latających. Na te, jak i na poprzednie wyrzutnie, bombowce alianckie zrzuciły, łącznie ponad 100.000 kg bomb, tracąc 450 maszyn od ciężkiego ognia artylerii przeciwlotniczej, który zastał je przy nalotach na małej wysokości.

Gdy rozpoczął się zaciekły atak bomb latających, Brytyjczycy ulepszyli swój system obrony przeciwlotniczej. Wzmocniono zaporę balonową chroniącą Londyn do dwóch tysięcy balonów na uwięzi i zaopatrzone je w specjalne kable i siatki; rozbijało się o nie blisko 15% bomb dolatujących do przedmieść miasta. W połowie lipca 44 r. przeniesiono ponad tysiąc dział przeciwlotniczych z Londynu nad wybrzeże, gdzie dobra widoczność ponad morzem umożliwia obsłudze baterii zestrzeliwanie blisko 3/4 przelatujących nad ich stanowiskami bomb. Dwadzieścia amerykańskich baterii przeciwlotniczych z 350 działami dołączyło się do brytyjskiej "galerii strzelniczej". Piloci samolotów myśliwskich, zarówno Brytyjczycy jak i Amerykanie, wspomagani w czasie dnia radio-telefonicznym systemem wykrywania bomb, a w czasie nocy przez tanie i proste celowniki podające odległość, zestrzelili około 1.900 bomb latających.

Ten system połączonej obrony stał się tak skuteczny, że pod koniec sierpnia 1944 roku na każde dziesięć bomb zestrzeliwano dziewięć, a tylko jedna dolatywała do Londynu. Niemcy wystrzelili łącznie około 8.000 tzw. "V.1"/skrót dla: Vergeltung Nr1 = odpłata/, z czego 2.300 wybuchło w stolicy Anglii, gdzie zanotowano większość ciężkich wypadków.

Okazało się jednak, że w rezultacie bomba V.1. przyniosła pod względem militarnym większe szkody Niemcom niż sprzymierzonym. Alianci nie zostali powstrzymani od inwazji Francji, a już z początkiem września oddziały brytyjskie pokonały wojska niemieckie, broniące wybrzeża z wyrzutniami bomb latających. Instalacja, obsługa, zaopatrzenia i obrona tych wyrzutni kosztowały Niemców więcej czasu i ludzi niż to było w istocie warte. Okazało się, że bomby mechaniczne nie mogły zastąpić samolotów myśliwskich, których Niemcy potrzebowali do obrony. Jedyną stratą pod względem militarnym, była konieczność przerzucenia alianckich samolotów i bomb z ataków na Niemcy na obronę przeciwko bombom latającym. Ostatni rozpaczliwy atak niemiecki na W. Brytanię - zarówno jak "Blitz" z 1941 roku - zawiódł, gdyż w gorączkowym pośpiechu, by jak najszybciej pokonać przeciwnika, Niemcy nie zdążyli udoskonalić swej broni, ani techniki jej zastosowania.

Zbliżając się do zakończenia rozważań i refleksji końcowych wydarzeń roku 1944 muszę tu chronologicznie wspomnieć o zamachu na Hitlera, który miał miejsce w Głównej Kwaterze w Kętrzynie w ówczesnych Prusach Wschodnich w dniu 20 lipca 44 roku. Była to szokująca wiadomość i zdawało się, że za kilka tygodni nastąpi zupełna kapitulacja hitlerowskich Niemiec. Jednakże nic takiego nie nastąpiło, przeciwnie, zamach się nie udał, represji

je i ucisk hitlerowski wzmógł się jeszcze do niespotykanych rozmiarów obejmując swym zasięgiem całe Niemcy. Głównym inspiratorem i wykonawcą nieudanego zamachu na Hitlera był Claus Filip Schenk, hrabia von Stauffenberg, człowiek o silnej indywidualności i zdecydowaniu. Pochodził ze starej hrabiowskiej rodziny posiadającej wielkie majątki i rodzinne tradycje w południowych Niemczech. Pracował w sztabie generała Olbrichta, dowódcy armii rezerwowej, w stopniu pułkownika. Spiskowców była mała grupa ale zdecydowana na wszystko. Opracowali plan zgładzenia Hitlera przy pomocy bomby zegarowej. Plan nosił kryptonim "Walkiria".

Bomba podłożona przez Stauffenberga w kwaterze Hitlera /Wolfschanze - Wilczy Szaniec/ koło Kętrzyna w głębokim lesie, gdzie prowadziła specjalna bocznicą kolejowa oraz wybudowano potężny schron, wybuchła w chwili kiedy on sam opuszczał już barak konferencyjny i zdążył następnie odlecieć specjalnym samolotem do Berlina. Bomba dziwnym trafem nie uczyniła większych szkód Hitlerowi, jedynie zniszczyła ciężki stół na którym leżały mapy i dokumenty sztabowe. Siłę wybuchu amortyzowała gruba podstawa stołu za którą stał Hitler.

Jednakże w Berlinie czuwał przebiegły minister propagandy dr. Goebbels, który nie dał się zaskoczyć spiskowcom i rozwijającym się lawinowo wypadkom. Wkrótce opanował sytuację przy pomocy wiernych sobie i Hitlerowi oddziałów SS, aresztował większość niezdecydowanych uczestników zamachu i w pokazowym procesie, który trwał bardzo krótko, wszystkich zasądzone na śmierć przez powieszenie.

W związku z zamachem 20 lipca 1944 roku stracono z rozkazu Hitlera i Goebbelsa około 5.000 osób między innymi feldmarszałka Witzlebena, generałów Hoepfnera, Hasego i Stieffa oraz innych wyższych oficerów na okrutną powolną śmierć przez powieszenie na strunach fortepianowych zaczepionych na hakach w miejskiej rzeźni. Egzekucja ta została dokładnie sfilmowana w dniu 8 sierpnia i Hitler tego jeszcze wieczorem oglądał ją w Kancelarii Rzeszy w Berlinie.

Ponadto udowodniono uczestnictwo w spisku feldmarszałkowi Rommlowi, poprzedniemu dowódcy Korpusu Afrykańskiego, który zmuszony został przez Hitlera do popełnienia samobójstwa. Oprócz tego w tym czasie zesłano do obozów koncentracyjnych ministra dr. Hjalmara Schachta i generała Haldera.

Tak więc spisek się nie udał i wojna trwała dalej z niesłabnącą zaciekłością na wszystkich frontach, które nieubłaganie zbliżały się do granic Rzeszy ze wschodu, południa i zachodu.

W dniu 15 sierpnia 1944 roku nastąpiło nowe lądowanie połączonych wojsk Sprzymierzonych na południu Francji od strony Morza Śródziemnego na odcinku pomiędzy Cannes a St. Tropez w pobliżu Tuluzy i Marsylii. Była to 7-ma armia amerykańska z oddziałami francuskimi pod ogólnym do-

wództwem amerykańskiego generała Patch'a. W trzy tygodnie po wylądowaniu /18 sierpnia 44 r./ 7-ma armia wraz z oddziałami francuskimi wewnątrz kraju, które wyszły wówczas z ukrycia, wzięły do niewoli ponad 10.000 jeńców. Główne siły armii posuwały się na północ doliną Rodanu zajmując kolejno miasta: Montelimar, Grenoble oraz główne miasto tej prowincji Lyon. We wrześniu 1944 roku armia ta dotarła do granicy szwajcarskiej, zajmując górny odcinek Renu łącząc się w Alzacji z armiami, które po opuszczeniu Paryża i północno-wschodnich terenów Francji, po zwycięskiej bitwie w Normandii w pościgu za cofającymi się wojskami hitlerowskimi, stanęły wkrótce nad Renem. Rozpoczęła się teraz właściwa bitwa o Niemcy!

W dniu 19 sierpnia 44 r. w chwili kiedy wysunięte kolumny czołgów amerykańskich zbliżyły się do Sekwany po obu stronach stolicy Francji Paryża, jego mieszkańcy powstali do walki przeciwko hitlerowskiemu ciemieniu. Rozkazy przywódców ruchu podziemnego rzuciły na ulice miasta ponad 50.000 uzbrojonych oddziałów francuskiej armii krajowej, do której dołączyły się nieuzbrojone tłumy ludności cywilnej. Podobnie jak Polacy w Warszawie, zawiązali oni zacięte walki uliczne z regularnymi oddziałami armii niemieckiej z tą tylko różnicą, że w Warszawie walki trwały ponad dwa miesiące, a w Paryżu jedynie cztery doby. Francuska 2-ga dywizja pancerna, weterani z Tunisu, pod dowództwem generała Lecletera, przysłała z natchmiastową pomocą oddziałom patriotów, wkraczając do Paryża od południa i zachodu /24 sierpnia 44 r./, a za nimi dążyły oddziały amerykańskie.

Niemiecki garnizon w sile około 10.000 żołnierzy wraz z dowództwem poddał się tym armiom 25 sierpnia 44 r.; przez kilka dni jednakże trwała strzelanina z ukrycia - szczególnie uparcie bronili się Francuzi, którzy współpracowali z Niemcami!

Paryż był wolny. Była to pierwsza stolica jednego z krajów sprzymierzonych, która została uwolniona od Niemców. Generał Charles de Gaulle /Szarł de Gol/ wkroczył do miasta /16 sierpnia 44 r./ na czele swych oddziałów, by stać się w kilka dni później prezydentem wolnego rządu tymczasowego, który został stworzony w porozumieniu z przywódcami ruchu podziemnego. Generał Eisenhower przyjął paradę żołnierzy sprzymierzonych, francuskich, amerykańskich i brytyjskich, którzy przemaszerowali pod Łukiem Triumfalnym udając się za miasto, by skierować się nad Marnę w pościgu za wojskami hitlerowskimi!

Na północny zachód od Szczecina tuż na wybrzeżu Morza Bałtyckiego leży wyspa Uznam /po niem. Usedom/. Przez wyspę przebiega obecnie najbardziej na północ wysunięta granica Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zatoka Szczecińska oddzielona jest od morza właśnie wyspą Uznam oraz wyspą Wolin. Uznam ma wspólne cechy budowy i rozwinięcia wy-

brzeży z wyspą Rugią położoną nieco dalej na północny zachód nad Bałtykiem. W teren wyspy, podobnie jak na Rugii, morze wżera się licznymi zalewami i zatokami, tak że wygląda on jakby popękany i porozdzierany. Wąskie przesmyki łączą poszczególne części lądu. Morze przez tysiące lat uderza falami w brzeg nanosząc zwały piasku i margli. Ta praca nad ukształtowaniem wybrzeża wyspy trwa do dziś dnia. Podczas jesiennych i zimowych burz woda zalewa plażę, podmywa strome brzegi i zabierając piasek i kamienie z jednego miejsca osadza je w drugim, powodując narastanie nowego lądu.

Zalew rzeki Odry przy ujściu do Morza Bałtyckiego w zachodniej części tworzy cieśninę zwaną Płaną / po niemiecku Peenemünde/. Od wielu lat znajdowała się tam nędzna osada rybacka. Prawie sto lat temu pobliskie wioski przeobraziły się w uzdrowiska, ale mała wioska została w tyle. Inne miejscowości bogaciły się, tutaj zaś panowała bieda i zastój. Parowce płynące ze Swinoujścia do modnych uzdrowisk nadmorskich położonych na wyspie Rugii, przepływały w pobliżu Greifswalder Oie, ale rzadko tam zawiły.

Ich ostatnim miejscem postoju na wyspie Uznam było Zinnewitz. Opuszczając tę miejscowość, aby udać się dalej na Rugię, można było zauważyć na północnym zachodzie wyspy małą nieznaną wioskę. Zwała się ona Peenemünde = ujście cieśniny Płany. Nic nie znacząca wioska rybacka o tej nazwie jest dziś związana z historią pierwszej rakiety, którą Niemiec wynalazcy nazwali A-4, a która w historii jest znana pod nazwą V-2.

W 1935 roku III Rzesza rozpoczęła pod rządami Hitlera realizację olbrzymiego planu zbrojeniowego. W budżecie państwowym na rok 1936/37 hitlerowcy przeznaczili na bezpośrednie zbrojenia kolosalną kwotę w wysokości 5,8 miliarda marek. Projekt budowy bazy rakietowej w Peenemünde na wyspie Uznam główny specjalista, uczony fizyk niemiecki Werner von Braun, oraz przedstawiciel Wehrmachtu ówczesny major dr. inż. Walter Dornberger uzyskali wkrótce przychylność najwyższych władz partyjnych i rządowych III Rzeszy.

Nastąpiła w tym czasie silna rywalizacja poszczególnych rodzajów wojsk w budowie własnych rakiet i broni rakietowych dla swoich jednostek. Rywalizację tę wygrało początkowo dowództwo wojsk lądowych, co nie przeszkodziło kontynuacji prac nad tymi bronią w innych rodzajach wojsk, a szczególnie w osławionej Luftwaffe /siłach powietrznych/, którymi dowodził sam Hermann Göring. W dniu 2 kwietnia przedstawiciel jego zawarł umowę z burmistrzem miasteczka Wolgast o kupno całego obszaru lasu we wsi Peenemünde. Göring zapłacił ok. 750 tys. marek za rejon nadmorski, w którym kiedyś dziadek Wernera von Brauna polował na dzikie kaczkę. Tak więc już w roku 1936 na północnym krańcu wyspy Uznam, tam

gdzie już tylko przed człowiekiem rozciąga się Bałtyk, rozpoczęto budowę ogromnej fabryki rakiet V-2. Większą część wyspy odizolowano od świata, postawiono liczne posterunki, szlabany, zaprowadzono ścisłą kontrolę poruszania się na terenie wytwórni śmiertelnych rakiet.

Walter Dornberger, który wkrótce awansował na pułkownika, a potem na generała, objął dowództwo wojskowe, a dr. inż. Werner von Braun - techniczne. Tak więc wioska rybacka Peenemünde, położona na zachodniej stronie północnej części wyspy, dała swą nazwę powstającemu gigantycznemu rejonowi i, w bliznieniu doświadczałemu.

Muszę tu wspomnieć, na marginesie tych refleksji na ten temat, że w odległości około 12 km ~~określona~~ położona na północnym zachodzie od wyspy Uznam rozciąga się ogromna wyspa Rugia, gdzie w latach 1943-45 przebywała na robotach w Niemczech rodzina Adolfa Kurjaty. Wyspa ta została opadowana w końcowej fazie wojny przez wojska radzieckie. Rodzina ta musiała więc przeżyć wszystkie okropności późniejszych wypadków, które miały miejsce w okolicy Rugii i wyspy Uznam, obserwując je z bliskiej odległości.

Olbrzymia inwestycja zbrojeniowa Niemiec hitlerowskich została przez władze wojskowe całkowicie ukryta przed dociekliwością mocarstw zachodnich. Do połowy 1943 roku ośrodek zbrojeniowy w Peenemünde nie został przez aliantów jeszcze rozszyfrowany! Oczywiście w dużym stopniu zadecydowały o tym warunki panujące w III Rzeszy, szalejący terror gestapowski i bezwzględne środki bezpieczeństwa zastosowane przez kontrwywiad Wehrmachtu, Gestapo i policję wokół wyspy Uznam, Peenemünde i całego obszaru przylegającego do tajemniczego ośrodka zbrojeniowego.

Zanim na wyspie Uznam w rejonie Peenemünde przystąpiono do budowy hal fabrycznych, zamaskowanych ~~maci~~ naciągniętymi na nie siatkami ochronnymi, trzeba było najpierw osuszyć podobny do dżungli teren, na którym rosł sosnowy las. Na najbardziej, na północ wysuniętym skrawku wyspy wybudowano lotnisko, wyrzutnię dla pocisków sterowanych i bazę wystrzałową rakiet próbnych.

Podobne urządzenia istniały już wcześniej w miejscowości Kummersdorf, położonej na południowy wschód od Berlina, w odległości około 6 km na południe od autostrady Słubice-Frankfurt n/Cdrą, Poczdam. Organizacje wojskowe i uczeni niemieccy zajmujący się próbami i produkcją rakiet z Wernerem von Braunem na czele, wskutek częstych nalotów i alianckich bombardowań, zmuszeni zostali do przeniesienia tych urządzeń i założeń nowej bazy do prób nad nowymi rakietami ~~na~~ w bardziej bezpieczne i odludne miejsce. Wybrano właśnie Peenemünde na wybrzeżach Bałtyku.

Na szybko wybudowanych szlakach kolejowych i szerokich autostradach zapanował ożywiony ruch. Do budowy ośrodka użyto tylko starannie wybrane i zmuszone szczególnymi przysięgami do tajemnicy bataliony pracy Organizacji Todt, inżynierów, techników i geologów. Gdy zabrakło z biegiem czasu

ruk do pracy, zażądany nadesłania do ciężkich robót więźniów z obozów koncentracyjnych. Zakłady budowy śmiertelnych rakiet rosły, a narody podbitej Europy nie zdawały sobie jeszcze sprawy nad straszliwą potęgą śmierci, która wykluwała się na terenach objętych ścisłą tajemnicą wojskową III Rzeszy.

Tym, którzy zatrudnieni byli przy budowie rakiet i dopuszczeni do wszelkich tajemnic w tej hitlerowskiej zbrojowni, nie brakowało niczego. Kto się jednak zgodził się do tej pracy i podpisał zobowiązanie strzeżenia jej tajemnic, musiał to uczynić totalnie, bez reszty, zaprzędając się duszą i ciałem sprawie, której się poświęcił.

Dr. Werner von Braun, któremu w Kummersdorfie koło Berlina podporządkowany był tylko dziewięćdziesięcioosobowy sztab współpracowników, w Peenemünde kierował zespołem liczącym w pewnym okresie intensywne próby, ponad dwadzieścia tysięcy naukowców, konstruktorów i inżynierów, techników rakietowych. Odpowiada to mniej więcej sile dwóch dywizji w stanie wojennym samych specjalistów - techników rakietowych. Całe centnary odbitek rysunków technicznych co wieczór przechowywano w podziemnych piwnicach i wyciągano z rana do dalszych badań.

Führer III Rzeszy, Adolf Hitler był doskonale poinformowany o pracach prowadzonych w Peenemünde i łączył z tymi "specjalnymi broniami" /Wunderwaffe/ wielkie nadzieje na pokonanie Anglii i opanowanie całego świata.

W marcu 1939 roku, będąc niesłychanie zainteresowany postępami prac nad doświadczeniami rakietowymi, wizytował osobiście kolonię naukowców w Peenemünde na wyspie Uznam. Po długotrwałych rozmowach z uczonymi obejrzał udaną próbę wystrzelenia pocisku rakietowego, co uczyniło na nim ogromne wrażenie. Posypały się odznaczenia i pochwały dla szeregu zaangażowanych partyjnych pracowników.

Jednakże uczeni z tej wytwórni śmiertelnych pocisków nie zawsze uzyskiwali nieograniczone poparcie Hitlera i jego sztabu. W Peenemünde również zdarzały się wzloty i upadki, na które bezpośredni wpływ wywierał przebieg militarnych operacji w Europie, w zależności od tego, jak oceniano je w Berlinie. Kampania hitlerowska przeciwko Polsce rozpoczęła się w dniu 1-go września 1939 roku. W tym czasie Peenemünde otrzymało priorytet w uzyskiwaniu wielkich kredytów. Kilka tygodni później Polska armia skapitulowała. Wówczas Hitler polecił ograniczyć kredyty na prowadzenie budowy rakiet.

Pycha Hitlera ze zwycięstwa nad Polską napełniła go przekonaniem, że w tej wojnie i tak już niepotrzebna mu będą rakiety. Po koniec czerwca 1940 roku skapitulowała Francja i Peenemünde skreślono w ogóle z listy zakładów priorytetowych. Po pewnym czasie nastąpił zaciekły atak powietrzny na Wielką Brytanię, który jednakże nie przyniósł pożądanego efektu.

Dopiero w listopadzie 1940 roku, gdy "bitwa o Anglię" zakończyła się niepowodzeniem, Hitler znowu przypomniał sobie o projekcie rakiety A-4, i w kilka miesięcy później rozwojowi prac nad jej zastosowaniem przyznano

najwyższy wówczas stopień priorytetu w Niemczech - "SS". Oczywiście, że związane to było również z przygotowywanym atakiem na Rosję sowiecką.

Dlatego na wiosnę w 1942 roku prace w bazie doświadczalnej ruszyły rażno naprzód, ponieważ prawie wszystkie problemy techniczne związane z budową pierwszej wielkiej rakiety zostały rozwikłane i ustalone. Rakietą A-4 miała być broń dalekosiężna, trafiającą dokładnie w ustalony cel na ziemi.

W dniu 15 maja 1942 roku angielski myśliwiec typu "Spitfire" lecąc na rozpoznanie niemieckiej bazy morskiej w Swinoujściu / po niem. Schweinemünde / napotkał na trasie lotu odosobnione, nieznane lotnisko na wyspie Uznam i pilot samolotu sfotografował je. Przy odczytywaniu zdjęcia lotniska umieszczonego w lesie zauważono jakieś dziwne, okrągłe leje, otoczone wałami i przypominające kratery wulkanów. W pobliżu znajdowały się nowe zabudowania. Specjaliści od odczytywania zdjęć lotniczych zakwalifikowali obiekty widoczne na fotografii jako "poważne prace budowlane" i dlatego zdjęcie odłożono ad acta. Brytyjczycy wciąż jeszcze niczego nie podejrzewali.

Wiosną 1943 roku Niemcy podjęli decyzję o masowej przemysłowej produkcji "bomb latających" V-1 i rakiet V-2. Zrobiono wszystko, aby nikt z obcych nie mógł się dowiedzieć o najmniejszych szczegółach tajnej broni. Wyspę Uznam i znajdujący się na niej kombinat raketowy wraz z przyległym obszarem otoczono kilkoma pierścieniami bezpieczeństwa. Wydawało się, że wywiad nieprzyjacielski nic nie dowie się o tajemnicy Peenemünde. Takiego przynajmniej mniemania byli ludzie z dowództwa Wehrmachtu i najbliższego otoczenia Hitlera, a także pracownicy naukowcy bazy raketowej ukryci pod betonowymi schronami w lesie wyspy Uznam.

W maju 1943 roku Anglicy odbywając dalsze loty zwiadowcze nad Peenemünde wykonali pierwsze udane zdjęcie na którym rozszyfrowali specjaliści podłużne cylindry w kształcie rakiety. Pierwszą osobą, która bezbłędnie to uczyniła była Angielka Constance Babington-Smith, kobieta oficer, która w dziedzinie odczytywania zdjęć lotniczych nie miała sobie równych. Odegrała ona olbrzymią rolę w rozpoznaniu bazy w Peenemünde i wypróbowaniu tam nowych broni: V-1 i V-2.

Polka komórka wywiadowcza Armii Krajowej zwerbowała do współpracy nad rozszyfrowaniem bazy raketowej żołnierza Wehrmachtu Romana Trągera, podlegającego dowódcy komórki wywiadowczej na Pomorzu, Bernardowi Kaczmarkowi. Oboje pracowali i należeli do podziemnej organizacji wywiadowczej AK pod nazwą "Lombard". Macki tej organizacji sięgały aż na wyspę Uznam i docierały do wnętrza bazy, gdzie założona była siatka szpiegowska pracująca na rzecz AK. Zdobyte wiadomości i informacje wraz ze szczegółowymi szkicami i mapkami zostały przesłane przez polskiego oficera

inż. Antoniego Kocjana, konstruktora szybowców, pracującego w Komendzie Głównej Armii Krajowej i któremu podlegały zagadnienia wywiadu lotniczego, do Londynu do dalszego wykerzystania.

Zebrany obfity materiał dowodowy przez Komitet Obrony w Wielkiej Brytanii nie podlegał żadnym wątpliwościom. Niemcy szykowali się do zadania Anglii potężnego ciosu przy pomocy rakiet i latających bomb. Należało więc Niemców uprzedzić i natychmiast zniszczyć owe groźne fabryki latającej śmierci na wyspie Uznam.

Decyzja o potężnym nalocie na Peenemünde zapadła na posiedzeniu Komitetu Obrony w dniu 29 czerwca 1943 roku. Nalot był przygotowywany bardzo długo i niezwykle starannie. Przeprowadzono liczne ćwiczenia i pozorowane ataki z udziałem kilku tysięcy lotników i pomocniczego personelu.

Należało jeszcze zmylić czujność niemieckiego wywiadu i obsługi naziemnych baterii dział przeciwlotniczych. Cel ten osiągnięto drogą niezwykle zręcznego manewru. Oto atak na Peenemünde poprzedzono kilkoma nalotami na stolicę Niemiec - Berlin. Samoloty atakujące to miasto, nie leciały jednak normalnie, jak dotychczas, nad lądem w linii prostej, lecz ciągnęły ogromnymi kluczami wzdłuż wybrzeży Bałtyku, kierowały się nad Rugię, skręcały następnie nad wyspę Uznam, i mając Odrę po lewej stronie planowanego kursu, leciały nagle nad Berlin. Tam zrzucały swój ładunek bomb i wracały do macierzystych baz w Wielkiej Brytanii.

Datę ataku utrzymywano w najściślejszej tajemnicy. Akcję uzależniono m.in. także od warunków atmosferycznych. Poza tym nalot na Peenemünde miał być dokonany według całkowicie nowej techniki bombardowania, która polegała na prowadzeniu ataku przez specjalny samolot dowódczy, który po osiągnięciu celu zataczał nad obiektem ataku bez przerwy kręgi i przez radiotelefon instruował ndlatujące fale eskadr, co mają bombardować. Obiekty wytypowane do ataku oznaczano wiszącymi na spadochronach flarami o różnych kolorach nad różnymi celami. Napływające bombowce miały tylko za zadanie obrzucanie bombami celów oznaczonych "choinkami" oświetlając dokładnie wyznaczony obszar.

Nadszedł wreszcie wczesny ranek 17 sierpnia 1943 roku. Lot ponad 600 czteromotorowych potężnych bombowców zgrupowanych w trzy eskadry ponad Morzem Północnym musiał być przeprowadzony na niższej wysokości aby bombowce mogły lecieć poza zasięgiem niemieckiego wczesnego wykrywania wrogich samolotów. Dopiero nad Danią a później wyspą Rugię i Uznam cała ta potężna armada powietrzna miała już wznieść się na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów. O godzinie 21.00 wystartował jako pierwszy samolot "dyrygenta", płk. Johna H. Searby'ego, - "Lancaster" wyposażony w urządzenia radiolokacyjne, oznaczony kryptonimem "W". Wkrótce po nim wystartowały pozos-

tałe bombowce. Niesamowita, gigantyczna flotyła, licząca około sześćset czteromotorowych bombowców, leciała grząc potężnymi motorami w kierunku nie spodziewającej się niczego wyspy Uznam, w kierunku tajemniczej bazy raketowej III Rzeszy - Peenemünde, aby zrzucić nad chronionym ściśle obszarem około 2.000.000 kg. śmiertelnośnego ładunku!

Skutki nocnego kilkugodzinnego bombardowania bazy raketowej były straszliwe. Obszar objęty ścisłym bombardowaniem leżący w północno zachodniej części wyspy Uznam łącznie z wyspami Ruden i Greifswalder Oie oraz miejscowościami Peenemünde, Kröslin, Karlshagen, Transwinheide, Zinnowitz, Zempin, Lütow, Kölpinsee, Loddin, Wolgast i cały szereg mniejszych osiedli i wiosek został dosłownie głęboko przeorany wybuchami bomb różnego kalibru z natychmiastowym i opóźnionym zapłonem!

Wszystkie wyrzutnie, lotnisko, przystanie i schrony wojskowe, miejsca prób i zakłady doświadczalne, baraki robotników, domy mieszkalne pracowników naukowych i magazyny części raketowych oraz gotowe rakiety wraz z całym zapasem paliwa, cała dokumentacja techniczna, drogi dojazdowe, sosnowy las w którym mieściły się wyrzutnie i lotnisko - zapalone bombami fosforowymi paliły się jednym olbrzymim ogniem sięgającym kilkuset metrów w górę. Eksplozje bomb trwały przez wiele dni, siejąc dodatkowo zamęt i strach wśród ocalałego personelu zatrudnionego przy usuwaniu szkód oraz ratowaniu rannych i poparzonych ludzi a także usuwających trupy rozszarpane przez wybuchy bomb!

Ogółem zginęło ponad 750 osób w tym 178 należących do stałego sztabu niemieckich współpracowników dr. Wernera von Brauna, który postarzał się tej nocy o kilka lat. Podczas nalotu zabici zostali dwaj najcenniejsi współpracownicy Brauna: dr. W. Thiel i inż. Walter. Śmierć Thiela mogła mieć wówczas niesłychanie poważne znaczenie: jako jeden z najstarszych współpracowników programu raketowego pracował nad zespołami napędowymi rakiety. Był łącznikiem pomiędzy bazą w Peenemünde i słynnym fizykiem atomowym, prof. Heisenbergiem, ponieważ zakładał teoretycznie możliwość zastosowania w rakiecie napędu atomowego. Po jego śmierci zainteresowanie tym zagadnieniem zmalało. Poległ również generał W. Chamier-Glyczinski, komendant wojskowy ośrodka doświadczalnego Peenemünde!

Na wiadomość o strasznym nalocie na bazę raketową i dokonanym spustoszeniu Hitler wpadł w furję, żądając coraz to szczegółowszych raportów i relacji ze zniszczeń tajnej broni, która stała się jego oczkiem w głowie. Całą winę za słabo broniony obszar tajnych zakładów raketowych zwałono na szefa sztabu Luftwaffe generała płk. H. Jeschonnka, który w następstwie obraźliwych pomówień Göringa o niedołęstwo popełnił samobójstwo!

Ponieważ lotnictwo niemieckie obawiało się powtórzenia nalotów na Peenemünde, przygotowało ono sobie w ciągu najbliższego czasu nowe tere-

ny: doświadczalne do prób z tajną bronią. Przeniesiono częściowo próby do bazy marynarki wojennej w rejonie Królewca i Piławy, gdzie do robót zapędzono tysiące polskich i rosyjskich jeńców wojennych. Obawa przed nalotami na inne fabryki, produkujące rakiety, spowodowała, że Niemcy skoncentrowały ich wyrób w podziemnych fabrykach w górach Harcu położonych w centrum kraju. Skłoniły też one Niemców do częściowego przeniesienia swej pracy doświadczalnej na tereny w Polsce, poza zasięg bombowców alianckich. Tereny te znajdowały się w miejscowości B l i z n a położonej na wschód od linii kolejowej Mielc-Dębica-Tarnów.

Zbliżała się jesień 1944 roku. Praca w oborze szła swoim trybem. Obrzydliwe czynności wykonywane bezmyślnie codziennie wokół ogromnego stada szwabskich krów i cieląt tępiły umysł i wprawiały mój organizm w stan ciągłego ośpienia i przymusowej rezygnacji z najbardziej prymitywnych potrzeb kulturalnych. Jedyną rozrywką ~~czasami~~ czasami ekscytowała mnie i cieszyła, to były wiadomości o coraz to częstszych klęskach hitlerowców na wszystkich frontach. Doszedłem do niejkiej wprawy w odczytywaniu krzepiących mnie wiadomości z niemieckich gazet: wypożyczanych od Detlawów czy od Szumnego. Stary szwajcar również nie nagabywany, sam rozpoczynał w oborze swoje utyskiwania nad militarnymi klęskami niemieckich wojsk, uważanych dotychczas za niezwyciężone. W swojej wierze w potęgę III Rzeszy stawał się bardziej oględny, wypowiadając czasami zaskakujące krytyki skierowane pod adresem przede wszystkim szefa, a później nieudolnego dowództwa wojskowego Niemiec, które dopuściło do wojny na dwa fronty.

Rozpoczęły się zbiory buraków cukrowych. Anglicy zwozili do obory masę liści, zwalali je przy drzwiach wejściowych, które następnie tragami roznosiliśmy z Bolkiem wąskimi przejściami i rytmicznie wyrzucaliśmy prawie biegnąc tuż przy rogatych krowich łbach. Krowy prychały i sapaly z zadowolenia, a te które jeszcze nie dostały, grzebały racicami i tarki rogami po szczeblach żłobów i z niecierpliwieniem oczekiwały swojej kolejki, kiedy przed pyskami spadną im smaczne zielone liście.

Po liściach mleko popłynęło większą strugą. Dojenie trwało już nieco dłużej niż poprzednio. Zwiększyły się również kłopoty z usuwaniem obornika i z myciem zafajdanych krowich tyłków. Niektóre krowiska podostawały rozwolnienia pozerając ogromne ilości zielonego żarła i srały z wysiłkiem, paskudząc na cały szeroki środkowy chodnik biegnący na całą długość krowiej obory. Trzeba było poświęcić obecnie więcej uwagi na utrzymanie w czystości również i całej obory, gdyż szef kontrolował codziennie stan czystości obory i za byle co dostawały się ciągi szwajcarowi, a pośrednio i nam. Pobieraliśmy z magazynu, gdzie rządziła Marie brzozone mietły na kługu kiju, następnie po wywiezieniu ogromnych kup gnoju na sarniach, zamiataliśmy starannie boczne chodniki a szczególnie środkowy, który

trzeba było jeszcze posypać czystym, żółtym piaskiem. Siadaliśmy na zmianę z Bolkiem czerpiąc ręką z wiadra, niby dobrzy siewcy na wiosnę. Od tego siania ostrego piasku potworzyły mi się później bolesne opuchlizny i zadry pod paznokciami. Palce a potem dłonie puchły, wrzedziały, a przewijanie szmatkami mało pomagało. Dopiero po jakimś czasie wpadłem na pomysł wyrzucania piasku kawałkiem dykty uformowanej na kształt małej szufelki.

W późniejszym okresie, kiedy wykorzystywaliśmy krótką nieobecność szwajcara piasek sypaliśmy wprost z kupy, usytuowanej pod ścianą szufelami na chodnik, szybko rozprowadzaliśmy grabiami, a resztę wykańczaliśmy miotłami pilnując aby piasek leżał cieniutką warstwą, zgodnie z życzeniem szefa.

Na zimno nie mogłem obecnie narzekać, gdyż praca w oborze zaparowanej krowimi oparami i ogrzewanej rozkładającym się obornikiem była na tyle znośna, że było nawet gorąco, a szczególnie podczas wyrzucania gnoju. Solidny dach, sufit, dobrze zabezpieczały przed obfitymi deszczami, które zaczęły w tym czasie padać przesłaniając mżawką cały widnokrąg dookoła. Warunki pracy w oborze wkrótce się znacznie pogorszyły, kiedy w związku z gwałtowną zmianą na frontach wszyscy jeńcy angielscy zostali pewnego dnia oderwani od codziennych zajęć, ustawieni w szeregu, i popędzeni gdzieś w kierunku zachodnim pod nadzorem swojego wachmana. Do pracy w oborze musiał wówczas stanąć Tomek. Odtąd dzieliliśmy swój los razem, aż do chwili uwolnienia.

Zima była lekka. W połowie grudnia 1944 roku spadł śnieg, przykrywając białym puchem dziedzińca folwarczny, dachy budynków i okoliczne pola. Wówczas to, jak grom z jasnego nieba, uderzyła wiadomość o potężnej ofensywie wojsk hitlerowskich na zachodnim froncie w Ardenach, w pasmie rozległych wzgórz, rozciągających się na obszarze Luksemburga i Belgii.

Początkowo trudno było uwierzyć, że Niemcy w takiej chwili zdolne jeszcze będą do uruchomienia ofensywy na tak dużą skalę w przededniu zupełnego upadku i całkowitej katastrofy państwa hitlerowskiego.

Informacje ukazujące się w miejscowych gazetach były pełne zachwytu i uwielbienia dla Führera, jego generałów i marszałków. Obiecywano, że dopiero teraz dojrzał czas aby całkowicie poróżnić, pobić chociaż częściowo, zachodnich Aliantów i zmusić do ustępstw lub nawet przyjęcia warunków pokojowych, które zaproponuje Hitler.

Z dnia na dzień wiadomości były coraz bardziej krzepiące zaciekłych hitlerowców - wojska niemieckie, a szczególnie broń pancerna, parły do przodu zajmując wiele nowych miejscowości, atakując obszar w kierunku rzeki Mozy i ważnego portu Antwerpii, przez który przechodziło większość dostaw materiałów wojennych Aliantów w tym okresie.

Czytając ówczesne gazety analizowałem szczególnie załączone mapki i szkice

ce, badałem odległości poszczególnych miejscowości zajęte w czasie trwania ofensywy i... nie mogłem uwierzyć oczom! Rozmach i siła tego szalonego ataku na ~~front~~ szerokości około 150 km. były rzeczywiście imponujące!

"... Hitler uważał, że wraz ze zbliżaniem się frontów do granic Rzeszy dojdzie do wzrostu napięcia między sojusznikami zachodnimi a ZSRR. Jeszcze nigdy w historii nie było tak nienaturalnej koalicji państw o diametralnie różnych i rozbieżnych celach politycznych". Tak mówił Hitler do wyższych wojskowych na naradzie w dniu 12 grudnia 1944 roku w przededniu ofensywy w Ardenach... "Połączyli się bowiem ultrakapitałiści z ultramarksystami. Ramię w ramię idzie konające imperium - Wielka Brytania ze swoją dawną zbuntowaną kolonią - Stanami Zjednoczonymi, które przecież tylko czyhają na zajęcie w świecie stanowiska byłego suwerena/ władcy/- czyli Anglii. Ten więc, który jak pajak siedzi w środkowym punkcie swojej sieci, / czyli Niemcy hitlerowskie/, widzi wyraźnie, jak zaostrzają się z każdą chwilą sprzeczności w obozie sprzymierzonych. Jeżeli więc wymierzymy jeszcze parę potężnych ciosów, to cały ten sztuczny zlepek /czyli Wielka Koalicja - USA, Anglia i ZSRR / pęknie jak balon, i to z wielkim hukiem"... "Rosja próbuje opanować Bałkany, cieśniny Dardaneelskie, Iran, Afganistan i Zatokę Perską; Anglia usiłuje utrzymać swoje posiadłości i umocnić się w basenie śródziemnomorskim"... O przebiegu każdej wojny decyduje w końcu to, że jedna lub druga strona przyznaje, iż nie może jej wygrać. Musimy utwierdzić nieprzyjaciela w przekonaniu, że choćby ze skóry wyłaził, nawet przez jeden moment nie może liczyć na naszą kapitulację. Nigdy! Nigdy! "...

W dniu 16 grudnia 1944 roku natarcie ruszyło. Nareszcie Hitler doczekał się satysfakcji, że zaskoczył całkowicie swych przeciwników : -

- w pierwszych kilku dniach natarcia niemiecka armia rzeczywiście błyskawicznie parła naprzód, a radio niemieckie i prasa rozdmuchały odnieszone sukcesy do rozmiarów jednego z największych zwycięstw w tej wojnie!

Ale cel Hitlera w tej ofensywie rozpaczy, największy port w Europie, Antwerpia, nawet na jeden moment nie znalazł się w zasięgu militarnych możliwości III Rzeszy w tym okresie. Przeciwnie: ledwie Alianci odzyskali nieco oddechu, Niemcy znów musieli przejść do obrony i zaciekle walczyć o utrzymanie zdobytych pozycji!

Na Boże Narodzenie, czyli 8-10 dni trwania ofensywy, stało się już jasne, że jeżeli chcą uniknąć ciężkich strat, muszą przerwać walkę i wycofać się na poprzednie pozycje, t.j. nad rzekę Ren. Druga próba ofensywy w kierunku na ~~Strasbourg~~ ^{STRASBURG} w środkowym odcinku, a potem południowym odcinku frontu utknęła również przed celem. Wszystkie ponawiane ataki były likwidowane. W efekcie Hitler zmuszony był zgodzić się na wycofanie pancernych dywizji z Ardenów. Było to ciche przyznanie się do niepowodzenia w realizacji zamierzonych planów zwycięskiego zakończenia wojny w 1944 roku!

Hitler twierdził wprawdzie, że jego armie w tej ofensywie zadały Aliantom zachodnim ciężkie straty, ale dane liczbowe tego nie potwierdziły. 1. i 3. armie amerykańskie, na które przede wszystkim zwałik się cały wściekły impet ostatniej potężnej ofensywy niemieckiej w 1944 roku, a które walczyły w Ardenach, straciły około 8.400 zabitych i 69.000 rannych lub zaginionych żołnierzy. Natomiast straty Niemców wyniosły około 120.000 ludzi oraz ponad 600 czołgów i dział szturmowych a także ponad 1.600 samolotów w których liczbie znajdowały się także samoloty odrzutowe, użyte pierwszy raz na skalę masową przeciwko Aliantom zachodnim.

Ale podczas gdy Amerykanie łatwo i szybko uzupełniali swoje straty, Niemcy w tym czasie uzupełnić ich nie mogli. Konsekwencje niefortunnego hazardowania się Hitlera na zachód oraz polityka "niecofania się na krok" na żadnym innym froncie nie kazały na siebie długo czekać. Dywizje i sprzęt wojenny, tak pracowicie zgromadzone w końcowych miesiącach 1944 roku, zostały zmarnowane, i nie wzmocniły obrony najgroźniejszego dla Niemiec frontu na wschodzie, rozciągającego się w tym czasie od Bałtyku do Karpat, a nowych rezerw już nie było. Kiedy 12 stycznia 1945 roku wojska radzieckie ruszyły do olbrzymiej ofensywy, pod koniec tego miesiąca marszałek Żukow był już o niecałe 160 km od stolicy Niemiec - Berlina, a berliński Volkssturm / pospolite ruszenie / Gebbels wysyłał na obronę linii Odry.

Któregoś zimowego dnia, zdaje się tuż po świętach Bożego Narodzenia, odpoczywając po rannej pracy na swoim barłogu na strychu zauważyłem czarną karetę zaprzęzoną w parę koni, ze stangretem spatulonym w kożuch, z nasuniętą na głowę barankową czapą, wyjeżdżającą z podwórza folwarcznego tuż przed pałacem i kierującą się na drogę do Straszyna. Ciężkie tłumoki i bagaże przytroczone z tyłu powozu, jako żywo przypominały obraz podróżnych ze średniowiecza, gdzieś może z początku lub połowy siedemnastego czy osiemnastego wieku.

Wrażenie to było tak sugestywne, że na chwilę zapomniałem gdzie się znajduję i w jakich warunkach pędzę swój nędzny żywot, leżąc na prymitywnym łożu pod skośnym sufitem na strychu. Za chwilę ruszył khusem na swoim wierzchowcu za karętą sam szef, asystując widocznie bardzo ważnym osobom znajdującym się wewnątrz krytego pojazdu. Zaintrygowany tym niecodziennym widokiem postanowiłem tę rzecz zbadać przy najbliższej okazji.

Najlepszym informatorem okazał się nie kto inny a... sam szwajcar, który mieszkając w domku tuż obok rodziny stangreta, utrzymywali między sobą zażyłe stosunki. Okazało się, że ze względu na zbliżający się rosyjski front, który lada dzień miał ruszyć na zachód, wywiózł szef swoją rodzinę, składającą się z żony i jedynego syna w wieku około kilkunastu lat, w asyście pokojówki, w bezpieczniejsze miejsce, prawdopodobnie do centralnych Niemiec, gdzie zamieszkiwała ich rodzina czy krewni. Wydarzenie to

dało mi wiele do myślenia. Wkrótce też i inne wydarzenia i symptomy dały znać, że i tutaj rozpoczyna się powolny rozkład ustalonego porządku rzeczy związany ściśle z działaniami wojennymi na wschodnim froncie odległym w prostej linii około trzystu kilometrów od Arciszewa pod Pruszczem Gdańskim. Postępująca anarchia prac folwarcznych, zapoczątkowana nagłym wyprawieniem w nieznanym kierunku kilkunastu Anglików zatrudnionych na przeróżnych stanowiskach w gospodarstwie wymagającym wielu specjalistów, powoli zaczęła deskwierać wszystkim.

Dziewczęta mieszkające wspólnie na strychu, równie pilnie i uważnie śledziły zmiany zachodzące wokół nas. Wieczorami narzekały na zimno, brak odpowiedniego ubrania, podłe żarcie, którego zawsze było mało, a także mocno tęskniły za ojczystymi stronami, przeklinając los, który rzucił je na obczyznę. Przysłuchiwałam się często tym utyskiwaniom, bólowi i wyrażanym obecnie częściej niż zwykle, dosadnym odczuciom swej niedoli w rodzimych językach. Celowały w tym szczególnie trójka Ukrainek z Bystrzycy nad Słuczą, a także Oksana z Żytomierszczyzny, która wyraźnie posmutniała i przygasła z chwilą wymaszerowania w nieznanym kierunku jej Anglika.

Simą widywałam często przed oborą jak zrzucała z przyczepy liście buraczane przeznaczone dla stada krów. Właziłam wówczas na wóz i pomagając w tej robocie wysłuchiwałam jej opowiadań o ojcu, który przed wyjazdem reszty rodziny pisywał z wojska długie listy. Był majorem Czerwonej Armii. Obiecywała sobie, że niedługo powinni się spotkać i połączyć z rodziną po skończonej, zwycięskiej wojnie. Leningrad i wszystkie miejscowości, które znała oraz gdzie się urodziła były już wolne i dusza rwała się na "rodinu". W czasie tych krótkich opowiadań często obcierała ukradkiem chustką, którą zawsze nosiła na głowie, lży napierające jej do oczu.

Była o tyle w lepszej sytuacji, że była razem z matką i siostrami na miejscu, a jej współplemieńcy służący w armii radzieckiej szykowali się do potężnej ofensywy, która miała nam przynieść wolność, a ja natomiast przez dłuższy czas nie miałam już nawet żadnej wiadomości gdzie znajdują się moi rodzice i reszta rodzeństwa rozrzuconego po Europie.

Ignęliśmy do siebie z dnia na dzień coraz bardziej, wykorzystując każdy moment do zwierzeń i niekończących się odkrywczych rozmów. Była nadzwyczaj bystra i inteligentna, a rozmowy prowadziłyśmy wyłącznie po polsku. Język ten opanowała doskonale. Niektóre zwroty, co do których nie miała pewności czy dobrze używa, powtarzała często po kilka razy w czasie rozmowy ze mną. Bardzo mi przypadła do gustu rola specjalisty do nauki polskiego. Wymawiałam wyrazy powoli i dokładnie a Sima wpatrywała się bystro swymi brązowymi oczami w moje oczy i usta, z uwagą chwytając poprawną wymowę. Po kobiecemu przechylała w tym momencie głowę, poprawiając niby chustkę na głowie i przedkładała spojrzenia w moją stronę. Te powłóczyście

spojrzenia: pamiętam do dziś. Dlatego też zwalanie liści z przyczepy, kiedy była wówczas obecna Sima, przedkładał, jak tylko mogliśmy, pilnie zważając aby szef nas nie zaskoczył na zbyt długich konwersacjach językowych z widkami w rękach!

Święta Bożego Narodzenia przeszły smutne i ciche. Otrzymaliśmy jakieś małe znaczące zwiększone racje żywnościowe, które szybko każdy zjadł na swoich barłogach. Zaśpiewaliśmy kilka kolęd, przy czym usiłowałem przyszywać na prymitywnych skrzypcach, które udało mi się jakoś cało dowieźć do celu podróży. Przyznam się, że poprzednio spędzone, pierwsze święta Bożego Narodzenia były nieco bardziej uroczyste, pełne świeżych wspomnień oraz zasilone paczkami i kartkami świątecznymi wydawały się nawet przyjemne i bardziej znośne. Obecnie nie miałem już dłuższy czas władomości, ponieważ łączność w Niemczech stale się rwała ze względu na bombardowania, i wywiezienie rodziców z Brześcia do centrum Niemiec, gdzieś w okolicy Drezna, a nawet dalej, bo w pobliżu Chemnitz, - wszystko to było bardzo przygnębiające, a do tego ta ciężka praca przy krowach doprowadzała mnie do całkowitej prawie depresji duchowej. Często przeklinałem w budzie na głos stado krów, przy których przyszło mi pracować w najlepszym okresie mego życia. Pan Rut, a szczególnie pani Rutowa często przypominali mi w takich przypadkach, że krowa to żywicielka całych, nawet najbiedniejszych rodzin, i dlatego nie powinienem narzekać w ten sposób, na te pocziwe zwierzęta, związane od wieków z człowiekiem.

Któregoś dnia, po podwiezieniu ogumionym wozem baniek z mlekiem na "asfalt", a była to dość kiepska pogoda - padał gęsty śnieg, widnokrąg był mocno zamglony - wydało mi się, że asfaltem jedzie jakaś ogromna karawana cygańskich bud zaprzężonych w konie, posuwająca się powoli, krok za krokiem w kierunku Straszyna od strony Starogardu Gdańskiego!

Ciężko okute wozy huczały po gładkim asfalcie niczym czołgi o napędzie konnym, obciążone do granic możliwości przeróżnymi kuchennymi rupieciami, wiadrami, beczkami, worami i ogromnymi tobołami, a wszystko to opięte płóciennymi białymi daszkami, rozpostartymi na drewnianych pałkach. Wewnątrz siedzieli ludzie i małe dzieci. Byli to Niemcy!

Stałem przy asfalcie patrząc na to niezwykle widowisko, i... nie rozumiałem! Przypomniał mi się w tym momencie jakiś film kowbojski, oglądany gdzieś w jakimś kinie, kiedy amerykańscy osadnicy, w towarzystwie uzbrojonych po zęby kowbojów i myśliwych, jechali takimi taberami na podbój "Dzikiego Zachodu", wioząc ze sobą wszelkiego rodzaju niezbędne przybory i narzędzia do urządzenia się na nowym miejscu. Było to coś podobnego, jakby żywcem wyjęte z tego filmu!

To widocznie dzisiejsi "zdobywcy Dzikiego Wschodu" w ten sposób wracali z utraconych na zawsze ziem na wschodzie - z Polski, Prus Wschodnich,

Poznańskiego, Pomorza, Ostlandu. Później okazało się, że była to tylko pierwsza jaskółka i sygnał tego, co za parę tygodni, po ruszeniu styczniowej ofensywy radzieckiej, będzie się dziać na drogach prowadzących do Gdańska i obszaru przylegającego do wybrzeża Bałtyku, odciętego przez armie sowieckie od reszty kraju, czyli od centrum Niemiec.

Nadszedł miesiąc styczeń 1945 roku. Do folwarku zaczęły napływać niepokojące Niemców wiadomości o szykującej się klęsce ofensywy wojsk hitlerowskich w Ardenach, na zachodnim froncie. Zapowiadana z wielkim rozgłosem i szumem, kurczyła się coraz bardziej, wypierana zdecydowanymi uderzeniami Aliantów z zajętego obszaru w grudniu, po początkowych sukcesach.

Pogoda zaczęła się psuć. Rozpoczęły się zawieje śnieżne. Zimne podmuchy wiatru najbardziej dawały mi się we znaki podczas przechodzenia z budy do ohlewni oddalonej około trzysta pięćdziesiąt metrów. Silne uderzenia wichru zwały po prostu z nóg. Nędzny przyodziewek źle chronił od zimna, musiałem więc urządzać biegi do folwarku, zmagając się z wichrem i śniegiem sypiącym prosto w oczy. Dopiero w obozie można było się trochę ogrzać przy krowich tyłkach, przestawiając banie i dźwigając je pełne mleka na wóz stojący wewnątrz na szerokim podjeździe.

Kilka baniek musiałem następnie zanieść do kuchni, do której prowadziły wysokie ceglane schodki. Była to już ranna godzina, około siódmej, kiedy na schodkach zdarzyłem się niespodziewanie z jakim mężczyzną, stojącym we drzwiach i rozpartym niedbale z rozstawionymi nogami.

Spojrzałem do góry i... mało co nie upuściłem z wrażenia baniek, dźwiganych z trudem do wnętrza. Przede mną stał jakiś "Oberst" / pułkownik / niemiecki, w ogromnej czapie z denkiem wywinętym wysoko, z hitlerowskim orłem na przedzie, mierzący mnie zimnym, bezdusznym spojrzeniem!

Kilka dni później we folwarku znalazło się już więcej takich "Oberstów", uciekających ze wschodu, gdzie pozostały ich oddziały wojskowe rozbite na podejściach do Prus Wschodnich, "Ostlandu" /obszar leżący na terenach północnych województwa Białostockiego, włączonych do Rzeszy/, oraz z Kurlandii / Estonia, Łotwa i część północna Litwy/.

Ci wojskowi /już bez przydziałów jednostek/, blakający się na zapleczach frontów, mieszkali tutaj od kilku dni w pomieszczeniach, które zostały opróżnione przez Anglików ewakuowanych na zachód. Od tego czasu miałem możliwość przyglądać się z bliska tym niezwykłemu do niedawna dowódcom hitlerowskiej armii, wkraczającej butnie do podbitych krajów na wschodzie i zachodzie Europy.

Styczniowe dni były pochmurne i ciemne. Któregoś dnia, a było to chyba gdzieś w połowie stycznia 1945 roku, stary szwajcar, co od razu rzuciło się w oczy, był jakiś niesłychanie podniecony i zdenerwowany. Kręcił się niespokojnie wśród krow, okładał jedną po drugiej stołkiem, zażywał częściej

niż zwykle tabaki, i w ogóle zdradzał jakiś wielki niepokój. Wreszcie w jakiejś chwili nie wytrzymał. Wylazł z rzędu krów ze stołkiem przytroczonym do tyłka i, wylewając mleko do konwi stojącej na środku chodnika powiedział krótko: "Ruscy przerwali front nad Wisłą i wałą na Berlin". A po chwili dodał, że ich "pansery" /czołgi/ są już pod Litzmannstadt, dojeżdżają pod Częstochowę, a inne oddziały opanowały już Warszawę, dochodzą pod ~~Wrocław~~ ~~Hohensalza~~ /Inowrocław/. Początkowo nie wiedziałem co to za miasto "Litzmannstadt". Stary udawał, że nie zna polskiego odpowiednika nazwy miasta, ale wreszcie po chwili mruknął, że to chyba musi być Łódź.

/Jeden z niemieckich generałów o nazwisku Litzmann, w kampanii wojennej przeciwko Polsce w 1939 roku został zabity w okolicach tego miasta, stąd hitlerowcy óhrzcili to wielkie polskie miasto mianem swego wojennego bohatera. Na mapach wydanych przez Niemców w tym okresie są ślady tego wydarzenia! /

Tymczasem jednakże, pierwsze sygnały zbliżającego się radzieckiego frontu, nadeszły zupełnie z innej strony niż się spodziewaliśmy. Były to, słyszalne, szczególnie w porze nocnej, bardzo dalekie wstrząsy i jakby ciche pomruki odległych o wiele kilometrów wystrzałów z ciężkich armat, których odgłos dobrze zapamiętałem jeszcze z Wołynia, w czasie zbliżania się frontu wojsk hitlerowskich atakujących od zachodu. Odgłosy te napływały z cichym nocnym powiewem ze wschodniej strony, czyli od nizinnych Żuław, z kierunku Elbląga i Malborka! Rozpoczęła się już trzecia dekada stycznia 1945 roku, czyżby Rosjanie przerwali front w Prusach Wschodnich!?

Co się wówczas działo z tej strony niziny gdańskiej w dniach wielkiej rosyjskiej ofensywy styczniowej, odpowie na to, wyszperany przeze mnie po wojnie artykuł Marka Tarczyńskiego, zamieszczony w 12 numerze magazynu historycznego z 1974 roku pt. "Mówią Wieki"; tytuł artykułu: "Elbląski rajd kapitana Gienadija Lwowicza Diaczenki".

- Wtorek 23 stycznia 1945 r. był dniem osobliwym w dziejach Elbląga. Mias-
to w tym czasie według ocen dowództwa niemieckiego znajdowało się około
50 km na północny zachód od linii frontu i uznane było za jedno z naj-
bezpieczniejszych miast tzw. Prus Wschodnich. Mimo to, doceniając rolę El-
bląga/ po niem. Elbing/, jako węzła komunikacyjnego, komisarz obrony Prus
Wschodnich Erich Koch oraz Gauleiter Gdańska Albert ~~Forster~~ ^{Forster} 22 stycznia
45 roku wydali zarządzenie przekształcenia miasta w ufortyfikowane przed-
moście. Polecono jednocześnie zaopatrzyć Elbląg w żywność na okres dwóch
miesięcy oraz wstrzymać ewakuację ludności cywilnej.

Miasto otoczone było dwiema ufortyfikowanymi pozycjami - zewnętrzną
przebiegającą 2 - 3 km od skraju miasta i główną, rozbudowaną w oparciu
o budynki przedmieść. W skład obu wchodziły żelbetonowe schrony bojowe
osłonięte systemem zapór i przeszkód przeciwczołgowych. W centrum miasta

wybudowano również szereg betonowych stanowisk ogniowych i zapór, które połączone w odpowiedni system zapewniały możliwość prowadzenia uporczywych obronnych walk ulicznych.

Administracją miasta kierował niemiecki burmistrz H. Leiser, funkcję komisarza cywilnego obrony pełnił Kreisleiter NSDAP, a blisko 15-tysięcznym niemieckim garnizonem miasta dowodził pułkownik Schoepffer.

W dniu 23 stycznia przed południem odjechał ostatni pociąg z dworca elbląskiego do Gdańska, wioząc wyewakuowanych mieszkańców; ulice miasta przepełnione były uciekinierami, którzy na własną rękę usiłowali wydostać się z miasta. Mimo zakłóceń spowodowanych masowym przepływem uchodźców, życie Elbląga toczyło się prawie normalnie. Funkcjonowały miejskie środki komunikacji, czynne były restauracje i kawiarnie, trwało bojowe szkolenie garnizonu oraz mobilizacja "Volkssturmu".

I oto niespodziewanie: około godziny 17,00 na ulicach śródmieścia pojawiło się nagle 7 radzieckich czołgów T-34. Był to batalion dowodzony przez kapitana G. Diaczenkę, wydzielony z 29 korpusu pancernego. 24 czołgistów i 25 fizylierów radzieckich wznieciło taki zamęt w 80-tysięcznym mieście, że jego wielotysięczny garnizon nie był w stanie podjąć skutecznego przeciwdziałania. Po sześciu godzinach nocnych walk, w których czołgi radzieckie ogniem z dział i karabinów maszynowych niszczyły niemieckie punkty ogniowe blokujące przejazd, taranowały kolumny samochodów, miażdżyły gąsienicami wytaczane przez Niemców na skrzyżowania działa przeciwpancerne - batalion kapitana Diaczenki wyszedł z miasta prawie nietknięty, utraciwszy tylko jeden czołg.

Żeby zrozumieć okoliczności, w jakich kapitan Diaczenko ze swoim batalionem znalazł się w centrum Elbląga na dwa tygodnie przed wyzwoleniem miasta, musimy się cofnąć o parę dni wstecz i poruszyć kilka problemów operacyjnych związanych z ofensywą styczniową Armii Radzieckiej.

W dniu 14 stycznia 1945 roku 2 Front Białoruski marszałka Konstantego Rokossowskiego rozpoczął działanie w ofensywie styczniowej Armii Radzieckiej; zgodnie z wytycznymi Kwatery Głównej Armii Radzieckiej z dnia 28 listopada 1944 r. wojska 2 Fr. Białoruskiego miały rozbić mławskie zgrupowanie sił niemieckich, 10 - 11 dnia operacji opanować rubież Myszyńiec - Wielbark - Działdowo - Bielski Płock, a następnie nacierać w kierunku Nowego Miasta i Malborka. Po przełamaniu pierwszej najbardziej rozbudowanej i najsilniej obsadzonej niemieckiej obrony, marszałek Rokossowski zdecydował się 17 stycznia 1945 r. wprowadzić do działań 5 armię pancerną gwardii generała Wasyla T. Wolskiego. Armia ta weszła do bitwy nieco na wschód od linii Przasnysz - Ciechanów z zadaniem rozwijania natarcia na Mławę i Działdowo.

29 korpus pancerny wchodzący w skład 5 armii a dowodzony przez gen.

mjr. Ksenofonta Michajłowicza Małachowa, w końcu dnia 17 stycznia 45 r. znalazł się w odległości 15 - 17 km od Mławy. Wieczorem tegoż dnia 25 brygada pancerna osiągnęła przedni skraj fortyfikacji Mławskiego Rejonu Umocnionego i tu na rozkaz dowódcy korpusu przeszła do działań osłonowych z zadaniem ubezpieczenia głównych sił korpusu, wykonujących obejście Mławy od południa i zachodu. 31 brygada pancerna, dowodzona przez ppłk. A. I. Pokołowa, maszerując na czele sił głównych korpusu, stoczyła ciężki bój o miejscowość Konopki położoną 14 km na południowy zachód od Mławy.

W walce o Konopki walczył szczególnie 1 batalion czołgów majora M. D. Tuza i 3 batalion czołgów kapitana G. L. Diaczenki. Nocą 17 stycznia 45 siły główne korpusu pancernego obeszkły Mławę od południa i zachodu i ruszyły w kierunku Działdowa. Wieczorem 18 stycznia 32 brygada pancerna uderzyła na Działdowo od południa, a 31 brygada zaatakowała miasto od wschodu. W walkach o Działdowo 1 batalion czołgów mjr. M. D. Tuza wykonał skomplikowane zadanie wyzwolenia obozu koncentracyjnego w taki sposób, by załoga SS nie zdążyła wymordować więźniów i zatrzeć śladów zbrodni. Rano 19 stycznia Działdowo było zdobyte, a pod wieczór tego dnia brygady 29 korpusu pancernego zbliżyły się do miejscowości Uzdowo.

W dniu 20 stycznia 1945 roku główne siły 2 Frontu Białoruskiego decyzją Kwatery Głównej skierowane zostały na północ, z zadaniem wyjścia na brzeg Bałtyku i odcięcia niemieckiego zgrupowania znajdującego się w ówczesnych Prusach Wschodnich, ze stolicą w Królewcu, od niemieckich zgrupowań rozwiniętych na Pomorzu. Była to dość istotna zmiana dyrektywy z dnia 28 listopada 1944 r. 5 armia pancerna gwardii miała teraz wykonać główne uderzenie w kierunku Dąbrówno - Grunwald i do wieczora 21 stycznia opanować miasta Ostródę i Iławę, a następnie rozwijać natarcie w kierunku **E l b l a g a**.

Realizując ten plan dowódca 5 armii pancerniej gen. Wolski nakazał 10 korpusowi pancernemu opanować Ostródę, a 29 korpusowi pancernemu - Iławę. Dowódca 29 korpusu pancernego gen. Małachow postanowił odciąć Iławę od połączeń z Łasinem, Prabutami i Ostródą, a następnie zdobyć okrażane miasto szturmem. 21 stycznia wieczorem Iława została istotnie okrażona, a rankiem 22 stycznia oddziały 29 korpusu pancernego rozpoczęły walkę na ulicach.

Mniej więcej w tym samym czasie gen. Małachow otrzymał od dowódcy 5 armii pancerniej gwardii dalsze zadanie, w myśl którego opanować miał do 22 stycznia miejscowość Zalewo leżącą około 30 km na północ od Iławy. W tej sytuacji gen. Małachow postanowił wycofać z walk o Iławę 31 brygadę pancerną i pchnąć ją jako oddział wydzielony korpusu, na Zalewo.

Kilkaset czołgów niby olbrzymi taran rozciągnęła obronę niemiecką zagradzającą drogę do Malborka i Elbląga. Dowódca 31 brygady pancerniej ppłk. A. J. Pokołow, oficer znany ze zdolności taktycznych zdecydował do zadań rozpoznawczych wyznaczyć 3 batalion czołgów dowodzony właśnie przez kapitana gwardii G. L. Diaczenkę, wzmocnioną grupą zwiadow-

ców pod dowództwem ppor. Bieregowoja. W pewnej odległości za batalionem Diaczenki maszerowały główne siły 31 brygady pancernej. Na ich czele znajdował się 1 batalion czołgów pod dowództwem mjr. M. D. Tuza, a na pancerzach czołgów tego batalionu jechała jako wzmocnienie kompania fizyliarów porucznika D. W. Zimierowa z batalionu zmechanizowanego Sokołowa.

Kapitan Diaczenko, maszerując w głąb ugrupowania niemieckiego, wysłał jako patrol czołowy pluton czołgów ppor. Andreja Zacharowicza Alejnikowa przydzielając mu zwiadowców pod dowództwem ppor. Bieregowoja. Alejnikow otrzymał polecenie niszczenia groźnych dla czołgów zasadzek przeciwpancernych nieprzyjaciela, ustalenia słabych odcinków w jego obronie i przenikanie w głąb niemieckich pozycji, a tym samym torowanie drogi pozostałym siłom batalionu.

W dniu 22 stycznia około godziny 15,00 pluton ppor. Alejnikowa spotkał kolumnę niemiecką liczącą 50 samochodów z piechotą i kilkudziesiąt innych pojazdów spieszących na odsiecz Iławie. Alejnikow, korzystając z zaskoczenia Niemców, otworzył ogień z dział i karabinów maszynowych, a następnie ruszył do taranowania wroga. Zniszczenia dopełniły nadjeżdżające z tyłu pozostałe czołgi i fizyliery Diaczenki.

Zbliżając się do Zalewa Diaczenko, zgodnie z zadaniem, jakie otrzymał od ppłk. A. I. Pokołowa, okrążył miasto od północy zajmując wieczorem 22 stycznia 1945 r. dogodne pozycje dla podjęcia działań w dniu następnym. Tymczasem do Zalewa zbliżały się w wieczornym zmroku pozostałe siły 31 brygady pancernej. Do miasta, w którym niczego się nie spodziewano, pierwszy wjechał batalion mjr. Tuza wraz z fizylierami por. Zimierowa. Związał się krótki lecz krwawy bój. Wkrótce Zalewo zostało opanowane. Późną nocą nadciągnęły tu siły 29 korpusu pancernego po zakończeniu walk o Iławę.

W tym samym czasie sąsiedzi 29 korpusu pancernego z prawej strony opanowali: 47 brygada samodzielna zmechanizowana - rejon Małdyty, a 10 korpus pancerny - Morąg. Rankiem 23 stycznia 45 r. czoło armii pancernej gwardii gen. Wołskiego było już gotowe do rozpoczęcia dalszych działań i wyjścia na brzeg Zalewu Wiślanego.

O godzinie 3,00 w nocy 23 stycznia gen. Wołski otrzymał następane zadanie od marszałka Rokossowskiego: "Do rana 24 stycznia 45 r. opanować rejon Elbląga, Pasłęka i Młynar. Przeciąć drogi odejścia Niemców na zachód".

W dniu 23 stycznia o godzinie 10,00 jako pierwsza do działań ruszyła 47 samodzielna brygada zmechanizowana, a około godziny 11,00 rozpoczął działanie 29 korpus pancerny gen. Małachowa. 31 brygada pancerna otrzymała zadanie obejścia m. Elbląga od wschodu i wyjścia na północ od miasta na brzeg Zalewu Wiślanego. W ten sposób gen. Małachow miał przerwać komunikację Elbląga z garnizonem Tolkmicka i osaczyć miasto od północy.

Batalion Diaczenki otrzymał zadanie: ominięcia Elbląga od strony wschodniej i wyjścia na północ od miasta w rejon miejscowości R u b n o W i e l k i e! Tam miał przejść do obrony okrężnej i oczekiwać na pozostałe siły brygady maszerujące z tyłu. Diaczenko po rozpoznaniu wskazanej mu trasy marszu stwierdził, że jest ona niedostępna dla czołgów. Podjął wówczas decyzję zbliżenia się do Elbląga i szukania możliwości obejścia miasta po okrężnych ulicach i drogach dalekich przedmieść.

Jednakże i to okazało się niemożliwe, bowiem na trasach podmiejskich wiodących ku północy zerwane były mosty. Wówczas po naradzie z oficerami kpt. Diaczenko postanowił **P r z e j ś c s i ę** do miejscowości Rubno Wielkie **p r z e z c e n t r u m E l b l ą g a !!!**

Podejmując taką decyzję Diaczenko zdawał sobie zapewne sprawę z ryzyka, jakie wiąże się z takim przedsięwzięciem. Trzeba było bowiem przedostać się ^{przez} 80-tysięczne miasto w pełni przystosowane do obrony. Miasto o starej, zwartej zabudowie, poprzecinanej labiryntem wąskich uliczek i gęstą siecią obiektów wojskowych i bunkrów, w których stacjonowały niemieckie jednostki w pełnej gotowości bojowej!

Dwa czynniki sprzyjały zdecydowanie Diaczenki: pełne zaskoczenie Niemców / zwłaszcza iż zbliżał się do miasta od strony, z której często wjeżdżały czołgi niemieckiej szkoły pancerniej stacjonującej w Elblągu; w tej sytuacji wjeżdżająca do miasta kolumna czołgów nie budziła specjalnych podejrzeń/, a także możliwość szybkiego działania właściwego wojskom pancernym, zwłaszcza, że w kolumnie nie było powolnych wozów gospodarczych i technicznych. Ponadto w jednym z czołgów znajdował się przewodnik - rosyjski chłopiec wywieziony przez Niemców na roboty, zabrany z jednej z wyzwolonych wsi w pobliżu Elbląga. Do "rajdu" przez miasto batalion został ugrupowany tak, że jego patrol czołowy tworzyły trzy czołgi dowodzone przez ppor. Alejnikowa, a siły główne składały się z czterech pozostałych czołgów!

Maszerujący w patrolu czołowym Alejnikow przed wjazdem do miasta dostrzegł obok trasy marszu kilkanaście samolotów stojących na lotnisku. Ogień z dział i karabinów maszynowych zapalił te maszyny. Czołgi, hucząc silnikami na najwyższych obrotach wjechały na ulice miasta. W okolicach południowego przedłużenia dzisiejszej ulicy Saperów patrol Alejnikowa wpadł na pierwsze zwarte pododdziały wojsk niemieckich, które zaskoczone niespodziewanym pojawieniem się czołwki wojsk radzieckich rozpierzchły się, sięjąc natychmiast panikę i zamęt. Wśród bezładnej strzelaniny krążąc po ulicach czołgi zbliżyły się do mostku na rzece. Idące przodem wozy Alejnikowa, mające osłonę fizylierów / 3 - 4 na każdym czołgu / roztrącały samochody i inne pojazdy blokujące drogę. Batalion wyszedł bez strat w rejon dzisiejszej ulicy Rycerskiej. W tym miejscu Diaczenko

ustalił dalszy kierunek marszu i chcąc bez błędzenia wyprowadzić batalion szybkim marszem na północ miasta, wyjechał swoim wozem na czoło kolumny. Jednakże moment zaskoczenia już minął i Niemcy rozpoczęli skoordynowane przeciwdziałanie. Przede wszystkim wyłączone w mieście światło, a świecące reflektorami czołgi stały się dogodnym celem dla dział przeciwpancernych. Na wysokości dzisiejszej ulicy Linki batalion trafił pod ogień tych dział. W tym też miejscu trafiony został jadący przodem czołg Diaczenki. Załoga wraz z dowódcą natychmiast przesiadła się do drugiego czołgu.

Dopiero po kilkugodzinnych walkach w labiryncie ulic czołgi Diaczenki zdołały wyjść na nadbrzeżną drogę do Tolkmicka. Około godziny 24,00 osiągnięto miejscowość Rubno Wielkie, wykonując postawione zadanie. Jednakże sytuacja batalionu była w dalszym ciągu wyjątkowo trudna. Kończyło się paliwo i amunicja. Batalion znajdował się na tyłach wojsk niemieckich i nie posiadał łączności z żadnym pododdziałem 29 korpusu pancernego. Nie miał również łączności radiowej z dowódcą brygady.

W czasie kiedy czołgi Diaczenki walczyły na ulicach miasta, do Elbląga podeszły od strony Pasłęka pozostałe oddziały 31 brygady pancernej. Trafiły one już jednak na zorganizowany opór Niemców. Mimo kilkugodzinnych nocnych walk nie udało się przekonać obrony i wdrzeć do miasta. Następnego dnia 31 brygada pancerna wycofała się z przedmieść Elbląga i obchodząc miasto od wschodu połączyła się 24 stycznia 45 r. około godziny 12,00 z batalionem Diaczenki w Rubnie Wielkim.

Walki o miasto prowadzone w skomplikowanej sytuacji operacyjnej miały charakter niezmiernie uporczywy. Ostatecznie kosztem dużych strat własnych Elbląg wyzwolony został w dniu 10 lutego 1945 roku. Na zakończenie warto wspomnieć, że jednej z ulic miasta Elbląga nadano imię Gienadija Lwowicza Diaczenki".

Końcowe dni stycznia i początki lutego 1945 roku były pełne napięcia i potężniejących pomruków basowych wystrzałów armatnich, słyszalnych szczególnie wyraźnie w godzinach nocnych, dochodzących z powiewem wiatru od strony wschodniej. Któregoś dnia, kiedy szwajcar obudziwszy nas poszedł do swych zajęć, wyszedłszy na dwór usłyszałem wyraźnie wstrząsy i bardzo dalekie huki armat od strony Starogardu Gdańskiego i Kościerzyny. Czyżby Rosjanie atakowali już i od tej strony? Wyostrzony słuch chwycił serie ciężkich wybuchów, chwile ciszy, a potem znowu powtarzające się rytmicznie wstrząsy gruntu i dobiegające odgłosy wystrzałów, doskonale słyszalne w cichym wczesnym poranku, opatulonym jeszcze ciemnościami. Była to dla mnie osobiście wtedy najpiękniejsza muzyka, zwiastująca chyba wolność i koniec znienawidzonej ciężkiej roboty do reszty ogłupiającej umysł, zniewalając wolę, odbierając sens życia. Podobne wrażenia odbierałem oglądając ~~Elbląg~~

nocne i dzienne naloty na porty w Gdańsku i Gdyni. Chwytając chciwie uszami nowe odgłosy dalekich kanonad artyleryjskich, biegłem do chlewa z nowymi nadziejami w sercu, oczekując rychłej odmiany swego losu!

Odtąd, każdego ranka odwożąc mleko na asfalt, oglądałem ogromne karawany niemieckich chłopów z rodzinami na potężnych konnych wozach sunące po asfalcie w kierunku Gdańska, krzyżujące się na drodze pod Straszynem, rozjeżdżające się po polnych drogach, szukających lepszych przejazdów w sypiącym nieustannie śniegu i mroźnym wichrze. Oszronione konie ciągnęły z wysiłkiem obciążone wozy do granic możliwości. Zwisające z boków stare wiadra i pęki garów i kotłów wydawały charakterystyczny brzękot tękających się o siebie blaszanych naczyń przy najmniejszym wstrząsie!

Był to widok, którego zapomnieć nie było można. Wszystkie drogi na widnokręgu zapchane były poruszającymi się w ślimaczym tempie niekończącymi sznurami białych bud. Wszystko to kierowało się koncentrycznie w jeden obszar - widoczny ze wzgórz koło Straszyna sterczącymi w niebo kościelnymi wieżami i dźwigami portowymi, obszar starego Gdańska, jak by tam był tylko ratunek i schronienie przed napierającymi ze wszystkich stron rosyjskimi armiami! Widać było wyraźnie, że wojska radzieckie tworzą gigantyczny kocioł wokół Zatoki Gdańskiej z Gdynią i ~~Gdańskiem~~ w centrum tego kotła!

Któregoś lutowego dnia, wśród srożącego się mrozu dochodzącego chyba w tym czasie do 20^o C w nocy, zjawilo się w budzie kilku oberwańców w pasiakach, ubranych niby w piżamy nocne, w drewnianych klumpach na nogach, z narzucnymi ~~starymi~~ kocami na głowach. Okazało się, że byli to uciekinierzy z kolumny więźniów, ciągnącej przez Straszyn na zachód. Byli to Polacy z obozu koncentracyjnego w Stuthofie nad Zalewem Wiślanym.

Zapamiętałem szczególnie jednego, w wieku około 40-45 lat, bardzo chudego, ledwie włóczącego nogami. Był to jakiś inteligent, prawdopodobnie z Warszawy. Powiedział mi nawet swoje nazwisko ale obecnie zupełnie nie pamiętam. Był to jakiś głośny działacz i publicysta młodzieżowy, którego nazwisko nawet było mi trochę znane z przedwojennych gazet!

Odstąpiłem mu swój barłóg w budzie pod strychem, przyniosłem trochę jedzenia, a później dziewczęta zorganizowały jakiś ludzki przydziewek, dałem mu stare buty ojcowskie przysłane z Brześcia. Po odpoczynku i przemocowaniu chyba dwóch nocy, wieczorem powędrował dalej na południe omijając główne szlaki!

Rozmawiałem z nim dość krótko, ale to wystarczyło aby się zorientować jakie okropności przeżył on i tysiące podobnych mu więźniów w obozie koncentracyjnym w Stuthofie. Teraz zupełnie innego wymiaru nabrały dla mnie owe częste pogróżki szefa i jego obietnice, że wyśle mnie do obozu! Zresztą przedsmak tego, co miało być w obozie poznałem chyba w tej prze-

klętej oborze, a jeszcze wcześniej pracując na polu, gdzie miałem możliwość zapoznać się z pejcem szefa i jego wrzaskami za drobne uchybienia!

Huki armat stawały się coraz bardziej słyszalne już nawet w biały dzień, kiedy odpoczywałem po pracy na swoim barłogu i grzebałem się w wypożyczonych gazetach, wyszukując potwierdzenia tego, co każdy z nas już słyszał na własne uszy! Szpalty gazet pełne były gromkich wezwań do obrony przed bolszewickim zalewem, i wciąż obiecywały, że ostateczne zwycięstwo jest w zasięgu ręki, i będzie po stronie Niemiec!

Miałem cichą nadzieję, że front i walki oddziałów obu przeciwników ominą nasz folwark i przejdą gdzieś bokiem, tak, że można będzie przesiedzieć spokojnie na miejscu, będąc tylko biernym obserwatorem następujących szybko po sobie wydarzeń. Podobnie, jak na Wołyniu, gdzie siedzieliśmy jak u Boga za piecem, i gdyby nie straszliwe banderowskie masakry, można by było tam spokojnie przeczekać całą wojenną zawieruchę! Ale jakże się myliłem!

Aby zrozumieć w jaki sposób doszło do utworzenia olbrzymiego kotła gdyńsko-gdańskiego na początku lutego 1945 roku trzeba spojrzeć na mapę i usytuowanie wojsk radzieckich i polskiej I Armii dowodzonej przez generała Stanisława Popławskiego po uruchomieniu ofensywy styczniowej!

Dla ZSRR nadrzędnym celem zakończenia z jak najlepszym skutkiem II wojny światowej było opanowanie możliwie największej obszarów położonych na zachód od dawnych granic Związku Sowieckiego w głębi Europy z Berlinem, jako stolicą państwa hitlerowskiego, aktualnie wrogię ZSRR, włącznie! Strategia ta była zresztą zgodna z naczelnym hasłem partii utworzonej przez Lenina, która zakładała stopniowe opanowywanie świata drogą podbojów militarnych, a gdzie tego nie można było uczynić w ten sposób, stosować należało wszędzie terror, prowadzący nieuchronnie do destabilizacji ustalonego porządku w innych krajach!

Naczelne Dowództwo radzieckie, usiłując w najkrótszym czasie rozbić główne siły armii niemieckiej skoncentrowane na froncie radziecko-niemieckim, postanowiło przeprowadzić w styczniu 1945 roku duże natarcie strategiczne siłami 5 Frontów na rozległym froncie od Morza Bałtyckiego do Karpat. Natarcie to miało składać się z dwóch związanych z sobą operacji - w Prusach Wschodnich i w obszarze Wisła - Odra!

Chodziło tu o maksymalne wyprzedzenie Aliantów zachodnich w tym "wysścigu" o opanowanie Europy po zarysowującym się już wyraźnie załamaniu państwa hitlerowskiego! Po klęsce ofensywy hitlerowskiej w Ardenach, Stalin obawiał się, że zachodni sprzymierzeńcy wcześniej ruszą do ofensywy na rdzenne tereny Niemiec i będą, w następstwie wcześniejszego opanowania ewentualnie całych Niemiec łącznie z Berlinem, dyktować ZSRR warunki przy podziale łupu po zakończeniu wojny! Należało więc za wszelką cenę ubiec

późniejszych potencjalnych przeciwników w tej materii. Co prawda komunistyczna historiografia stara się przedstawić to zagadnienie zupełnie w innym świetle. Chodzi tu o rozpaczliwe rzekomo starania Aliantów zachodnich o pomoc ZSRR w formie przyśpieszenia styczniowej ofensywy w celu uratowania Zachodu od nowej, zabójczej dla połączonych armii sprzymierzonych ofensywy hitlerowskiej w Ardenach, która miała odwrócić bieg wypadków na zachodnim froncie.

Późniejsze fakty jednak dowodzą, że Stalinowi chodziło jedynie o własne zyski w przyśpieszeniu styczniowej ofensywy, która według obliczeń sowieckiego sztabu miała przynieść w efekcie opanowanie kilkakrotnie ~~na~~ większego obszaru, niż to miało miejsce w planach w 1920 roku!

Rozbicia zgrupowania niemieckiego w Prusach Wschodnich i opanowania tej starej twierdzy niemieckiego militarysty zamierzano dokonać siłami 3 i 2 Frontu Białoruskiego. Pomyślnie wykonanie tego zadania zabezpieczało w pewny sposób natarcie wojsk radzieckich na kierunku Berlina. Zadanie rozbicia wojsk niemieckich w Polsce i wykonania gwałtownego natarcia na kierunku Berlina Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa radzieckiego powierzyła oddziałom 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego. Przy wykonywaniu tego zadania miały współdziałać oddziały prawego skrzydła 4 Frontu Ukraińskiego.

Równocześnie z przeprowadzeniem tych operacji planowano zakończyć likwidację okrążonego zgrupowania niemiecko-węgierskiego w Budapeszcie i przygotować uderzenie na Wiedeń siłami 2 i 3 Frontu Ukraińskiego. Zgodnie z przewodnią myślą tych operacji dokonano rozdziału sił i środków na poszczególne Fronty i kierunki natarć oraz określono zadania każdego Frontu w oczekującym go natarciu.

W okresie przygotowawczym do ofensywy styczniowej w 1945 roku dowództwo radzieckie poświęcało wiele uwagi maskowaniu operacyjnemu i pod tym względem osiągnęło wielki sukces; świadczą o tym oceny położenia na froncie radziecko-niemieckim dokonane w listopadzie - grudniu 1944 roku przez niemiecki sztab generalny oraz środki przedsięwzięte przez dowództwo Wehrmachtu!

Tworząc w tym okresie najsilniejsze zgrupowanie swych wojsk na południu, dowództwo niemieckie liczyło, że uda się jeszcze przed rozpoczęciem radzieckiego natarcia na środkowym odcinku frontu w styczniu 45 roku, rozbić lewe skrzydło Armii Radzieckiej na Węgrzech, uwolnić oddziały okrążone w Budapeszcie, odtworzyć front na Dunaju i tam się umocnić - podobnie jak w Prusach Wschodnich na północy. Dopiero po zakończeniu tej operacji przewidywało ono przerzucenie zwolnionych tam sił dla wzmocnienia wojsk działających na środkowym froncie. W początkach stycznia, czyli na kilka dni przed ofensywą styczniową, dowództwu niemieckiemu udało się

ustalić z większą dokładnością, że główne siły wojsk radzieckich koncentrują się pomiędzy Warszawą i Jaską naprzeciwko niemieckiej Grupy Armii "A". Jednak w czasie pozostałym do początku natarcia styczniowego nie było już ono w stanie czegokolwiek zmieścić w położeniu i ugrupowaniu swych wojsk, tym bardziej, że skoncentrowane na Węgrzech oddziały były już w tym czasie związane i prowadziły wytężone walki w rejonie na zachód od stolicy Węgier - Budapesztu.

Tak więc przez zręczne ukrycie intensywnych przygotowań do mającego nastąpić natarcia styczniowego, centralne zgrupowanie wojsk niemieckich, znajdujące się na kierunku działań wojsk radzieckich, w całej swej potężnej masie na Berlin, przed rozpoczęciem natarcia zostało znacznie osłabione.

Z początkiem stycznia 1945 roku 3 i 2 Front Biało-ruski rozwinęły swe siły do działań przeciwko zgrupowaniu niemieckiemu w Prusach Wschodnich. Oddziały 3 Frontu Biało-ruskiego na północy działały na odcinku od Jurborka / miasto położone na zachodniej Litwie pomiędzy Tylżą a Kownem / do Augustowa. Frontem tym dowodził generał armii Iwan Czerniachowski. Oddziały 2 Frontu Biało-ruskiego były rozwinęte w pasie od Augustowa do ujścia rzeki Narwi. Na prawym brzegu Narwi pod Różanem i Serockiem / w pobliżu Ostrołki / oddziały tego Frontu zdobyły dwa przyczółki za rzeką Narwią. 2 Frontem Biało-ruskim dowodził marszałek Konstanty Rokossowski.

3 Front Biało-ruski dowodzony przez gen. I. Czerniachowskiego miał w swym składzie 6 armii ogólnowojskowych oraz 2 korpusy pancerne; w skład 2 Frontu Biało-ruskiego marszałka K. Rokossowskiego weszły 7 armii ogólnowojskowych, armia pancerna / piąta / dowodzona przez gen. płk. W. Wolskiego, 3 korpusy pancerne, korpus zmechanizowany i korpus kawalerii.

Front gen. Czerniachowskiego, mimo mniejszych sił niż Front Rokossowskiego, miał trudniejszego przeciwnika, siedzącego za silnie ufortyfikowaną linią obronną. Prusy Wschodnie zajmowały bardzo ważne miejsce w systemie obrony III Rzeszy, stanowiły puklerz osłaniający drogi wiodące do centralnych rejonów Niemiec z północnego wschodu. W ciągu wieków Prusy Wschodnie zawsze stanowiły bazę wypadową militarystyki niemieckiej w kierunku na wschód i na północ, były ważnym miejscem krzyżowania dróg z północy na południe Europy.

Jeszcze na dawnej granicy polsko-niemieckiej Niemcy zbudowali potężne linie umocnień, po rozpoczęciu zaś wojny przekształcili całe Prusy Wschodnie w potężny system obronny o głębokości 150 - 200 km / m. i. m. na kierunku Gąbin - Królewiec było dziewięć pasów umocnień, a obszar Elk, Orzysz, Augustów i cały tzw. "Ostland" naszpikowany był betonowymi bunkrami i pocięty przeszkodami terenowymi, w okolicy Kętrzyna natomiast znajdowało się centrum sztabowe, tzw. Główna Kwatera Hitlera - "Wolfschanze" - Wilczy Szaniec /

Elementami tego systemu były jeziora i ogromne kompleksy leśne, pozycje ryglowe i duże węzły obrony, nasycone stałymi betonowymi i drewnianymi umocnieniami. Według historyków radzieckich pozycje te nie ustępowały, a często nawet w niektórych miejscach przewyższały potężne umocnienia linii Zygfryda na zachodniej granicy Niemiec nad Renem.

W Prusach Wschodnich, które stanowiły ogniwo między wojskami zamkniętymi w worku kurlandzkim / na Łotwie, pomiędzy Rygą a wybrzeżem Morza Bałtyckiego / a siłami głównymi, Niemcy zamierzali związać siły radzieckie, wykrwawić je w trudnych walkach, zatrzymać natarcie 2 Frontu Białoruskiego dowodzonego przez marszałka K. Rokossowskiego i 3 Frontu Białoruskiego dowodzonego przez gen. I. Czerniachowskiego.

W Prusach Wschodnich broniła się dowodzona przez generała niemieckiego Georga Hansa Reinhardta Grupa Armii "Środek", przemianowana na Grupę Armii "Północ". Liczyła ona 41 w pełni skompletowanych dywizji piechoty, 3 dywizje pancerne i 4 zmotoryzowane. Ogółem wschodniopruskie zgrupowanie nieprzyjaciela liczyło około 580.000 żołnierzy, 200.000 osób Volkssturmu, ponad 8.200 dział i moździerzy, około 700 czołgów i dział pancernych. Oprócz tego Niemcy posiadali 515 samolotów, które były nadzwyczaj aktywne. Negatywnym elementem w systemie tej obrony był dotkliwy niedobór materiałów pędnych.

Przed rozpoczęciem ofensywy styczniowej Sztab Generalny Wojsk Lądowych hitlerowskich armii proponował wycofanie drogą morską wojsk z Kurlandii i wzmocnienie obrony na innych odcinkach, w tym w Prusach Wschodnich. Jednakże w celach politycznych było to jednak nie do przyjęcia dla gauleitera Prus Wschodnich, Ericha Kocha, którego interwencje na konferencjach u Hitlera utrudniały planowanie obrony przez niemieckich generałów.

Ostatecznie Hitler odrzucił ten pomysł i Niemcy pozostali w Kurlandii, z tym, że niektóre dywizje zostały stamtąd później wycofane i skierowane do Prus Wschodnich oraz na Pomorze.

W przededniu natarcia wojska radzieckie liczyły ogółem 1.670.000 żołnierzy, 28.360 dział i moździerzy, w tym ponad 1.000 wyrzutni artylerii raketowej na samochodach /"Katusze"/, ponad 3.300 czołgów i dział pancernych na gąsienicach oraz około 3.000 samolotów. Wojska gen. Czerniachowskiego i Marszałka Rokossowskiego przewyższały Niemców w sile żywej 2,8 raza, w artylerii - 3,4 raza, w czołgach - 4,7 raza i lotnictwie 5,8 raza.

Początkowo natarcie 2 Frontu Białoruskiego czyniło powolne postępy. Niemcy stawili niespodziewanie gwałtowny opór, przechodzili do kontrataków, wprowadzili odwody na kierunek głównego natarcia. W drugim dniu operacji z nad Narwi i Bugu Niemcy wprowadzili do akcji silne oddziały pan-

cerne, w tym dywizję "Grossdeutschland". Natarcie rosyjskie traciło impet, na niektórych odcinkach nawet utknęło w miejscu. Niemcy ocenili, że natarcie zostało odparte, i przerzucili dywizję "Grossdeutschland" na południe, dla powstrzymania Frontu marszałka Żukowa, którego armie parły niepowstrzymanie w kierunku na Berlin.

Hitlerowcy popełnili błąd operacyjny. Decyzja ta osłabiała pozycje obronne: naprzeciw Frontu marszałka Rokossowskiego, nie uratowała sytuacji w rejonie Łodzi, a jej przybycie tam okazało się spóźnione. Rokossowski zareagował natychmiast i wprowadził do akcji korpusy pancerne. W dniu 16 stycznia 45 r. z chwilą poprawy pogody, rzucił do akcji lotnictwo. Jeszcze tego samego dnia wojska 2 Frontu Białoruskiego przełamały główny pas obrony niemieckiej, a Rokossowski wprowadził w wyłom szybkie związki pancerne, w tym 5 armię gen. Wasilija Wolskiego, która jak potężny walec zgniatała wszystko na swojej drodze.

Po przerwaniu frontu Rokossowski ruszył na Bydgoszcz, Grudziądz, Malbork, Elbląg. W następnych dniach jego wojska znajdowały się już w pościgu za cofającym się nieprzerwanie nieprzyjacielem. Zajęto Mławę, główny punkt oporu Niemców, Ciechanów, Przasnysz. Na stacji w Ciechanowie zgarnięto transport kolejowy niemieckich czołgów i dział pancernych ponad 20 jednostek.

W szóstym dniu operacji wojska 2 Frontu Białoruskiego przełamały niemiecką obronę w pasie szerokości 100 km i na głębokości 60 km, szły naprzód rozwijając natarcie w tempie ok. 12 km dziennie.

Tymczasem 21 stycznia 45 r. gdy Rokossowski zbliżał się ze swoją armią do dolnego biegu Wisły w okolicach Torunia i Grudziądza, rozkaz Kwatery Głównej zwracał jego główne siły na północ i północny wschód. Jego zadaniem miało teraz być rozwinięcie działań przeciwko zgrupowaniu nieprzyjaciela w centrum Prus Wschodnich, na kierunku stolicy Prus - Królewca.

W odniesieniu do lewego skrzydła Frontu: dyrektywa Kwatery Głównej nakazywała uchwycenie przyczółka na Wiśle pod Toruniem. Dopiero po wykonaniu tych zadań 2 Front Białoruski miał przerzucić większość swych sił na lewy brzeg Wisły i rozwijać natarcie pomiędzy Gdańskiem a Szczecinem.

Był to jednak rachunek bez gospodarza, nie uwzględniał bowiem sił niemieckich na Pomorzu. Rozkaz ten zmieniał do gruntu plany, oparte na dyrektywie Kwatery Głównej z listopada 1944 r. Teraz marszałek Rokossowski zamiast współdziałać z Żukowem i przedać na zachód, musiał iść w bok, na północ celem niesienia pomocy gen. Czerniachowskiemu w likwidacji potężnego zgrupowania wojsk hitlerowskich w Prusach Wschodnich, w pierwszej fazie przez obejście tego obszaru od zachodu.

Stosownie do rozkazu z 20 stycznia marszałek Rokossowski skierował swe główne siły na północ, w kierunku na Elbląg - Zalew Wiślany. Na kierunku zachodnim pozostawił tylko dwie armie. W związku z tym cały Front zaczął odstawać w tyle za Frontem Żukowa, który parł niepowstrzymanie na zachód przez Wielkopolskę w kierunku na Poznań i Berlin.

Tymczasem Hitler usunął generała Reinhardta z naczelnego dowództwa całego zgrupowania pruskiego, a na jego miejsce mianował generała Lothara Rendulica, poprzedniego dowódcy wojsk w Finlandii, ale dla obrony Prus Wschodnich niewiele to pomogło.

Muszę tu wspomnieć, że w kotle utworzonym na obszarze położonym wokół miasta Królewca, Elawy i Tylży przez przez oba współpracujące ze sobą dwa Fronty znajdowało się ~~bardzo~~ wiele mieszkańców Wołynia, a szczególnie z Kostopolszczyzny, którzy skierowani tam zostali w kilku transportach w końcu wiosny 1943 roku, a także później kiedy pożoga OUN i UPA wymiotła prawie zupełnie wszystkich Polaków z tych okolic. Między innymi w samym Królewcu przebywał na robotach mój kuzyn, dawny kolega szkolny Remigiusz Żarczyński, zmarły kilka lat temu w pobliżu Piły. Przeżył on wszystkie okropności straszego kotła w tym głównym mieście Prus Wschodnich.

Tymczasem trwał nadal "exodus" /wyjście, ucieczka/ mieszkańców tych obszarów zarządzony przez ogarnięte paniką hitlerowskie władze. Tłumy cywilów zablokowały wozami i końmi wszystkie drogi prowadzące na zachód. Panika doprowadziła nawet do tego, że władze wydały nawet rozkaz wysadzenia w powietrze pomnika Hindenburga, cesarskiego feldmarszałka, który przekazał swą władzę bezpośrednio Hitlerowi. Pomnik ten znajdował się na polach Tannenbergu - dzisiejszego Rychnowa w pobliżu Grunwaldu. Pod Tannenbergiem Hindenburg rozbił w 1914 roku armie carskie, które wtargnęły do Prus Wschodnich. Obecnie armie sowieckie brały odwet za straszną klęskę wojsk carskich, kiedy poległo około 40.000 żołnierzy rosyjskich w tej lesistej krainie pełnej jezior.

Armia pancerna generała W. Wolskiego w tym czasie zbliżyła się do Zalewu Wiślanego, przecięła autostradę Elbląg - Królewiec, a jej czołowe formacje czołgowe stoczyły wcześniej boje, przechodząc wspaniałym rajdem przez samo centrum Elbląga. Były to właśnie czołgi kapitana Diaczenki. Wkrótce do Tolkmicja i Zalewu Wiślanego dotarły główne siły armii, a jednocześnie rozpoczął się szturm Elbląga.

Wyjście wojsk radzieckich nad Zalew Wiślany oznaczało odcięcie całego zgrupowania niemieckiego w Prusach Wschodnich. Nie było już dróg odwrotu na zachód. Front 2 armii niemieckiej został rozcięty, 6 dywizji oraz 2 brygady dołączyły do zgrupowania wschodnio-pruskiego, pozostałe 14 dywizji piechoty z 2 armii, dywizja pancerna oraz brygady i oddziały wydzielone rozbito i odrzucono za Wisłę w pobliżu Grudziądza, Świecia, Torunia i Bydgoszczy.

W okresie 14 - 26 stycznia 1945 r. wojska 2 Frontu Białoruskiego posunęły się naprzód o 200 - 220 km, zdobyły rejon mławski, twierdzę Modlin, Mławę, Fordon i Malbork; w rękach wojsk radzieckich znalazł się Olsztyn. Droga w głąb Prus Wschodnich stała obecnie otworem.

Pomyślnie rozwijało się natarcie 3 Frontu Białoruskiego generała Czerniachowskiego, który przeszedł do pościgu, zacisnął obręcz wokół Prus Wschodnich od południa i wschodu, przypierał Niemców do morza. W sukcesie wojskom 3 Frontu Białoruskiego przyszedł 1 Front Bałtycki, który 20 stycznia 45 r. zdobył Tylżę, leżącą na północny-wschód od Królewca. Następnie ścigając wojska niemieckie wzdłuż Niemna osiągnął wybrzeże Zalewu Kurońskiego na północ od Królewca. W tej fazie walk wojska Czerniachowskiego i Rokossowskiego, po rozcięciu niemieckiej obrony, wychodziły całą szerokością Frontów: na plaże Zalewu Kurońskiego, Wiślanego i Morza Bałtyckiego.

W okresie od 27 stycznia 45 r. do 9 lutego 45 r. wojska Czerniachowskiego wyszły na przedpole Królewca; część zgrupowania nieprzyjaciela została wyparta na półwysep Sambia, u nasady którego rozciąga się Królewiec, i odcięta od pozostałych wojsk. W tym czasie więc wojska radzieckie wyszły na brzeg Bałtyku i otoczyły pierścieniem Królewiec ze wszystkich stron.

Całe zgrupowanie wschodniopruskie zostało więc odcięte od ugrupowania pomorskiego i rozbite na trzy izolowane od siebie ośrodki: półwysep Sambia, obwód obronny Królewiec i zgrupowanie odcięte na południowy zachód od Królewca, w okolicach Braniewa / po niemiecku Braunsberg/. Niemcy stracili połączenia lądowe Królewca z zapleczem, jedyną drogą zaopatrzenia obecnie było połączenie morskie Królewiec - Pilawa, ale znajdowało się ono w polu rażenia radzieckiej artylerii dalekonośnej.

Jednakże w miesiącu lutym, po ciężkich walkach o przełamanie głównych pozycji hitlerowskich, wojska radzieckie nie miały już wystarczających sił, by doprowadzić do likwidacji tych ugrupowań. Tymczasem w następujących dniach dowództwo niemieckie podjęło akcję w celu odzyskania połączeń na wszystkich kierunkach. Wykorzystując silne pancerne formacje, Niemcy uderzyli naprzód na skrzydło wojsk radzieckich, blokujących Królewiec od zachodu, i odepchnęli je od Zalewu Wiślanego. Przywracało to łączność między obwodem obronnych Królewca a znajdującą się na południowy zachód od miasta 4 armią niemiecką.

W następnej kolejności Grupa Operacyjna "Sambia" odzyskała wąski pas nad Zalewem Wiślanym i przywróciła łączność lądową między Królewcem a Pilawą. W konsekwencji zgrupowanie wschodniopruskie występowało znów jako całość. W dniu 31 stycznia 45 r. wojska Czerniachowskiego zdobyły Lidzbark Warmiński, ale dalsze natarcie zostało zatrzymane na wszystkich kierunkach. Było to wynikiem wyczerpania niezwykle trudnymi walkami, wykrywawienia na kolejnych liniach umocnień.

Także Rokossowski nie miał łatwej sytuacji. Oto dowództwo niemieckie, wykorzystując znaczne rozciągnięcie jego prawego skrzydła, zamierzało przywrócić łączność między Prusami Wschodnimi a Pomorzem. Nocą 27 stycznia 1945 r. 6 dywizji piechoty / ok. 60.000 żołnierzy/, dywizja zmotory-

zowana i jedna dywizja pancerna, łącznie około 100,000 żołnierzy, rozpoczęły gwałtowne natarcie z rejonu na południe od Fromborka i na północ od Dobrego Miasta w kierunku zachodnim. Oddziały radzieckie, które były w przodzie, poniosły ciężkie straty, a po zużyciu całej amunicji przeszły do odwrotu. Natarcie rozwijało się w szybkim tempie. Niemcy parli na Elbląg i Malbork, a od zachodu na spotkanie nacierającym wojskom wyruszyło ~~zgrupowanie~~ nieprzyjaciela z rejonu Elbląga. W dniu 30 stycznia 45 roku niemiecka grupa uderzeniowa wschodnia znajdowała się jedynie 10 km od Elbląga.

Rokossowski zareagował błyskawicznie. Skierował na zagrożone odcinki korpusy pancerne i zmechanizowane, oddziały artylerii przeciwpancernej i oddziały piechoty. Wojska przeznaczone dla odparcia niemieckiego natarcia utworzyły front ciągły od Olsztyna do Zalewu Wiślanego. Niemcy po ciężkich, krótkotrwałych walkach zostali zatrzymani i odparci. Sytuację rozstrzygnęły związki 5 armii pancernej gen. W. Wolskiego wprowadzone do akcji 30 stycznia 45 r. Zadały one Niemcom klęskę w boju spotkaniowym, odrzuciły ich z powrotem na pozycje wyjściowe. Próba przerwania blokady Prus Wschodnich zakończyła się niepowodzeniem.

Tymczasem lewe skrzydło Frontu Rokossowskiego przystąpiło do likwidacji nieprzyjaciela w rejonie Torunia. I tu popełniono poważny błąd: - nie doceniono sił przeciwnika, który miał tam około 30.000 żołnierzy, podczas gdy dowództwo atakującej radzieckiej 7o armii oceniało je jedynie na 3 - 4 tysiące żołnierzy, i stosownie do tego przewidywał wydzielić środki do walki / jedną dywizję /, natomiast reszta sił, po obejściu Torunia, forsowała Wisłę na lewy brzeg.

Niemcy odrzucili wezwania do złożenia broni, przerwali wątki pierścienia okrążenia i ruszyli w kierunku Grudziądza. Dowódca radzieckiej 7o armii był w tym wypadku bezradny, nie miał wojsk do zatrzymania Niemców, sam musiał uchodzić przed niebezpieczeństwem. W sukurs przyszedł mu generał B a t o w / późniejszy dowódca wojsk zdobywających Gdańsk /, przerzucając z powrotem przez Wisłę na wschodni brzeg dwie dywizje swej 65 armii. W wyniku zaciętych walk zgrupowanie toruńskie zostało otoczone i zlikwidowane w dniach 1 - 9 lutego 45 r. Jedynie niewielka grupa, około 3.000 żołnierzy niemieckich, wyrwała się z okrążenia i po przejściu Wisły połączyła się z siłami głównymi 2 armii niemieckiej na zachodnim brzegu, cofając się wraz z nią później w kierunku Starogardu Gdańskiego.

W dniu 9 lutego 45 r. na rozkaz Kwatery Głównej 2 Frontu Białoruski przekazał armie prawego skrzydła gen. Czerniachowskiemu / m. innymi 3 armie ogólnowojskowe i 5 armię pancerną generała W. Wolskiego / Marszałek Rokossowski natomiast został zwolniony z dalszego udziału w operacji wschodniopruskiej po wykonaniu głównego planu okrążenia Prus Wschodnich. Jego

zadaniem obecnie było przygotowanie nowego planu natarcia z linii Wisły na obszarze Grudziądza, Chełmna, Okonka, Fordonu i Bydgoszczy w kierunku na Bałtyk poprzez Gniew, Pelplin, Chojnice, Czersk, Kościerzynę, Szczecinek, Starogard Gdański. W efekcie przyniosło to likwidację wojsk hitlerowskich na Pomorzu Gdańskim /Wschodnim/ oraz w kotle gdańsko-gdańskim.

Jego lewy sąsiad, marszałek Żukow, zawracał w tym czasie ku północy w celu likwidacji nieprzyjaciela na Pomorzu Zachodnim z głównym miastem tego regionu, dużym portem przy ujściu Odry do Bałtyku - Szczecinem. Rozpoczęły się walki o opanowanie całego wybrzeża od ujścia Wisły do ujścia Odry. Operacje te rozpoczęto w drugiej połowie lutego i w marcu 1945 r.

1 Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte powołana została do życia w ZSRR w dniu 19 sierpnia 1943 roku rozkazem organizacyjnym nr. 1 dowództwa 1 Korpusu Polskiego. Utworzona została na bazie 1 pułku czołgów sformowanego jednocześnie z 1 Dywizją Piechoty. Trzon brygady stanowiły 1 i 2 pułki czołgów oraz batalion zmotoryzowanych fizylierów. 1 pułk czołgów w dniach 12 i 13 października 43 r. otrzymał chrzest bojowy w bitwie pod Lenino w pobliżu Smoleńska, uczestnicząc w przełamaniu frontu, wspierając ogniem swych dział nacierającą piechotę.

Następnie do Nowego Roku brygada szkolila się i 1 lutego 44 r. otrzymała sztandar. 2 stycznia 44 r. brygada wyruszyła na zachód i 14 stycznia 44 r. dotarła w rejon wyzwolonego Smoleńska, gdzie kontynuowała w najtrudniejszych warunkach pogodowych szkolenie bojowe. W dniu 8 kwietnia 44 r. oddziały brygady skoncentrowały się w rejonie Berdyczowa na Ukrainie. W pierwszej dekadzie maja 44 r. brygada dotarła do miejscowości Kiwerce na Wołyniu koło Łucka, stanowiących w tym czasie miejsce koncentracji 1 Armii Wojska Polskiego utworzonego w ZSRR. W dniu 23 lipca 44 r. brygada przekroczyła Bug w rejonie Luboml - Chełm i po okresie koncentracji w rejonie Lublina w nocy z 30 na 31 lipca 44 r. wykonała ubezpieczony marsz nad Wisłę. 9 sierpnia przeprawiła się przez rzekę i w dniach 9 - 16 sierpnia na przyczółku warecko - magnuszewskim stoczyła bitwę pod Studziankami z nacierającymi oddziałami dywizji pancerno-spadochronowej "Hermann Göring", 19 Dywizji Pancerniej i 1321 Brygady Grenadierów armii hitlerowskiej, niszcząc około 40 czołgów i dział pancernych wroga.

W dniach 13 - 14 września 1944 r. czołgi brygady wspierały uderzenia 1 DP na Pragę, rozbijając bunkry i likwidując punkty ogniowe przeciwnika, a następnie pod koniec października 44 r. wspierały działania dywizji przeciw niemieckiemu przyczółkowi położonemu w widłach Buga-Narwi i Wisły. Przed dalszymi bojami brygada zostaje zreorganizowana i przechodzi na system batalionowy. W operacji warszawskiej wezmą więc udział - w miejsce ~~sześciu~~ dwóch pułków - trzy bataliony czołgowe.

Dowództwo brygady objął jej dotychczasowy szef sztabu płk. Aleksander Malutin, a gen. bryg. Jan Mierzycań - dowództwo wojsk pancernych 2 AWP.

W dniu 15 stycznia 45 r. brygada sforsowała Wisłę, wyzwoliła Piaseczno i wkrótce dotarła do rejonu Włoch pod Warszawą, a pluton czołgów wziął udział w oczyszczaniu stolicy z grup Niemców. Podczas trwania wielkiej ofensywy styczniowej w 1945 roku czołgiści brygady w dniu 24. stycznia wyzwalają po gwałtownych starciach południową część Bydgoszczy, a następnego dnia oczyszczają całe miasto.

W połowie pierwszej dekady lutego 45 r. brygada toczy boje nad rzeką Gwdą w okolicy Piły. W nocy z 7 na 8 lutego 3 batalion czołgów odbija okrążony batalion radzieckiej piechoty i następnego dnia prowadzi ciężkie walki o miejscowości Wiśniewka i Gudów. 10 lutego brygada wspólnie z 2 Dywizją Piechoty WP wykonała pancerny rajd na miasteczko Mirosławiec na Pomorzu Zachodnim - płacąc za zdobycie miasta poważnymi stratami, a następnie wraz z 2 DP uderzyła na północ i wyrównała front 1 Armii. WP. 3 batalion zdobył wraz z 5 pp lotnisko w Borujsku, a 2 batalion zdobył miejscowość Nowe Laski, Żabin i Wierzchowo.

W dniu 4 marca 45 r. czołgiści zdobywają Złocieniec i Osiek Drawski, a 10 czołgów brygady wraz z fizylierami uczestniczy w grupie pościgowej zorganizowanej przez dowódcę armii, przyczyniając się do okrążenia X Korpusu SS od wschodu. Grupa wzięła ponad 700 jeńców, 32 działa, przy własnej stracie jednego czołgu.

W połowie marca 1945 roku brygada pancerna im. Bohaterów Westerplatte podporządkowana 1 armii pancernej gwardii gen. płk. M. J. Katukowa uczestniczy w rajdzie ku Zatoce Gdańskiej i 12 marca 45 r. wyzwala Wejherowo. Do 17 marca toczy ciężkie boje w rejonie miejscowości Biała Rzeka - Janowo w pobliżu Gdyni. 18 marca prowadzi rozpoznawczą walkę pod wsią Łężyce, 24 marca uderza na Mały Kack, Chwaszczyno i 26 marca rozpoczyna bój o Gdynię. Następnego dnia jej czołgi docierają do śródmieścia, 28 marca podejmują obronę w porcie. Tego samego dnia pluton czołgów 2 batalionu wraz z batalionem fizylierów uczestniczy w historycznym momencie podniesienia biało-czerwonego sztandaru nad Gdańskiem. Kompania czołgów weźmie jeszcze udział w bojach między Odrą a Łabą.

"Przepowiednia z lat po pierwszej wojnie światowej, narodzona pod Olsztynkiem / w pobliżu Grunwaldu/, głosiła, że tak długo będą istnieć Prusy, jak długo prochy Hindenburga spoczywać tu będą w mauzoleum". Podczas odwrotu wojsk armii niemieckiej prochy niemieckiego feldmarszałka zostały wywiezione do Niemiec zachodnich na pokładzie krążownika "Emden", a mauzoleum wysadzono w powietrze. Przepowiednia sprawdziła się. /Cytat z pracy Zbigniewa Flisowskiego pt. "Pomorze - reportaż z pola walki" wyd. MON, W-wa 1979 r./

Operacje w Polsce miały na celu zniszczenie sił przeciwnika i uzyskanie dogodnych sytuacji do podjęcia walk o Berlin. W końcu stycznia 1945 r. wojska radzieckie wdarły się głębokim kłosem odległości, licząc od Wisły, około 450 - 500 km i szerokości, mierząc od miejscowości Bydgoszcz - Piła - Gorzów Wielkopolski a z drugiej strony od południa, od Opola, Brzegu - Wrocławia - Zielonej Góry, około 250 - 300 km dochodząc do Odry pod Kostrzynem i Frankfurtu nad Odrą. Działania bojowe przeniosły się szybko na drugi brzeg Odry na tym obszarze, gdzie wojska radzieckie uchwyciły duży przyczółek, który po połączeniu się z drugim, utworzył pasmo o długości około 50 km i głębokości do 15 km na kierunku Berlina.

W lutym 45 r. chodziło o umocnienie głębokiego zaplecza, podciągnięcie linii zaopatrzenia pozostających w tyle za szybkimi wojskami zmotoryzowanymi, wzmocnienie armii przed dalszym forsowaniem Odry na jej górnym, środkowym i dolnym biegu i przed operacjami na kierunku berlińskim i drezdeńskim na południowym odcinku wysuniętego klina, gdzie dowodził marszałek Iwan Koniew.

Ale najważniejszym w tym okresie zadaniem było rozbicie bardzo silnego zgrupowania nieprzyjaciela, który gromadząc siły na Pomorzu, przygotowywał się do uderzenia z północy na tyły wojsk 1 Frontu Białoruskiego nad Odrą, dowodzonego w tym czasie przez marszałka Żukowa, który był zastępcą Stalina i miał decydujący głos w sprawach wojskowych w tym okresie na zachodnim froncie.

Stało się oczywiste, że bez likwidacji zagrożenia flankowego na Pomorzu Zachodnim i Wschodnim, z ośrodkami w Szczecinie, Kołobrzegu, Gdyni i Gdańsku, oraz skutecznej likwidacji okrążonego zgrupowania wojsk niemieckich wokół Królewca, nie można było myśleć o szybkim marszu na stolicę III Rzeszy, czyli na Berlin. Operacje zmierzające do zniszczenia nieprzyjaciela na całym obszarze Pomorza w lutym i marcu, a częściowo i kwietniu, prowadziły wojska 2 Frontu Białoruskiego marszałka K. Rokossowskiego oraz wojska prawego skrzydła Frontu marszałka Żukowa z udziałem 1 Armii Wojska Polskiego pod dowództwem generała Stanisława Popławskiego.

W połowie lutego na Pomorzu działała nowo utworzona Grupa Armii "Wisła" / po niemiecku "Weichsel" /, którą Hitler powierzył Himmlerowi. Tworzyły ją 2 i 11 armie, które łącznie miały 16 dywizji piechoty, 4 dywizje pancerne, 3 dywizje zmotoryzowane, 4 brygady oraz 8 samodzielnych grup bojowych. W Grupie Armii "Wisła" znajdowała się także 9 armia, która w tej fazie walk, po przetrzepaniu jej przez wojska Rokossowskiego nad Wisłą, przetransportowana została nad środkową Odrę.

Głównym zadaniem pomorskiego zgrupowania hitlerowskiego było powstrzymanie i związanie walką wojsk radzieckich i stworzenie korzystnych warunków do obrony na kierunku berlińskim, a w miarę możliwości dokonanie

skrzydłowych uderzeń na 1 Front Białoruski marszałka Żukowa, stojący niespełna 60 km od dalekich przedmieść Berlina, Możliwe także było w tym okresie zorganizowanie zbieżnego uderzenia jednocześnie z północy oraz południa, siłami wojsk niemieckich zgrupowanych na południowych obszarach Dolnego Śląska.

W dniu 8 lutego 45 r. Rokossowski otrzymał rozkaz przejścia do natarcia, opanowania ujścia Wisły, Pomorza Środkowego i Zachodniego oraz całego wybrzeża Bałtyku od ujścia Wisły do Zatoki Pomorskiej, rozciągającej się na północ od peryferii Szczecina. Do wykonania tych zadań posiadał 5 armii ogólnowojskowych, armię lotniczą, korpus zmechanizowany i trzy korpusy pancerne. Jego siła została osłabiona po oddaniu wojsk prawego skrzydła do operacji w rejonie Królewca; jedynym uzupełnieniem była 19 armia. Jej właśnie powierzono rolę głównej siły uderzeniowej Frontu Rokossowskiego.

Walki o Pomorze prowadzone były w dwóch fazach, pierwsza w okresie 10 - 20 lutego 45 r. nie osiągnęła swych celów. Wojska radzieckie posunęły się naprzód o 40 - 60 km, jednak dalsze natarcie zostało odłożone. Nieprzyjaciel trzymał się mocno, jego wola oporu i możliwości obronne nie zostały w pełni docenione. Również wojska radzieckie były ciągłymi walkami mocno osłabione i wymagały dużych uzupełnień.

Marszałek Rokossowski, na konferencji w Moskwie, zaproponował wykonanie głównego, rozszczepiającego uderzenia na swoim lewym skrzydle, zgrywając je z uderzeniem swego sąsiada, czyli marszałka Żukowa. W wyniku wyjścia obu Frontów nad morze można by rozciąć nieprzyjacielskie zgrupowanie na dwie części. Następnie 2 Front Białoruski zawracając na wschód zniszczy jego część wschodnią, sąsiad zaś - zachodnią, atakując w kierunku Szczecina.

Decyzja została wydana zgodnie z propozycją marszałka Rokossowskiego: Żukow miał ruszyć 19 lutego prawym skrzydłem, Rokossowski 24 lutego lewym skrzydłem po rozwinięciu 19 armii i 3 korpusu pancerne. Żukow miał nacierać w ogólnym kierunku na północ do Kołobrzegu a później na zachód, Rokossowski na Koszalin, zakręcając swym głównym frontem - na wschód. W walkach na prawym skrzydle 1 Frontu Białoruskiego dowodzonego przez marszałka Żukowa uczestniczyła 1 armia WP, po przełamaniu w pierwszej połowie umocnień i fortyfikacji Wału Pomorskiego.

Niemcy w dniu 16 lutego 45 r. rozpoczęli silne przeciwnatarcie, uprzędzając ofensywę Żukowa, z rejonu Starogardu Szczecińskiego. Atakując siłami pancernymi włamali się na głębokość 8 - 12 km. Było to dla Żukowa ostrzeżeniem, że nie należy lekceważyć przeciwnika zgrupowanego na północy i atakującego z boku armie rosyjskie. Należało więc przegrupować swe siły i skoncentrować je do mocnego uderzenia na północ. W operacji tej brały udział 4 armie ogólnowojskowe, 2 korpusy kawalerii oraz 2 armie

pancerne gen. Katukowa i gen. Bogdanowa. Przed rozpoczęciem natarcia Rokossowski miał przed sobą około 230.000 Niemców, 800 czołgów i dział pancernych; na kierunku Żukowa było około 200.000 Niemców, 700 czołgów i dział pancernych.

Niemcy uprzedzając radzieckie natarcie, rozpoczęli walki o dwa dni wcześniej. Rokossowski miał jednak szczęście, walki nie objęły rejonu, skąd miała ruszyć jego grupa uderzeniowa. Weszła ona z powodzeniem do akcji w dniu 24 lutego 45 r. Po pierwszym dniu szerokość odcinka przełamania wojsk Rokossowskiego wynosiła około 20 km, a głębokość 10 - 12 km. W drugim dniu weszły do walki formacje pancerne, które zwiększyły tempo natarcia i włamały się na głębokość do 40 km. Po poprawieniu się pogody do akcji wprowadzono lotnictwo na kierunku głównego uderzenia.

W dniu 28 lutego korpus kawalerii gen. Oslikowskiego - tego samego, który wcześniej zdobył Olsztyn - opanował Szczecinek, natomiast 3 korpus pancerny gen. Panfilowa kierował się ku morzu wraz z 19 armią. W dniu 5 marca zdobyto Koszalin.

Po rozcięciu frontu niemieckiego linia pomiędzy wojskami przebiegała w dniu 5 marca 45 r. od Wisły poprzez Starogard Gdański od strony południowej, na połowie drogi pomiędzy Kościerzyną a Chojnicami, na południe od Bytowa, dalej na północ od Polanowa i dochodziła do Bałtyku na zachód od Sławna. Widać z tego wyraźnie, że 2 Front Białoruski zamknął szczelnie olbrzymi kocioł od południa i zachodu, spychając w kierunku na północ i wschód wojska hitlerowskie do centrum, w którym znajdował się Gdańsk i Gdynia. Od wschodu natomiast kocioł zamykał na Nogacie 3 Front Białoruski. Armie Żukowa obecnie zaczęły kierować się na zachód, wypierając w końcu hitlerowców za Odrę i zdobywając wschodnią część Szczecina.

Od tej chwili będę szczegółowo analizować rozwój natarcia 2 Frontu Białoruskiego, dowodzonego przez marszałka Rokossowskiego:

Chcąc mieć pełny obraz wydarzeń związanych z okrążeniem ogromnego obszaru gdyńsko-gdańskiego, muszę tu podać przebieg zakończenia likwidacji drugiego kotła, leżącego na wschód od Gdańska - chodzi tu o wcześniejszą operację utworzenia zamkniętego obszaru, odciętego potężnym klinem pancernym od strony Elbląga, a rozciągającym się wokół Królewca!

Obszar ten, podobnie jak obszar gdyńsko-gdański, rozciągał się nad brzegami Morza Bałtyckiego, a dokładniej nad Zalewem Wiślanym i obejmował swym zasięgiem również półwysep Sambia i port wojenny w Pilawie!

Jeszcze przed rozpoczęciem operacji berlińskiej, w połowie kwietnia 45 r. dobiegły kresu walki na kierunku królewieckim. W pierwszych dniach kwietnia to miasto-twierdza, bronione przez ponad 130-tysięczną załogę, znalazło się znów pod ogniem artylerii i bomb. Do skruszenia tego punktu oporu dowództwo 3 Frontu Białoruskiego otrzymało dużą ilość ciężkich

dział o wielkiej i superwielkiej mocy / kaliber od 203 do 305 mm/ i o zasięgu do 34 km. Nacierające oddziały wydzielono w grupy szturmowe. Ponad 2500 samolotów bombardowało miasto.

6 kwietnia 45 r. cztery armie 3 Frontu Białoruskiego ruszyły do natarcia na kierunkach zbliżnych: od północy, południa i na zachód od miasta. Szczególnie skuteczną pomoc dla wojsk naziemnych stanowiły jednostki floty bałtyckiej i lotnictwa atakujące ze wszystkich stron.

W trzecim dniu armie nacierające z północy i południa połączyły się na zachód od Królewca, odcinając garnizon miejski od zgrupowania na półwyspie Sambia. Niemcy podjęli próbę odzyskania połączenia ale spełżyły one na niczym. W dniu 9 kwietnia ustał wszelki opór w mieście. Dowódca garnizonu generał Otto Lasch, który po 9 kwietnia nakazał złożenie broni podległym sobie wojskom w twierdzy Królewiec /"Festung Königsberg"/, został na polecenie Hitlera skazany zaocznie na śmierć, a jego rodzina poddana represjom; generał Friedrich Wilhelm Müller, dowódca 4 armii broniącej się w kotle, został pozbawiony w końcowej fazie walk dowództwa swej armii, a gauleiter Prus Wschodnich, wielkorządca Ukrainy, który urządził sobie pałac w Równym w 1943 roku, zbiegł szybkim statkiem do Danii.

W cztery dni później rozpoczął się pogrom Grupy Operacyjnej "Sambia". Nieprzyjaciel przyplerany coraz mocniej do morza, rozpoczął odwrót na rubież obronne, zawczasu przygotowane, w rejonie wojennego portu w Pilawie na Mierzeji Wiślanej. Była to ostatnia pozycja niemiecka w Prusach Wschodnich. Jej utrata przekreślała definitywnie skutki około 700-letniej ekspansji germańskiej na te ziemie. Toteż broniono jej ze szczególną zacietością i uporem tak, że padła dopiero w dniu 25 kwietnia 1945 roku.

Po wyparciu nieprzyjaciela z półwyspu Sambia w rękach niemieckich pozostała tylko Mierzeja Wiślana. Zarządzony przez marszałka Wasilewskiego desant nie zdołał z miejsca zlikwidować tych umocnionych pozycji dających schronienie reszcie rozbitych wojsk z półwyspu. Tak zakończyły się długotrwałe walki o oczyszczenie całych Prus Wschodnich. Operacja ta trwała tu 105 dni, a szczególnie wiele czasu zajęła likwidacja trzech izolowanych od siebie ośrodków oporu. Walki te mocno wykrwawiły wojska radzieckie. Np. Front 3 Białoruski stracił 22% swego składu osobowego, a Front 2 Białoruski w tym samym czasie - około 15%. Zginął również naczelny dowódca 3 Frontu, Iwan Czerniachowski w dniu 18 lutego 1945 r. w wyniku odniesionych ran w czasie inspekcji frontu.

Linia 2 Frontu Białoruskiego dowodzonego przez marszałka Konstantego Rokossowskiego na początku marca 1945 roku wyglądem swym przypominała ramię olbrzymiego kieratu obracającego się w prawym kierunku patrząc na północ. Prawe skrzydło, poczynając od Wisły w okolicach Kwidzyna, Gniewu, Pelplina i dochodząc do Tucholi stało prawie w miejscu, natomiast środek i lewe skrzydło opierające się o wybrzeże Bałtyku nabierało stop-

niowo rozpędu, z tym, że szybkość posuwania się tego Frontu zwiększała się proporcjonalnie do odległości ramienia: od prawego skrzydła, które powoli zmieniało swoje położenie w osi, kierując się na północ i północny wschód do centrum, które tworzyły porty - Gdańsk, Gdynia oraz Puck. W najszybciej poruszającym się pasmie tego ramienia marszałek Rokossowski posiadał odpowiednio rozmieszczone armie: na styku z 1 Frontem Białoruskim, w którego składzie walczyła 1 Armia WP generała S. Popławskiego, posuwały się szybko związki 2 i 3 Korpusu Kawalerii gwardyjskiej, które też posunęły się najdalej na północ i północny zachód, zajmując Szczecinek, Bobolice, Biały Bór kierując się prosto na Koszalin i później na Sławno. Z tyłu podążała za nimi 19 armia, przybyła w lutym na Front.

Na obszarze Chojnic atakowała 70 armia w ogólnym kierunku na Bytów i skręcając następnie w stronę Kościerzyny. Z prawej strony, pomiędzy Kościerzyną a Starogardem Gdańskim posuwała się powoli 49 armia poprzez olbrzymie Bory Tucholskie, natomiast dwie ostatnie armie: 65 dowodzona przez gen. Batową oraz 2 armia uderzeniowa przebijają się, łamiąc twarde opór Niemców, równoległe do siebie kierując się prosto na północ szosami poprzez Starogard Gdański i Tczew na Gdańsk.

Na początku drugiej dekady marca 45 roku, po utrwaleniu się zachodniego i wschodniego kierunku ataku wojsk radzieckich, na polecenie Kwatery Głównej wojsk radzieckich, po zgrupowaniu się w okolicach Białogardu, do Frontu marszałka Rokossowskiego dołączyła 1 Armia Pancerna gwardii generała Michaiła Katukowa, wraz z 1 Brygadą Pancerną WP. Rozpoczęły one najszybszy marsz na północnym ramieniu Frontu, przechodząc do pościgu za cofającymi się Niemcami poprzez Sławno, Skupsk, Lębork, Wejherowo w ogólnym kierunku na porty i Zatokę Gdańską. Doskonała szosa asfaltowa biegnąca równoległe do wybrzeża Bałtyku pozwalała na rozwinięcie maksymalnej szybkości 1 Armii Pancernej, w której składzie znajdowało się około 800 czołgów radzieckich oraz około 25-30 czołgów z polską załogą.

Armia ta, miażdżąc na swej drodze wszelki opór wojsk hitlerowskich, dotarła najszybciej w okolice Wejherowa / do dnia 8-10 marca 45 r. Wejherowo zostało zajęte przez 40 i 44 Brygadę Pancerną gwardii, oraz 1 Brygadę Pancerną WP. / napotykając jednakże na przepolach Gdyni na niezwykle twarde opór Niemców, opartych o fortyfikacje żelbetonowe rozlokowane na Górze Markowca pod Zagórzem.

Do końca pierwszej dekady i na początku drugiej miesiąca marca 45 roku wszystkie armie 2 Frontu Białoruskiego schodziły się koncentrycznie w kierunku Zatoki Gdańskiej, by w końcu zacisnąć pierścień blokady wokół Pucka, Gdyni, Sopotu, Gdańska i Pruszcza Gdańskiego, poprzez Żuławy łącząc linię 2 Frontu z 3 Frontem Białoruskim zarzucając olbrzymią sieć kotła na Nogacie, odnodze Wisły, od strony wschodniej.

Wskutek zbliżenia się poszczególnych armii radzieckich wzrosło gwał-

townie nasycenie Frontu środkami ogniowymi na każdy kilometr kurczącego się w szybkim tempie obszaru trzymanego przez armie hitlerowskie!

W Starogardzie Gdańskim kwaterowało dowództwo 2 armii niemieckiej, na czele której stał generaloberst/generał pułkownik/ Walther von Weiss, Jeszcze przed kilkunastoma dniami dowództwo 2 armii mieściło się w Malborku w hotelu "Loge" i stąd kierował on działaniami swoich czterech korpusów i kilkunastoma samodzielnymi brygadami i pułkami. Rokossowski jednakże, kolejnymi uderzeniami wyprowadzonymi z nad Łuku Narwi i Bugu, zdołał wyprzeć jego oddziały z długo umacnianych pozycji.

Ponieważ środek frontu na Wiśle pękł i drogi odwrotu na zachód zostały potężnymi pancernymi klinami sięgającymi Odry zamknięte, przeto oddziały 2 armii niemieckiej mogły się cofać tylko w kierunkach północnych i północno-zachodnich. 2 armia generała Weissa miała być lewym skrzydłem formującej się w szybkim tempie Grupy Armii "Wisła", na czele której miał stanąć sam Himmler, szef formacji SS.

Wojska 2 armii niemieckiej wkrótce zaczęły umacniać się w Gdańsku, Gdyni i części trzymanego przez nie obszaru Pomorza Gdańskiego. Ogółem liczebność 2 armii oraz szeregi innych jeszcze rozbitych wcześniej grup i luźnych oddziałów, oddanych pod dowództwo generała Weissa, wyniosła około 200.000 żołnierzy, wspomaganych jednocześnie przez Kriegsmarinę oraz oddziały obrony przybrzeżnej w portach. Flota wojenna Niemiec, która została zablokowana w Zatoce Gdańskiej liczyła kilkadziesiąt jednostek, w tym krążownik "Lützow", pancernik "Lützow", krążownik "Prinz Eugen", kanońka "Nienburg", niszczyciele Z-31 i Z-34. Wszystkie te jednostki brały intensywny udział w odpieraniu, z rozmachem prowadzonych ataków wojsk lądowych i lotnictwa armii radzieckiej w Zatoce Gdańskiej.

Tymczasem 6 marca padł oblężony przez wojska radzieckie Grudziądz, a zwolnione oddziały zasiliły wydatnie armie atakujące wycofującą się 2 armię niemiecką na północ z obszaru na południe od Starogardu Gdańskiego i Tczewa. W Starogardzie Gdańskim z kolei generał Weiss założył nową kwaterę dla swej armii w byłym hotelu "Vorbach". Przez przeszło trzy tygodnie, do czasu zdobycia tego miasta przez armie generała Batowa, przez Starogard Gdański płynęła olbrzymia fala uciekinierów z Prus Wschodnich.

Jak obliczano wówczas, że przez lód na Wiśle w okolicy Grudziądza oraz Chełmna przeszło około 250.000 uciekinierów, 30.000 członków organizacji Todta, ponad 40.000 żołnierzy i maruderów, przynajmniej 90.000 konnych wozów i lekkich pojazdów spalinowych, a ponad to około 180.000 koni ~~wozów~~ i bydła. Jako ciekawostkę warto przytoczyć fakt, że w Chełmnie urodził się sam szef sztabu generalnego Wehrmachtu generaloberst Heinz Guderian, specjalista broni pancernej a szczególnie czołgów!

Generał Weiss, dowódca 2 armii niemieckiej miał niesłychanie trudne zadanie bronięcia kurczącego się coraz bardziej obszaru Pomorza Gdań-

kiego. Po zagięciu skrzydła prawego swej armii miał o sto kilometrów za plecami brzeg Zatoki i dalej cofać się prosto nie było już gdzie, a na wszystkich głównych i bocznych drogach, po których miała przechodzić ta armia - oblodzonych i zaśnieżonych - tłoczyły się w szalonym, koszmarnym powolnym marszu dziesiątki, setki tysięcy konnych wozów krytych białymi plandekami, niczym białe widma poruszające się w żółwym tempie w dzień i w nocy!

Z chwilą zdobycia przez Rosjan Kołobrzegu, Koszalina i Sławna i przerwania łączności lądem z Szczecinem i zachodnimi połaciami rdzennych Niemiec, zaopatrzenie prawie dwustutysięcznej armii Weissa mogło być realizowane obecnie wyłącznie drogą morską. Ciągający się od Kurlandii łańcuch okrążonych przez armie radzieckie wojsk hitlerowskich, powiększył się więc o jeszcze jedno ogniwo - o okrążoną Zatokę Gdańską!

227 niemiecka dywizja piechoty, przerzucona z Kurlandii pod dowództwem generała Wenglera wraz z innymi wielkimi jednostkami 2 armii niemieckiej toczyła zażarte boje na początku marca 45 roku z Rosjanami w Borach Tucholskich, i po kolejnym załamaniu się frontu odeszła w walkach odwrotowych nad jezioro Wdzydze, a później pod Kościerzynę. W dniu 7 marca 45 roku, po kolejnym ataku oddziałów radzieckich na wschód od miejscowości Borsk, linia frontu odsunęła się na północne krańce masywu jezior wschodniopomorskich w okolicach Kościerzyny, a Niemcy rozpoczęli ewakuację miasteczka. Wkrótce przednie oddziały radzieckie dotarły do Kartuz, spychając przed sobą rozproszone resztki dywizji kurlandzkiej; a odgłosy tych zażartych walk w połowie marca 45 roku było już wyraźnie słychać we folwarku gdzie przebywałem. Było to w odległości niespełna 30 km!

Natomiast dywizje radzieckie wchodzące w skład armii 65, dowodzonej przez generała Pawła Batowa, bohatera walk pod Stalingradem, po kilkudniowych walkach opanowały Starogard Gdański i rozpoczęły marsz główną szosą asfaltową w kierunku na północ, dochodząc w połowie marca 45 r. pod Skarszewy, odległe około 35-40 km od Pruszcza Gdańskiego. Jednocześnie 2 armia uderzeniowa powoli posuwała się szosą z kierunku Tczewa na Gdańsk, likwidując na swej drodze twarde opór hitlerowskich oddziałów i dochodząc w tym czasie do Pszczółek. Napięcie rosło, wkrótce nadszedł niespodziewanie dla wszystkich rozkaz ewakuacji z folwarku na północ, w pobliże przedmieść Gdańska!

Zanim do tego doszło od południa zwały się do folwarku kilkadziesiąt oddziałów Wehrmachtu wraz z konnymi zaprzęgami. Wozy były wyładowane amunicją i żywnością. Pamiętam ogromne bryły sztucznego miodu owinięte w papier, worki mąki, beczki smalcu, przeróżnych kasz, zapraw, mięsa i innych produktów żywnościowych. Przy wtórze armatnich wystrzałów dochodzących z pobliskiego frontu w okolicach Skarszew, Kartuz i Tczewa, artylerzyści zaczę-

li ustawiać baterie dział na pastwisku pomiędzy naszą budą a pałacem. O ile pamiętam, działa były ustawione w dwu grupach po sześć sztuk. Jedna bateria wysunięta nieco do przodu, a druga w tyle, przesłonięta z boku parkiem. Wkrótce żołnierze w szybkim tempie okopali działa, ułożyli stosy pocisków w zagłębieniach.

Od strony południowej piechota rozpoczęła kopanie rowów łączących, okopów i schronów bojowych na polach folwarku. Szło to bardzo sprawnie i szybko. Pogoda była dobra. W połowie marca świeciło słońce i temperatury były dodatnie. Wieczorami i w nocy widać było na horyzoncie czerwone smugi wystrzałów armatnich oraz dochodziły głuche odgłosy wybuchów ciężkich pocisków artyleryjskich!

Wolne miejsca na strychu w naszej budzie zostały zajęte do ostatniego miejsca przez żołnierzy Wehrmachtu. Spali pokotem na podłodze, korytarzyku, a także w okolicznych domach oraz w stodole, stajni, zajęli domek gdzie dawniej przebywali jeńcy angielscy. W pałacu kwaterowało dowództwo odcinka przygotowującego się do obrony. Rozpoczęła się wywózka żywności, ziarna, inwentarza żywego. Wreszcie przyszła kolej na krowy!

Pamiętam jednego z żołnierzy Wehrmachtu imieniem Edmund, doskonały kucharz. Z zawodu metalowiec z Duisburga z zagłębia Ruhry w Westfalii, widzę go jak fachowo miesił ciasto z białej jak śnieg mąki pszennej a potem ciął błyskawicznie ogromne rozwałkowane ciasto na makaron dla swojej kompanii. W ciągu kilku dni pobytu zaprzyjaźnił się z nami, a szczególnie z Lidia usiłując z nią rozmawiać po ukraińsku, wtrącając całe zdania niezdarne sklecone po rosyjsku. Przebył całą kampanię w Rosji od 1942 roku, a potem wraz z 2 armią niemiecką wycofywał się z kierunku Prus Wschodnich. Wkrótce zniknął mi z oczu wraz ze swoją kompanią, która przeszła na nowe miejsce obrony, bliżej Gdańska.

Linia frontu po kilku dniach zbliżyła się niebezpiecznie do kilku sąsiednich wsi od strony południowej. Dowództwo wojskowe zarządziło całkowitą ewakuację folwarku, który miał być broniony. Gotowa linia okopów przekraczała w kilku miejscach asfalt dochodząc od zachodu do folwarcznego lasu. Na asfalcie pod Straszynem, gdzie szosa zakręcała w wykopie w pobliżu przejazdu kolejowego saperzy założyli kilka min, maskując szerokie otwory drewnianymi wkładami i ziemią. Cały tor kolejowy prowadzący z Kartuz do Pruszcza Gdańskiego, został zablokowany długimi zestawami pustych wagonów towarowych sprzęgniętych ze sobą na całej długości z pozostawionym wąskim przejazdem na szosie. Któregoś dnia został zupełnie wyłączony prąd elektryczny. Krowy dojono odtąd ręcznie, ale trwało to bardzo krótko. Zostałem odkomenderowany przez szefa do wywozu różnych rzeczy, a przede wszystkim worków ze zbożem, mąki, zapasów żywności, jakies narzędzia: łopaty, szufle, kiloły, deski. Wszystko to wo-

ziliśmy razem z Edmundem Detlawem pod Gdańsk, do majątku Maćkowo/ po niemiecku Matzkau/. We folwarku zapanował straszliwy rozgardiasz i zamęt. Wszyscy Niemcy zamieszkali przy folwarku gdzieś poznikali. Stary szwajcar musiał jeszcze pozostać aby na polecenie szefa i dowództwa wojskowego zająć się przepędzeniem wszystkich krów dojnych i cielaków z obory na asfalt a potem w kierunku Gdańska.

Niemcy utworzyli tzw. "Viehkommando" - wydzielony oddział żołnierzy z feldfeblem na czele oraz kilkoma "ostarbeitrami" do poganiania ogromnego stada bydła po szosie. Każdy poganiacz zaopatrzył się w kije i jego zadaniem odtąd było pilnowanie swojego odcinka przy stadzie ryczącego wciąż i rozbiegającego się po polach wzdłuż asfaltu nieszczęśliwego bydła.

Byłem więc odtąd zwerbowany do poganiania ogromnego stada krów wraz z Tomkiem, Simą, Olgą, Lidią, Marusią, Oksaną i Ukrainkami z Bystrzycy. Zaopatrzyliśmy się w jakieś torby z żywnością, na siebie włożyłem zielony kubrak po starszym bracie, na nogach drewniane klumpy, w ręce tęga pała i... w drogę na asfalt do Gdańska.

W ciągu jednego dnia zdążyliśmy dotrzeć z tabunem krów i cielaków jedynie za osiedla Borkowo w pobliżu Maćkowa. Tu feldfebel zdecydował zapędzić stado do ogromnej pustej stodoły stojącej tuż przy asfalcie. Tymczasem salwy artyleryjskie poczęły potężnieć z każdą godziną od strony wsi Zalewo / po niemiecku Saalau/ leżącej przy szosie prowadzącej od Starogardu Gdańskiego i Skarszewa. Ponownie musiałem zgłosić się do zaprzęgu konnego kierowanego przez Edmunda Detlawa z poleceniem wyjazdu po jakieś pozostawione jeszcze we folwarku rzeczy. Platformę ciągnęły lekkie konie, ciągnące zazwyczaj wozy w pierwszej czwórcie, a były dość płochliwe. Po każdej salwie armatniej podrygiwały i kopały zadnimi kopytami po orczykach. Edmund z trudem utrzymywał je w posłuszeństwie targając zaciekłe lejcami i smagając je od czasu do czasu po okrągłych, dobrze wypasionych zadkach.

Przejeżdżaliśmy przez Straszyn, rozciągnięty w dolinie Raduni. Wysoki brzeg od strony Gdańska upstrzony był poruszającymi się szybko postaciami żołnierzy niemieckich kopiących okopy i schrony. W samym centrum wsi, a było to już przed wieczorem, stało kilka kompanii wojska w pełnym rynsztunku, w bojowych hełmach zapiętych pod brogą z wiązkami granatów przy pasach i automatami w rękach. Widocznie szykowali się do zajęcia przygotowywanych przez innych żołnierzy okopów i schronów bojowych. Miała tu być najpewniej nowa linia oporu.

Przypomniałem sobie, że pozostawiłem na strychu w budzie swoje zapiski, kilka książek, szkice sytuacyjne linii frontowych i jeszcze jakieś drobiazgi osobiste. Chciałem je zabrać ze sobą. Niestety, okazało się, że Wujenka opuszczając budę wraz z innymi, gruntownie "oczyściła" wszystkie "rupiecie", rzucając to wszystko razem do ognia. Ogień strawił więc cały mój dwuletni

dorobek pamiętnikarski wraz z "Rocznikami Wołyńskimi", które były dla mnie niby dobry przyjaciel, z którym mogłem cały czas rozmawiać w milczeniu o sprawach dotyczących przeróżnych problemów Wołynia. Strata była niepowetowana! Długo nie mogłem tego przeboleć!

Późnym wieczorem wróciliśmy do Maćkowa, lokując się na noc w jakiejś ogromnej stajni, pełnej uciekinierów z Arciszewa. Była tu cała rodzina Rutów: P. Rut, p. Rutowa, Wujenka, Augustyna ze Zdzisławą, Zbyszkim i Tolkiem. Łostiukowie, cała rodzina Rosjanek z pod Leningradu: matka, Sima, Olga oraz kilka jeszcze innych rodzin polskich ewakuowanych z folwarku. Starego szwajcara już więcej nie widziałem!

Armatnie salwy dochodzące z kierunku zachodniego i północno-zachodniego były tu znacznie wyraźniejsze. Zlewać się one zaczęły powoli w jeden przeciągły grzmot o różnym natężeniu, dolatujący z lekkim wiatrem szczególnie od strony Gdyni i Sopotu. Widocznie wrzała tam już zacięta bitwa spotkaniowa ciężkich czołgów i dział pancernych. Od czasu do czasu od strony Zatoki Gdańskiej dochodził przeciągły grzmot potężnych salw artylerii okrętowej. Widocznie do walk, wzmagających się i przybliżających od strony Wejherowa, Gdyni i Sopotu włączały się okręty Kriegsmarine /floty wojennej/ krążące po Zatoce. Zapadała pierwsza noc spędzona w Maćkowie na peryferiach Gdańska, tuż obok przedmieścia Orunia. Była to noc pełna grzmotów armat i wybuchów bomb lotniczych wraz z towarzyszącymi im seryjnymi wybuchami min ciężkich moździerzy!

Następnego dnia rano musieliśmy znowu jechać z Edmundem do Arciszewa. W okolicy Borkowa, po jego wschodniej stronie wznosiła się dość wysokie wzgórze, zupełnie łyse. Obecnie szczyt był ogrodzony jakimś wysokim, szczelnym płotem z desek. Zwróciłem na to mimo woli uwagę, ponieważ na tle czystego nieba szczyt ten wyglądał dość podejrzanie, a nawet groźnie. W niektórych miejscach płot był przerwany, a z ciemnych czeluści wyglądały jakieś podłużne rury, jakby armatnie otwory potężnych rozmiarów. Kiedy wracaliśmy, Edmund okładał co siłą w rękę białym spienionym konie, rwące galopem po asfalcie a wokół rozrywały się już pociski. Ciche dotychczas wzgórze, okolone płotem ożyło. Co kilkadziesiąt sekund wzgórze okrywało się czarnym dymem, a pocisk za pociskiem z trzaskającym hukiem prukł ponad widnym w dole Straszynem rozrywając się stożkowatym pióropuszem na polach Arciszewa pod które podchodziły już czołwki pancerne wojsk sowieckich 65 armii generała P. Batowa!

Mieliśmy obaj z Edmundem jednak dużo szczęścia w tym wyścigu za śmiercią po asfalcie wiodącym przez Borkowo do Maćkowa! Konie okładane białym spienionym konie galopowały w zaprzęgu, a orczyki biły po nogach z łomotem i brzękiem żelaznych łańcuchów. Pociski armatnie, wystrzelowane ~~z~~ widocznie ze wzgórz położonych na południe od Straszyna, padały wzdłuż szosy raz z lewej, raz z prawej strony drogi, wykwitając czarnymi pióropuszami

i fontannami wyrzucanej w górę ziemi. Kilka pocisków uderzyło z przodu kilkanaście metrów przed końmi, inne grzmotnęły w miejsce, gdzie przed chwilą przejechała platforma ciągnięta przez oszalałe ze strachu konie. Rozprysnięty asfalt, drobne kamienie i odłamki pocisku bębniły wówczas po tylnej klapie, dzwoniły po kutykach osiach, gwizdały tuż koło naszych głów i pleców.

Po kilkunastu minutach pociski zaczęły iść nieco wyżej, przenosząc się łukiem ponad nami i spadać dalej po prawej stronie, bliżej wzgórza, gdzie odezwały się baterie niemieckich dział ukryte za drewnianymi przepierzeniami. Wkrótce wzgórze zostało pokryte celnymi trafieniami, a drewniane deski i kołki zaczęły fruwać do góry i, koziołkując długo, rozbite drzazgi powoli spadały na ziemię, niczym pióra ranionego ptaka.

Tymczasem w samotnie stojącej przy szosie stodole, gdzie zapędziliśmy stado, zaczęły się dziać dantejskie sceny. Biedne, zmalretowane w najwyższym stopniu, przerażone wybuchami pocisków krowy usiłowały wydostać się z więzienia i tłukły rogami w ściany. W kilku miejscach powybijały w deskach otwory wysadzając na zewnątrz rogate łby i rycząc ze strachu oraz strasznej ciasnoty, usiłowały wyskakiwać jedna przez drugą poprzez wytłuczone dziury. Pociski zaczęły obramowywać wkrótce ze wszystkich stron asfalt i stojącą obok stodołę napchaną nieszczęśliwymi krowami. Kilka pocisków lupnęło z trzaskiem tuż obok ściany południowej wywalając poszarpane otwory. Natychmiast pojawiły się w nich kilka rogatych łbów z oślinionymi pyskami. Co młodsze i zwinniejsze cielaki dały susa przez wybite otwory i ruszyły galopem w pole.

Dojechawszy na dziedziniec folwarku w Maćkowie porzuciłem natychmiast platformę szukając schronienia przed zbliżającymi się gwałtownie od południa seriami wybuchów pocisków. Wpadłem do stajni, gdzie przebywali ludzie z Arciszewa. Grube mury budynku dawały jako taką gwarancję uchronienia przed pociskami. Skuliłem się tuż pod ścianą, nogi odmówiły mi posłuszeństwa, ręce nerwowo podrygiwały, z szybkiego biegu nie mogłem złapać tchu. Tuż obok zauważyłem leżącą na rozścielonej derce Simę. Była blada i równie jak ja, przerażona wzmagającym się ostrzałem artylerii ryjskim od strony Straszyna. Z drugiej strony siedziała jej matka z Olgą.

Każdy wolny kąt w stajni zajęty był przez grupy ludzi: zauważyłem rodzinę p. Rutów z dziećmi i Wujenką, obok Łostiukowie z Bolkiem, załóżmy skupiły się Ukrainki z Bystrzycy, dalej Oksana z Marusią i Lidią. Dziwnym trafem jakoś nie brakowało nikogo z mieszkańców budy z Arciszewa. Każdy z nich siedział cicho na swoich barłogach w stajni oczekując biernie na rozwój wypadków, Zbliżała się powoli noc. W mijającym dniu wygrałem jeszcze wyścig ze śmiercią, a co przyniesie jutro?

W nocy nie było również spokoju. Do akcji włączyły się samoloty zwia-

dowcze, zwane "kukuruźniki". Prostej konstrukcji dwupłatowce radzieckiej produkcji, z charakterystycznym zacichającym terkotem odtąd będą noc w noc latały nad Gdańskiem i przyległym obszarem, zamkniętym w szczelnym kotle, nie dając spokoju cywilnej ludności i żołnierzom niemieckim.

W pewnym momencie lotnicy wyłączali silnik, szybując jakiś czas w zupełnej ciszy, aby za chwilę włączyć go znowu o kilometr dalej nad innym obiektem czy wsią, zrzucając przy tym małego kalibru bomby, rozrywające się z trzaskiem i łomotem w przypadkowym zupełnie miejscu, siejąc terror i nie dając ludziom spokoju w nocy. Bombki tego kalibru zrzucały w nocy z małej wysokości rzadko kiedy trafiały dokładnie w cel, ale loty takie były niesłychanie denerwujące, utrzymując wszystkich w nieustannym napięciu i bezsenności, wyczerpując krańcowo ludzi i osłabiając ich morale.

Późną nocą przerwany został ostrzał artyleryjski od strony południowej, natomiast od zachodu i północnego zachodu kipiła w dalszym ciągu nieustanna strzelanina ale już nieco głośniejsza. Wyostrzony słuch chwycił już nawet ciche serie ciężkich karabinów maszynowych i coraz radsze grzmoty serii wystrzałów ciężkiej artylerii sowieckiej i odpowiadające im, dochodzące jakgdyby z dna głębokiej olbrzymiej beczki, huki salw artylerii okrętowej, nadchodzące od strony Zatoki. Każdej takiej serii dudniących salw okrętowych po kilkunastu sekundach ~~docho~~^{docho}odziły od strony lądu w zachodnio-północnej stronie wybuchy pocisków, kierowane widocznie na ześrodkowanie wojsk radzieckich w pobliżu Gdyni i Sopotu.

Kilka dni wstecz, koczując na polach pod Straszynem wraz ze stadem krów, a było to ~~pięć~~ w pierwszym dniu tworzenia się "Viehkammando" - oddziału zajmującego się pędzeniem bydła pod dowództwem odkomenderowanego do tych spraw feldfebla - obserwowałem przejazd kolumny czołgów hitlerowskich asfaltówką przez Straszyn w kierunku Gdańska. Było ich chyba sześć. Motory grzmiały na pełnych obrotach a szybkość była imponująca. Lufy były skierowane w przeciwnym kierunku jazdy, na południe, skąd dochodziły huk armat i nawet szybki terkot ciężkich karabinów maszynowych. Kolumna ta widocznie przesuwała się w szybkim tempie na nowe stanowiska obronne na przedmieściach Gdańska. Jednakże tu w Maćkowie kolumny tej nie zauważyłem. Tylko skoliczne pola mrowiły się od żołnierzy piechoty, gorączkowo grzebiących w ziemi. Budowali widocznie linie okopów wokół folwarku w Maćkowie od południa i południowego zachodu, skąd nacierały oddziały radzieckie. Posiadały one zdecydowaną przewagę w artylerii i lotnictwie, co wkrótce doświadczyliśmy wszyscy na własnej skórze.

Wczesnym rankiem następnego dnia ostrzał artyleryjski spotężniał. Na domiar złego akcję rozpoczęło lotnictwo myśliwskie. Tu w Maćkowie okazało się, że wybrana grupa do pędzenia bydła, przeszła całowicie pod rozkazy "feldfebla". Był to szczupły, młody człowiek i, jak okazało się

później, o charakterze bardzo spokojnym i zrównoważonym. Zdążyłem nawet przed dalszą podróżą w stronę Gdańska, wypytać go o docelową miejscowość naszego marszu z bydłem. Wymienił nawet nazwę, którą mocno utkwili mi w pamięci. Początkowo nawet nie wierzyłem uszom: powiedział wyraźnie że ma być to Kraków?! Czyżbym się przesłyszał? Mamy z tym bydłem wędrować aż do Krakowa przez całą Polskę na południe?! Ale w jaki sposób, skoro od południa słyhać rozrywające się pociski artyleryjskie, skąd atakują Rosjanie. Po kilku minutach drżenie serca ustało. Uświadomiłem sobie, że tu chodzi pewnie zupełnie o inną miejscowość niż Kraków leżący przecież w południowo-zachodniej części Polski nad Wisłą.

Dalsze szczegółowsze wyjaśnienia "feldfebla" rozwiały niestety moje nieśmiałe nadzieje. Mieliśmy przepędzić stado bydła przez cały Gdańsk na drugą stronę aż nad brzeg morza, czyli Zatoki Gdańskiej, jak się później zorientowałem, było to osiedle Krakowiec, położone na wyspie.

Obszar tej wyspy nosi obecnie nazwę S t o g i. Wzdłuż brzegu Zatoki od strony północnej wyspy rozciąga się młody sosnowy las, dochodzący pod same plaże ciągnące się półkolem od ujścia Śmiałej Wisły, przepływu Martwej Wisły, aż do cypla Westerplatte, przy ujściu Kanału Portowego do Zatoki Gdańskiej.

Po wypędzeniu stada z rozbitej stodoły w czasie wzmagającego się ostrzału artyleryjskiego i krążących nad głowami myśliwców radzieckich, ostrzeliwujących z pokładowych karabinów maszynowych pola, folwark i drogę, po której poruszał się nasz tabun bydła, zdołaliśmy jakoś z trudem skrócić w dół ku Oruni, gdzie wtłoczyliśmy się w główną drogę prowadzącą z Tczewa do śródmieścia, zapchaną po brzegi cofającymi się oddziałami Wehrmachtu i cywilnej ludności. Wrażenie było przygnębiające.

Widok śpieszącej fali ludzi, pomieszanych z taborami i żołnierzami niemieckimi, sunącej do centrum miasta, sprawiał dziwaczne skojarzenia z konwulsyjnymi drgawkami ranionego olbrzymiego węża, pełznącego kurczowymi ruchami do swej upatrzonej kryjówki.

W dalszym ciągu przy poganianiu stada zatrudnieni byli ci sami poganiacze: ja, Tomek, który musiał rozłączyć się z mamą pozostałą na folwarku w Maćkowie razem z rodziną p. Rutów i Łostiuków, Bolek, Lidia, Sima z Olgą i matką, która chociaż była już w "leciech", nie chciała opuścić swych córek, ponieważ nigdy więcej nie miała w Arciszewie ani w Maćkowie. Sądzę, że miała jeszcze cichą nadzieję połączyć się z trzecią córką, która pracowała w Gdańsku. Była także Oksana i Marusia. Nie pamiętam jednakże aby razem z naszą grupą szły także owe Ukrainki z Bastrzycy: Zofia, Pela i Nadia. W czasie powolnego marszu przez główne ulice Gdańska stale towarzyszyły nam zaciekle ataki myśliwców radzieckich, krążących ponad dachami domów i terkocząc karabinami maszynowymi. Gdańsk już płonął.

Z trudem przebijaliśmy się przez centrum Gdańska ze swoim stadem, przerażonym i zmaltretowanym do najwyższego stopnia. Część starych krów miała zapiekłe wymiona, nie dojrzone od kilku dni cierpiały strasznie, wlokąc prawie po ziemi obrzmiałe i napuchłe sutki. Ryczały przy tym żałośnie i rozdzierająco, jak by wtórując wybuchom pocisków armatnich i terkotającym w górze karabinom maszynowym.

Kulawe bydłota wybitnie hamowały marsz naprzód. Trzeba było bezlitośnie walić je grubymi pałami po żebrach i twardych zadach aby wreszcie zmusić je do posuwania się po kamiennym bruku głównego ciągu miejskiego.

Ze względu na pośpiech, nie można było je poić ani karmić, cierpiały więc też nieszczęsne krowy podwójnie. Ale czas był wojenny, lada chwila pociski mogły nas osiągnąć, i wtedy byłaby straszna jatka, musieliśmy więc zapomnieć o ludzkich uczuciach i poganialiśmy nasze stado z całą zaciekłością, aby wreszcie jak najszybciej dotrzeć do miejsca przeznaczenia - do owego Krakowca na wyspie nad Zatoką Gdańską. Tkuliśmy też nasze krowy gdzie popadło, zamieniając się powoli w podobne stado zwierząt, które gnaliśmy po ulicach Gdańska bez miłosierdzia.

Centrum Gdańska, które zdążyłem nieco poznać w poprzednim, spokojnym okresie przedstawiało obecnie żalosny wygląd. Wiele starych kamienic leżało w gruzach po bombardowaniach lotniczych, niektóre płonęły sypiąc iskrami i zapadając się z trzaskiem w dół aż do piwnic. Można było wówczas stwierdzić, jak stare to były budowle, prawie próchno, które rozsypany było się zupełnie pod uderzeniami małych kalibru bomb lotniczych. Pełno było wszędzie rozbitych dachówek i szczątków szkła, które skrzypiało i chrupało pod butami. Dym snuł się leniwie po ulicach, wisiał w wąwozach pomiędzy wysokimi kamienicami, gryzł w oczy, nie było czym oddychać. Skręciliśmy wreszcie w prawo, w kierunku ratusza. Była to Langgasse / obecnie ulica Długa/. Wieża ratuszowa, o dziwo, była zupełnie nieuszkodzona i strzelała w górę wysokim, ostrym szpicem, naprzekór jak by wszystkiemu, pnąc się w niebo smukłą iglicą.

Żołnierze niemieccy, snujący się w pobliżu, zapędzeni przez wyższych rangą dowódców, zaczęli nam pomagać, kierując stado najbliższymi ulicami do mostu na Motławie. Z tyłu za ratuszem, ponad dachami ciągu domów ulicy Długiej, przytłaczająca swoją masą, widniały wieżyczki ogromnej świątyni - kościoła NMP. Dach kościoła był podziurawiony bombami, dachówki pośladały odsłaniając krokwie i więźbę dachową. W pobliżu Dworu Arthusa, tuż przed wejściem, potężny blok betonowy zabezpieczał wejście do piwnic, zamienianych widocznie na schrony dla ludności. Dziwnie odbijały się szurania i stapania setek krowich racic od starych murów legendarnego Gdańska, które znałem jeszcze wcześniej, w okresie szkolnym, oglądając w książkach wypożyczanych w bibliotece świetlicowej w Hipolitówce piękne fotografie zabytków oraz ruch w porcie gdańskim.

Przed wieczorem tego dnia dotarliśmy ze swoim stadem w pobliże mostu na Martwej Wiśle prowadzącym do dzielnicy Stogi / po niemiecku Heubude/. Tu niestety musieliśmy dość długo oczekiwać na wolne przejście ze stadem. W pierwszym rzędzie wzmocnione posterunki żandarmerii przepuszczwały sprzęt bojowy: działa, jeszcze z amunicją, ciężkie karabiny maszynowe na samochodach, moździerze, żołnierzy różnych specjalności, sprzęt saperski!

Krowy, zbite w ciasne stado, koczowały nad brzegiem rzeki, niektóre zwierzaki pokładły się na twardym bruku usiłując przeżuwać pokarm, część porykiwała ścicha, bodąc rogami słabsze i mniej odporne sztuki!

Teren był położony niżej, byliśmy już widocznie na skraju nizinnych Żuław gdańskich. Od strony zachodniej w wieczornym zamgleniu prześwitywały wieże kościołów, dworca głównego, dachy "Marienkirche" / kościoła NMP/, dźwigu gdańskiego nad Starą Motławą, a jeszcze dalej rysowały się zachodnie wzgórza, gdzie raz po raz wykwitwały w oddali smugi krwawych odbłyśków potężnych salw artyleryjskich, kierowane na zachodnie peryferia Gdańska i Sopotu. Krąg wojsk radzieckich nieubłaganie zacieśniał się ze wszystkich stron!

Późnym wieczorem tego marcowego dnia przekroczyliśmy wreszcie odnogę Wisły i znaleźliśmy się na wyspie. Byliśmy już wraz ze swoim stadem i Wehrmachtem za wodną przeszkodą, którą Niemcy próbowali bronić za wszelką cenę. Dobrnęliśmy do jakiegoś dużego gospodarstwa rolnego i tam, na obudowanym w czworobok podwórzu, zatrzymaliśmy się wraz ze stadem na nocleg. Był to właśnie ów Krakowiec, pierwszy cel naszej wędrówki!

O spaniu nie było mowy, przekonaliśmy się zaraz ^{u tym} po przybyciu i rozlokowaniu się w jakichś budynkach gospodarczych. Wkrótce przed północą rozpoczął się potężny nalot samolotów bombardujących radzieckich wojsk lotniczych na to nieszczęsne, zmaltretowane i zniszczone poprzednimi nalotami miasto. Kilka małych samolotów zrzuciło naprzód na spadochronach flary / świece oświetlające /, które po rozwinięciu się ~~się~~ czasz, zabłysły jaskrawym, wręcz oślepiającym światłem, tryskając na boki iskrami.

Zrobiło się widno jak w dzień. Ponownie, opatulone ciemnościami ~~dachy~~ domów, wieże kościelne, żurawie portowe i nasze osiedle ukazało się oczom w całej rozciągłości, a drgające ~~na~~ przemian światła i cienie, zmieniające swój kierunek padania, zgodnie z ruchem opadających ~~świec~~ świec, wydobyły z ciemności niesamowite widowisko - rozpoczynające się ciężkie bombardowanie Gdańska przez niezliczone formacje bombowców radzieckich!

Huk ogromnej ilości motorów lotniczych zbliżał się od południowego wschodu i kierując się na światła flar, zaczął ~~potężnieć~~ z minuty na minutę. Swist spadających ciężkich bomb złał się z trzaskiem wystrzałów szybkostrzelnych karabinów przeciwlotniczych, przeplatany z hukiem pojedynczych wystrzałów dział przeciwlotniczych. Świetlne paciorki pocisków

i pojedyncze wybuchy szrapneli czasami spotykały się ze sobą, rozbłyskując fioletowymi iskrami na tle ciemnego nieba powyżej czasz spadochronowych. W dole, po wybuchach bomb, które trafiały w poszczególne studnie podwórzy kamienic, rozlewały się krwawe łuny pożarów, obejmujące swym zasięgiem coraz to inne kwartały ulic. Miasto zaczęło palić się jednym wielkim jezorem ognia i dymu. Po kilkunastu minutach tego nalotu artyleria przeciwlotnicza niemiecka przestała w ogóle strzelać. Zaczęły jedynie dominować częste wybuchy bomb o spóźnionym zapłonie, a po pierwszej fali nalotu, zaczęły się pojedyncze nawroty samotnych bombowców, które zachęczone brakiem obrony przeciwlotniczej, tym śmielej zaczęły pikować z wyciem nad miastem i puszczać pojedyncze bomby na poszczególne, wybrane w świetle płonących flar cele. Olbrzymi pożar, przesłaniany gęstą kuzawą i dymem zaczął wreszcie przesłaniać widnokrąg dookoła!

Kilka bomb spadło w niebezpiecznej odległości od zagrody gdzie zatrzymaliśmy się ze swoim stadem bydła. Wolałem nie czekać dłużej w jednym miejscu na uderzenie bomby, czy zabłąkanego pocisku. Chytkiem wysunąłem się za bramę - tuż obok natrafiłem na wąską polną drogę, wiodącą wprost na pole. Wysadzana była starymi, przycinanymi wierzbami; grube, rozłożyste pnie zdawały się dawać niejakie schronienie od odłamków i rozprysków po pociskach, których istne roje wirowały w powietrzu, furkotały w koronach wierzb i pacały w przydrożne rowy pełne wody. Po pacnięciu odłamka stali, woda rozpryskiwała się za każdym razem oblewając mnie ciepłym prysznicem, ponieważ odłamki były bardzo gorące po wybuchu. Kilka takich rozżarzonych, furkocących odłamków spadło na moją kufajkę wypalając małe otworki. Musiałem się więc dobrze pilnować, nadstawiając pilnie ucha, z jakiej strony zlatują te, spadające z nieba jak kasza manna, wydające dziwnie śpiewny, narastający gwałtownie furkot rozproszone stalowe odłamki po pociskach. Woda w rowie aż syczała od tego deszczu rozżarzonych, zadziornych skorupek!

Stojąc pod starą wierzbą miałem przed oczami okropny widok bombardowanego miasta, będącego już w agonii. Gejzery pożarów wybuchały tu i tam, rozświetlając straszliwą krwawą luną cały widnokrąg aż pod płynące spokojnie poszarpane chmury na znacznej wysokości. Huk i łomot spadających bomb, wstrząsana ziemia, plusk spadających odłamków w przydrożnym rowie - wszystko to zlewało się w jakiś piekielny chaos, chwilami zdawało mi się, że tak pewnie musi wyglądać piekło, o którym kiedyś w dzieciństwie na lekcjach religii opowiadał ksiądz katecheta. Zacząłem dopiero zdawać sobie sprawę, jak kruche jest ludzkie życie, zależne od niespodzianego, zupełnie przypadkowego draśnięcia wirującym odłamkiem czy zabłąkanym pociskiem wystrzelonym przez nieznanego człowieka z miejsca, o którym nikt nigdy się nie dowie. Zaczęło mi się robić już ciasno pod wierzbą pod którą stałem kilka godzin nocnych, mając przed sobą panora-

mę konającego miasta, które niegdyś było polskie. Tak doczekałem wczesnego ranka, zmieniając wreszcie stanowisko pod wierzbą, po zakończonym nad ranem bombardowaniu Gdańska!

Peryferyjne osiedle Krakowiec rozciągało się od strony południowej nad brzegiem Martwej Wisły, a od północy kończyło się na skraju dochodzącego aż tutaj gęstego młodego lasu. Las ten, położony w opadającym ku morzu terenie porastał na dawnych piaszczystych wydmach. Pełno było wykrotów, wadołów, leśne dróżki wiły się wśród drzew kierując się na brzeg Zatoki Gdańskiej. Linia lasu biegła krawędzią garbu, ciągnącego się prawie równoległe do rzeki Martwej Wisły, która kończyła swój bieg we wschodniej stronie przesmykiem wpadającym do Zatoki, natomiast od zachodu wyginała się łukiem prosto na północ w kierunku Westerplatte, gdzie Kanałem Portowym z kolei uchodziła do Zatoki swoim drugim ramieniem, tworząc rozległą wyspę porośniętą w swej północnej krawędzi gęstym lasem sosnowym. Tuż przy północnej krawędzi osiedla rozciągał się duży, lekko zarośnięty staw, wcinający się swymi brzegami w zieloną ścianę lasu. Powietrze było tu rzeźwe i pachnące żywicą, a od morza zaciągały mocne powiewy wiatru. Odtąd las ten, przez dość długi okres będzie dla mnie moim mieszkaniem, i tu przeżyję najcięższy okres w całym moim dotychczasowym życiu.

Po opuszczeniu gospodarskiej zagrody, na polecenie dowództwa, "feldfelbel" zarządził ponownie dalszy marsz ze stadem bydła w kierunku lasu. Wszędzie było pełno wojska, wozów konnych, porzuconych ciężarówek, różnego sprzętu wojakowego, samochodów osobowych, stosów drewnianych pak z amunicją do dział, sprzęt saperki. Wszystkie zagrody i domy były przemieszane miejscowymi Niemcami razem z wojskiem, poganiaczami bydła i cywilnymi uchodźcami, którzy tu spodziewali się znaleźć jeszcze jakiś ratunek przed postępującymi nieubłagane naprzód radzieckimi armiami. Wojska radzieckie dosłownie deptały Niemcom po piętach!

Las, stykający się z peryferyjnymi domkami osiedla był już pełen żołnierzy biwakujących tu już wcześniej. Mieli urządzone kuchnie, z których korzystaliśmy, wykopane doły sanitarne z poręczami do trzymania się w czasie załatwiania się, czynne studnia z dobrą wodą, rowy łącznikowe ze schronami, ustawione małego kalibru działka przeciwlotnicze, stanowiska dla ciężkich karabinów maszynowych i piechoty. Przeciskaliśmy się ze swoim stadem krów, mocno już uszczuplonym po ostatniej koszmarnej nocy, przez leśną drogę kierując się ku morzu!

Przewodnik "Viehkommando" idący na czele kolumny ruszył naprzód przez las a my za nim, pokrzykując i machając groźnie kijami na tłoczące się krowy. Większość słabszych sztuk już dawno odpadła z pochodu, pozostały jedynie młodsze i bardziej zwinne. Wkrótce też, kiedy znaleźliśmy się w młodej gęstwinie, gdzie nie było już nawet śladu żadnej dróżki, zaczęły się rozbiegać na boki. W pewnej chwili natrafiliśmy na gęsty sosnowy

drzewostan, krowy, kiedy poczuły zupełny brak zainteresowania ze strony poganiaczy, rozpiarzczyły się przed gęstym młodniakiem, każda w swoją stronę. Tymczasem przewodnik przedierał się szparko naprzód, rozgarniając na boki bijące po twarzy gałęzie. Znalazłem się tuż za nim. Przyśpieszyliśmy kroku i... za chwilę stanąłem przed wspaniałym widokiem!

Lasek urwał się nagle tuż na skraju wysokiej skarpy, a przed nami zamajaczyła w pełnej krasie ogromna tafla wody - była to Zatoka Gdańska.

"Also wir sind schon da!" - feldfebel usiadł ciężko na piasku. Przykucnąłem tuż obok niego. Byliśmy więc na miejscu, zgodnie z rozkazem. Feldfebel objaśnił mnie wkrótce, że ostateczny rozkaz dotyczył wyprowadzenia stada na sam brzeg morza, co zostało dokładnie wykonane. Sumienie feldfebela było czyste. Ale najwięcej skorzystały na tym krowy, które zupełnie gdzieś znikły w jednej chwili sprzed naszych oczu rozbiegając się na wszystkie strony po lesie. Ciężar spadek również ostatecznie z naszych głów. Koszmarne stado rozplynęło się w naszych oczach niczym mgła i... od tego czasu nie widziałem już więcej ani jednej krowy w tym lesie!

Przypuszczam, że większość krów została później wybita przez nawałę artylerii radzieckiej, a duża część pożarta przez wojsko niemieckie dla którego przecież przypędziliśmy je tu na wyspę. W każdym razie obecnie, kiedy Niemcy popędzili nas ze sobą, głodu nie odczuwaliśmy, przeciwnie. Piękny nadmorski sosnowy las był dosłownie napchany wojskowym sprzętem, samochodami i konnymi wozami z wszelakim dobrem niczym na przedwojennym targu czy odpuście.

Po zniknięciu problemu krowiego stada, odtąd wążaliśmy się jakiś czas po lesie szukając każdy dla siebie dogodnego miejsca pod drzewami na wypoczynek. Było sucho i ciepło. Kilka kilometrów stąd, na zachodnich peryferiach Gdańska nieustannie dochodziły wybuchy pocisków armatnich, terkotały karabiny maszynowe, wrzała zacięta bitwa wojsk radzieckich ze stawiającymi wciąż opór resztkami niemieckich oddziałów armii Weissa. W lesie było stosunkowo cicho, spokojnie, tylko cywile i członkowie Volksturmu wążali się po lesie szukając miejsca na biwak.

Wkrótce rozpoczęło się kopanie schronów i bunkrów ziemnych na polanach i tuż nad brzegiem Zatoki z wejściem od strony stromego zbocza skarpy przybrzeżnej. Znalazło się kilku specjalistów wojskowych, którzy rozpoczęli w szybkim tempie wybierać miejsce, organizować specjalne grupy robocze i zatrudniać wążających się po lesie mężczyzn do intensywnego kopania schronów. Znowu trafiłem pod komendę jakiegoś lejtenantów, kierującego grupą kopaczy. Kazano wziąć szpadel i kopać w wyznaczonym miejscu, tuż nad brzegiem. Sądziłem, że schron będzie służył wszystkim, a przede wszystkim kopaczom. Inni śinali sosny, ściągali je na miejsce i przycinali na wymiar. Z belek sosnowych miały być ułożone ściany i wsporniki pod belkowanie sufitowe. Praca szła bardzo szybko. Wkrótce zaczęliś-

m4

kopać w innym miejscu, a fachowcy niemieccy ~~mantowali~~ ściany z bierwionkami kładąc pomiędzy wkopane słupy i obsypując z zewnętrznej strony piaskiem. Na sufit poszły długie na kilka metrów sosny, podparte od spodu słupami. Dla wzmocnienia sufitu przed uderzeniami pocisków i małych bomb belki zostały ułożone poprzecznie w kilka warstw i przesypane piaskiem i ułożonymi gałęziami z gęstym igliwem. Gałęzie i igliwie znakomicie zatrzymywały sypki piasek, który nie sypał się wówczas na głowy!

Inne grupy żołnierzy, volkssturmistów i cywilów również ~~z~~szybkim tempie uporały się z kilkoma jeszcze bunkrami, stawiając je w głębi lasu, dalej od brzegu. Wykopane zostały także małe szczeliny przeciwlotnicze z pojedynczym belkowaniem. Do wieczora tego dnia wszystkie niezbędne zabezpieczenia przed atakami lotniczymi i ostrzałem artyleryjskim zostały wykonane. Byłem więc pewny, że i moja głowa znajdzie tam schronienie.

Zawiodłem się srodze! Wkrótce na moich oczach wsunęła się tam, zjawivszy się jak ~~z~~ pod ziemi, grupa jakichś "Oberstów", majorów, a wśród nich ~~z~~ zaważyłem oblesną gębę naszego szefa z Arciszewa, jak schylając łeb, wsunął się, niczym szczur do swej nory, do największego bunkra z poczwórnym belkowaniem sufitowym, dającym pewne schronienie przed bombami!

Wszystkich cywilów, "ostarbeitrów" i zwykłych żołnierzy natychmiast usunięto ~~X~~ przed bunkra, a w pobliżu ustawiono posterunki wojskowe w hełmach i pistoletami automatycznymi w rękach. Pociemniało mi w oczach z wściekłości! Rzuciłem szpadel w krzaki i usunąłem się w głąb lasu.

Dróżka wiodła do maleńkiej polanki wśród sosen. Stało tam masę porzuconych samochodów i sprzętu. Tuż obok grupki młodych sosenek rosnących prawie na środku polanki stał elegancki kryty samochód lśniący czarnym lakierem, z jednej strony drzwi były otwarte a wewnątrz nie było nikogo. Zachciało mi się posiedzieć na miękkich poduszkach, wsunąłem się śmiało do środka. Komfort wnętrza przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Był to samochód napewno jakiegoś wysokiego dygnitarza hitlerowskiego, oparcia wyściełane były miękkimi poduszkami, w drzwiach szerokie kieszenie wypełnione były zmiętymi papierami i mapami, na podłodze i obok otwartych drzwi samochodu leżały również porozrzucone papiery. Siedziałem wygodnie wysusawszy daleko przed siebie nogi, prawie półleżąc. Zastanawiałem się w tym momencie jakie są różne losy różnych ludzi w czasie wojennym. Jeszcze parę dni temu nie przypuszczałem nawet, że będę oto siedzieć rozparty w luksusowym samochodzie jakiegoś generała, czy wysokiego rangą sztabowca, a on wepchał się tymczasem, jak szczur do wykopanego przeze mnie bunkra tam, nad brzegiem Zatoki i tchórzliwie chowa głowę przed spodziewanym atakiem lotniczym swego największego obecnie wroga, bolszewickiego lotnika. Natomiast ja, chociaż na moment, zająłem jego miejsce na miękkich poduszkach samochodu, dumając nad zmiennością losu, jaki przypadł mi w udziale. Nagle olśniła mnie myśl! - Przecież mam wspaniały dach nad głową i mogę tu urządzić doskonałą sypialnię, chociaż na jedną noc!

Tuż za polanką las urywał się. Przez rudawe pnie sosen prześwitywały niebiesko-szare wody Zatoki Gdańskiej po której powoli przesuwały się czarne kadłuby okrętów wojennych "Kriegsmarine", ledwo widoczne w przedwieczornej mgiełce pozostawiając za sobą kłęby czarnego dymu. Od czasu do czasu dobiegał stamtąd przeciągły grzmot salw artylerii pokładowej. Z tyłu za nimi, w jeszcze dalszej perspektywie widać było bardzo długie pasemko czarnego lądu, zachodzące głęboko w Zatokę. Był to półwysp Hel. Również stamtąd, w dość długich odstępach czasu buchał gejzer czarnego dymu, unoszący się następnie powoli do góry w ciemniejące niebo, by po kilkudziesięciu sekundach dopiero, tłumiony odległością dobiegał do moich uszu dudniący rozgłośnie grzmot wystrzałów. To strzelała artyleria ciężkich dział dalekonośnych zainstalowana na końcu półwyspu w porcie Hel, kierująca widocznie swe pociski na ląd, gdzie nacierały wojska radzieckie!

Ten pojedynek trwał prawie całą noc do wczesnego ranka, a ja tymczasem zasypiałem sobie w najlepsze w swojej kufajce, rozciągnięty na poduszkach samochodu pośród lasu nad brzegiem Zatoki Gdańskiej. Była to moja pierwsza beztraska noc, w której zasypiałem smacznie nie myśląc o jutrze, ani nie troszcząc się co ono przyniesie. Byłem prawie wolny.

Miałem już swój "dach nad głową", należało teraz pomyśleć o zapleczu żywnościowym, sanitarnym /zacząłem już doświadczać pasożytniczego życia insektów na swoim ciele/ a także zabezpieczeniu się, co było w tym czasie najważniejszym problemem, przed ewentualnym bombardowaniem z powietrza. "Viehkommando" już nie istniało, zostało automatycznie i samorzutnie rozwiązane po dotarciu na plażę Zatoki Gdańskiej, zabrakło więc kogoś, kto organizował posiłki, wydawał rozkazy, troszczył się o lokum. Należało obecnie samemu zacząć wegetować, jak kto umiał!

Jak już wspomniałem, w lesie było masę bezpańskich furmanek, samochodów, porzuconych furaczy, i innych rzeczy, gdzie można było zawsze znaleźć coś do zjedzenia na zimno. Część poganiaczy bydła, a szczególnie dziewczęta, zorganizowały sobie coś w rodzaju obozu cygańskiego - rozpałiły ognisko i przyrządzały tam zbiorowe posiłki, częstując przy tym bezdomnych i kawalerów gorącą wodą, czy jakąś zupą. Przyłączyłem się więc i ja do tego cygańskiego obozu. Mieliśmy obecnie wszyscy bardzo dużo wolnego czasu i każdy spędzał go jak umiał, najczęściej większość urządziła całodzienne drzemanie pod sosnami na swoim barłogu uścielonym w zagłębieniach pomiędzy korzeniami drzew.

Pędziliśmy odtąd żywot Robinsonów na wyspie. Żyliśmy ze zdobycznych fruktów, wygrzebywaliśmy potrzebne nam rzeczy z porzuconych w lesie furgonów, tłukliśmy własne wszy każdy sobie, zjadaliśmy byle jakie posiłki, a na noc każdy szukał swojego barłogu. Kilka dni i nocy korzystałem

ze "zdobycznego" generalskiego samochodu. Do dziś dnia wspominam o tym z rozrzewnieniem - to wojenne trofeum popadł miarę rozpuściło mnie w tym trudnym czasie. Takich wygód nie miałem jeszcze w życiu, chyba w kołysce pod troskliwym okiem matczynej opieki w domu rodzicielskim!

Pogoda była słoneczna i ciepła. Powoli zacząłem się przystosowywać do tego trybu życia, podobnego chyba do wędrownych wczasów z plecakiem na swoim własnym utrzymaniu, opierunku i stołówce. Grzmot artylerii dobiegający od zachodu i od strony Zatoki Gdańskiej działał początkowo drażniąco na mój system nerwowy ale powoli zacząłem się do tego przyzwyczajać. W tym okresie pociski nie dolatywały na wyspę, a samoloty przelatując nad lasem zrzucały bomby o kilka kilometrów dalej, na styk frontu, okalający pierścieniem Gdańsk, Gdynię i Sopot wraz z półwyspem Helskim.

To sielskie życie na wyspie miało się wkrótce skończyć. Pierwszym sygnałem, jak zwykle w tym wypadku, był nocny przelot "kukuruźnika" ponad cichym podejrzaniem i, zdawałoby się, pustym lasem. Uparcie krążył całą noc we wszystkich kierunkach, nie niepokojony przez nikogo. Dopiero nad ranem ucichło. Jego terkot, podobny do terkotu starego, rozklekotanego silnika traktora rolniczego, orzącego kołchozowe pole, wdzierał się do uszu, odbijał się złowieszczym echem od ściany leśnej, zacichał na chwilę by znowu napłynąć z zupełnie niespodziewanej strony, lecąc nisko tuż nad koronami sosen.

Było to chyba w połowie ostatniej, trzeciej dekady marca 1945 roku, kiedy w samo południe zauważyłem kilkanaście niemieckich szybkich bombowców nadlatujących od strony zachodniej. Zatoczyły one szeroki łuk nad Zatoką na dość znacznej wysokości. Z boku nadlatywały myśliwce radzieckie. Wywiązała się krótka walka powietrzna. Jeden z myśliwców radzieckich został widocznie trafiony serią szybkostrzelnego karabinu z bombowca, gdyż po chwili zadymił ciągnąc za sobą gestniący warkocz czarnego dymu. Po chwili bombowce zawróciły ponownie nad Zatoką zrzucając kilkanaście małych bomb nad stanowiska wojsk radzieckich. Grad bomb spadał z wysoka, doskonale widoczny z dołu oświetlony jaskrawym słońcem.

Wreszcie dosięgnął celu w zachodniej stronie Zatoki - długo nie było słychać żadnego wybuchu, aż wreszcie dopiero po kilkadziesiąt sekundach dotarły do moich uszu naprzód wstrząsy powietrza a potem nagłe, zlewające się w jeden huk, wybuchy. Z góry dochodziły ciągłe pomruki serii karabinów maszynowych, przytłumione odległością. To trwała w dalszym ciągu walka powietrzna. Wreszcie po kilkunastu minutach wszystko ucichło. Były to ostatnie samoloty Luftwaffe, które udało mi się zaobserwować pod koniec tej wojny.

Z wielu postaci, które przewinęły się tam w lesie, nad Zatoką w czasie mego pobytu, zapamiętałem sobie szczególnie starego przedstawiciela

oddziałów "Volkssturmu", pospolitego ruszenia, stworzonego przez ministra propagandy III Rzeszy - Józefa Göbbelsa dla ratowania próchniejącego państwa hitlerowskiego.

Był to wysoki, niezmiernie chudy, przeszło sześćdziesięcioletni mężczyzna, z małymi wąsikami, krótko przystrzyżonymi a białymi jak mleko. Głowa szczupła z pełną czapą włosów zaczesanych na boki. Ubrany był w szarą kamizelkę, ciepłą koszulę czarnego koloru i spodnie "galife", wpuszczone w długie białe wełniane skarpety, zawijane pod kolanami.

Chodził zawsze z laską po lesie, szturchając po gęstych krzakach, grzebiąc nią w korzeniach sosen, opukując pnie sosen. Nocował w skrzyni porzuconego samochodu ciężarowego na rozścielonym grubym kocu wełnianym. Bardzo dbał o wygląd zewnętrzny. Nosił ze sobą grubą torbę skózaną, pełną jakichś przyborów, narzędzi i leków. Uczył mnie często jak należy rolować koce do przypinania do plecaka w czasie marszu, leczenia oparzeń, używania bandaży, kopania płytkich studzienek i filtrowania wody do picia. O ile pamiętam, był leśniczym w dobrach jakiegoś hrabiego czy barona na Pomorzu Gdańskim. Chodził zawsze w kapeluszu tyrolskim z piórkami. Zapamiętałem również żołnierza włoskiego, który jakimś cudem zaplątał się na tej leśnej wyspie. Był on zupełnym przeciwieństwem starego leśniczego-volksszturmisty. Mały grubas, z krótkimi nogami obutymi w żołnierskie podkute buciory, sprawiał odpychające wrażenie swoim wyglądem. Sypiał pod samochodem, w przeciwieństwie do starego. Stale coś żuł w ustach, krajając kozikiem jakieś kęsy i wpychając je palcami do ust. Mówił słabo po niemiecku wtrącając stale wyrażenia włoskie i, przewracając oczami powtarzał, że Mussolini kaput, Hitler kaput, a wtedy on pojedzie do swojej ojczyzny, skonecznej Italii. Miał przy tym w gębie jakieś odpowiednie przekleństwa włoskie.

Sima z matką i Olgą gnieździły się również przy wspólnym ognisku, wykonując solidarnie wszelkie czynności związane z podtrzymywaniem ognia, nosiły chrust, wyszukiwały jedzenie, gotowały. W czasie następnych dni, kiedy rozpoczęły się nękające naloty "kukuruźników", a później bombardów radzieckich, wyszukały sobie jakąś szczelinę przeciwlotniczą i tam dotrwały do końca, aż do chwili uwolnienia. Często tam zaglądałem do nich, a Sima wraz z matką zawsze starały się mnie ugościć swoimi zapasami żywności. Nie mogłem więc, w tym końcowym okresie przed wyjściem z tego "wczasowiska" leśnego, narzekać. Oprócz wałęsania się po lesie i na brzeg morza, oddychania świeżym powietrzem, wielogodzinnego drzemania pośród pięknego lasu, nie miałem wtedy nic do roboty.

Oddziały niemieckie, które początkowo biwakowały razem, powoli zaczęły się przerzedzać, topnieć, przesuwać się bardziej na wschód i skupiać się coraz większą masą na drugiej wyspie, oddzielonej od nas przepływem Wisły od strony wschodniej. Las pustoszał w oczach. Któregoś dnia zaobserwowałem wśród gęstwiny leśnej przejazd baterii dział, ciągnionych

przez kilkanaście par koni. Początkowo oglądałem ten przemarsz resztek niemieckich wojsk, które znajdowały się jeszcze na wyspie przenoszących się na nowe miejsce oporu, bez specjalnego zainteresowania. Później dopiero zdałem sobie sprawę, że ten odwrót musi oznaczać jakąś radykalną zmianę pozycji frontowej, która zapewne gdzieś niedaleko przebiegała.

Zbliżał się koniec marca 1945 roku. Gdyby nie zbliżające się armatnie wybuchy od południa i południowego zachodu w kierunku naszej leśnej wyspy od centrum Gdańska, jak również intensywny ostrzał nacierających armii radzieckich od strony Zatoki Gdańskiej przez baterie helskie i okręty wojenne Kriegsmarine, zdawało się mogło, że uda się nam, tymczasowym mieszkańcom wyspy, przeczekać najgorszy okres względnie spokojnie i stosunkowo w luksusowych warunkach dotrzeć do końca, bliskiego już chyba, trwającej sześć lat wojny. Słońce grzało w dzień coraz mocniej, noce były ciepłe, a my zaszyci w leśnej gęstwinie, ruszaliśmy się niczym mrówki w swoim mrowisku, łażąc po lesie i wracając z powrotem do swego legowiska. Idylla ta miała się wkrótce skończyć.

Rozpoczęły się nękające naloty "kukuruźników" z chwilą zapadnięcia zmroku, trwające prawie całą noc. Miałem już trochę doświadczenia, pilnie więc nadstawiałem uszu śledząc podstępne i zdradzieckie loty tych niepozornych dwupłatowców. Wcześniejsze rozpoznanie pozwoliło im widocznie stwierdzić, że w lesie ukrywają się żołnierze niemieccy z pełnym uzbrojeniem. Lotnicy rozpoczęli zrzucanie małych bombek na milczący w dole las. Było to coś niesamowitego, takie oczekiwanie na spadającą w ciemnościach z góry śmierć. Szum skrzydeł lecącego samolotu zlewał się z lekkim poszumem sosnowych koron, chwiejących się pod naporem lekkiego wiatru. Mała bombka, podobna do miny moździerzowej, uderzała ze stęknieniem o miękką ziemię pokrytą mchem i igliwem, wybuchając w następnej sekundzie z przeraźliwym trzaskiem rozświetlając wokół pnie drzew i rzucając mocne, upiśmne cienie. Ciemne noce rozdierane były krwawymi odbłyskami wybuchów, a trzask pękających bombek zlewał się z gruchotem rozwalanych pni sosen i spadających z góry wierzchołków.

W dzień nadlatywały klucze dwumotorowych radzieckich bombowców płynąc wzdłuż krawędzi lasu i plaży, zawalonej sprzętem wojennym, jaszczkami z amunicją, usianej wbudowanymi w zbocze skarpy ziemnymi bunkrami i schronami, napchanymi żołnierzami i cywilną ludnością. Trudno było ustrzec się przed gradem spadających bomb rozrywających się z ogłuszającym hukiem wzdłuż plaży. Łomot silników słychać było ze wszystkich stron, a korony sosen zupełnie zasłaniały niebo, nie pozwalając szybko zorientować się z którego bombowca posypią się straszliwe cygara.

Stałem przy krawędzi lasu obserwując dalekie wystrzały okrętowej artylerii z krążownika niemieckiego, spowitego w chmurę dymu, kiedy niespodzianie zaskoczył mnie nalot kilku radzieckich bombowców, lecących

na bardzo małej wysokości od strony wschodniej. Z gwizdem silników szybko przeleciały na drugą stronę lasu; zdawało mi się, że będą bombardować plażę, położone nieco dalej, bliżej wyginającej się w stronę Zatoki Krawędzi wydm, odwróciłem przeto głowę w tym kierunku - straszliwy, nagły podmuch i grzmot zważył mnie z nóg! Upadłem w lewą stronę, staczając się wprost do dołu, pod wystające korzenie roztrzaskanej poprzednim bombardowaniem sosny! Fontanna piachu runęła z góry! Poczuję obrzydliwy swąd spalonego materiału wybuchowego podobnego do palącej się siarki.

Straciłem na chwilę przytomność od straszliwego wstrząsu i uderzenia strugą piachu. Nie pamiętam już, jak długo leżałem ogłuszony i przysypany kupą piasku wyrzuconego na mnie przez wybuch bomby. Przytomność odzyskałem zapewne po kilku minutach, ponieważ w dalszym ciągu wyraźnie słyszałem warkot silników, powracających do ponownego ataku bombowców.

W prawym uchu miałem pełno piachu, a także: na szyi, pod koszulą, w kieszeni kufajki. Grube okrycie zamortyzowało smagnięcie strumieniem piasku z boku. Najgorszy był ten okropny trzask i łomot rozrywających się bomb.

Wygrzebałem się z zagłębienia o własnych siłach, otrząsnąłem z warstwy piasku. Prawe ucho było przygłuszone i źle słyszałem / uraz ten pozostał mi do dziś dnia, lewe ucho odbiera znacznie lepiej sygnały głosowe /, ale ^{prze}niekiedy warkot zbliżających się bombowców usłyszałem zupełnie dobrze - należało szybko zmiatać z niebezpiecznego miejsca na krawędzi lasu obok szerokiej plaży, gdzie stało masę przeróżnych pojazdów samochodowych i taboru konnego. Widocznie lotnicy zawzięli się - będą napewno bombardować jeszcze raz!

Ruszyłem w głąb lasu biegiem. Nogi plątały się trochę, serce waliło w piersiach ze zmęczenia i straszliwego strachu! W głowie była tylko jedna myśl, czy aby tylko zdążę oddalić się na bezpieczną odległość od tego przeklętego miejsca! Zdążyłem. Nowa seria bomb gruchnęła prawie w tym samym miejscu!

Leśne "wczasy" odtąd skończyły się bezpowrotnie. Końcowe dni marca 1945 roku to nieustanne bombardowania, nocne nękania przez "kukuruźniki" przenoszenie się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca spod gradu bomb małego kalibru, a później postępującego ostrzału artyleryjskiego.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy żołnierze niemieccy zupełnie zniknęli z obszaru leśnego gdzie przebywaliśmy, pozostały tylko osoby cywilne, przeważnie siła robocza ściągnięta tu pod przymusem, a rekrutująca się z robotników ze wschodu, południa lub zachodu Europy. Wycofanie się oddziałów niemieckich poprzedziło nagłe pojawienie się ~~tyraliery~~ ~~darmbr~~ IX wojskowej, która na moich oczach dokładnie przetrząsnęła każdy zakamarek obszaru wokół naszego obozowiska, wyławiając niektórych mężczyzn i ukrywających się w bunkrach Niemców i żołnierzy niemieckich.

Operacja ta została przeprowadzona szybko i sprawnie, w czasie dłuższej przerwy w ostrzale artyleryjskim ze strony radzieckiej. Zagarniętych mężczyzn żandarmi uprowadzili ze sobą, kierując się na wschodnią część wyspy. Widocznie Niemcy planowali bronić się tam w dalszym ciągu.

Odtąd większość bunkrów i schronów rozrzuconych na tym obszarze została opróżniona z Niemców, mogliśmy więc zająć do swej dyspozycji duży i wygodny schron ziemny. Jak pamiętam, umieszcza się w nim większość młodych z budy w Arciszewie: Lidia, Oksana, Marusia, Tomek, Bolek, Stefan - czyli ja, piszący te słowa, jakiś młody Francuz i chyba jeszcze dwie lub trzy osoby, ale niestety nie mogę już sobie przypomnieć ich wyglądu ani imienia. Natomiast Sima z siostrą Olgą i matką, umieszczyły się w pobliżu w jakiejś szczelinie, krytym małym okopie czy schronie na malutkiej polance, bliżej brzegu Zatoki. W momentach, kiedy następowały przerwy w bombardowaniach czy ostrzale armatnim, wszyscy kontaktowaliśmy się natychmiast ze sobą.

W czasie przeczesywania lasu przez kompanię żandarmów wojskowych, obwieszonych specjalnymi srebrzystymi łańcuchami i blachami na pierśsiach, miałem się już na baczności aby nie zgarnęli mnie razem ze sobą. Miałem już 20 lat, skuszną postawę i dość szerokie plecy, które mogły wpaść w oczy jakiemuś gorliwcowi od łapanek. X Miałem już niejaki doświadczenie w tym względzie jeszcze z Kostopola! A przecież zdrowy i silny "Łopaciarz" Niemcom zawsze się przydawał, przy kopaniu rowów, schronów czy noszeniu potrzebnego materiału do ich budowy. Dlatego więc, w czasie tej obławy, udało mi się zaszyć w gęsty młodniak, gdzie zataiłem się w jakiejś rozpadlinie i... dzięki temu uniknąłem pobytu na drugiej wyspie, położonej po wschodniej stronie wiślanego przesmyku.

Sporadyczne bombardowania dzienne powoli zaczęły przeradzać się w bezustanne naloty i penetracje radzieckiego lotnictwa na wyspę. Odtąd nie było już spokojnej godziny na zaskatwanie potrzeb fizjologicznych, wyszukanie jedzenia, czy spokojne ranne umycie się wodą z wykopanych w lesie studzienek.

Jednakże, krążące po Zatoce Gdańskiej okręty wojenne, ciężkie salwy pokładowych dział szybujące z dudniącym hukiem w kierunku lądu, przyciągały wciąż moją uwagę. Chcąc lepiej zaobserwować działania ciężkich krążowników i pancernika, ponownie wyszedłem któregoś dnia na krawędź lasu. Zatoka była upstrzona, jak dawniej niemieckimi okrętami. Bliżej brzegu stał jakiś duży okręt transportowy otoczony mniejszymi statkami, z których przewożono ludzi i jakiś sprzęt. Widocznie trwała ewakuacja żołnierzy z lądu. W tym momencie nadleciały samoloty radzieckie i zaatakowały to zgrupowanie okrętów. Zajazgotały gorączkowo małe działka i karabiny maszynowe z okrętów. Wysokie fontanny wody obramowały w chwilę potem duży transportowiec i przyklejone do niego łodzie i barki. Widok był

dla mnie niesłychanie frapujący! - Trafiały bomby w to zbiorowisko, czy nie! Zafascynowany tym groźnym widowiskiem zupełnie zapomniałem na chwilę gdzie jestem. Poczuję się jak kibic, oglądający dobry mecz na boisku sportowym, koncentrując swoją uwagę jedynie na tym akwenie Zatok, gdzie rozgrywała się ta zacięta walka kilku radzieckich bombowców ze zgrupowaniem Kriegsmarine. Byłem do tego stopnia pochłonięty tym, co miałem przed oczami, że zapomniałem o grożącym mi niebezpieczeństwie, które niespodzianie wychynęło z prawej strony lasu!

Usłyszałem z nagła huk kilku samolotów lecących na bardzo niskiej wysokości. Zaabsorbowany walką na morzu, dość późno zdażyłem się zorientować, jakie śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło w tym momencie nad moją głową. Zrejerowałem natychmiast z krawędzi w głąb lasu, ale nie zdażyłem dobiec do centrum, gdzie znajdował się nasz główny bunkier!

Usłyszałem swist spadających bomb. W tej chwili natknąłem się na jakąś szczelinę w ziemi, zakrytą kopcem z gałęzi i obelkowaną okraglakami, z niskim wejściem z boku - w otworze mignęły jakieś znajome twarze! Seria wybuchających bomb zbliżała się błyskawicznie w kierunku okopu... Ledwie zdażyłem. Wpadłem wprost na Simę, skuloną tuż przy otworze wejściowym, a dalej gniotły się Olga z matką! Bomba zaryła się tuż przed wejściem! Inne rozerwały się nieco dalej.

Mieliśmy jakieś przedziwne szczęście! Bomba nie wybuchła! Zaryła się do połowy w miękkiej ziemi, pokrytej grubą warstwą igliwia i mchu. Z wierzchu sterczały cztery lotki - bomba tkwiła w gruncie nieco pod kątem, pochylona ku tyłowi górną częścią usterzenia, zgodnie z kierunkiem lotu bombowców. Przed i za schronem widać było leje po rozerwanych bombach, uszeregowanych równo, niby pod szmurek, z jedną przerwą - właśnie tu, gdzie tkwił ten niewypał około 1-2 metrów przed wejściem do rowu! Długość bomby wynosiła około jednego metra a średnica blisko 15 cm! Była więc małego kalibru ale gdyby wybuchła, to sądzę, że z okopu zostałby chyba również jedynie lej z poszarpanymi belkami i naszymi ciałami!

Skuliwszy się tuż przy Simie, oczekiwałem wybuchu. Po uderzeniu bomby w podłoże, posypały się nam na głowy strumienie piachu ale belkowanie wytrzymało gwałtowny wstrząs; strumienie piasku sypnęły się w oczy i na głowę. Serce chyba w tym momencie stanęło mi w miejscu. Błysnęła myśl: liczyć sekundy do chwili wybuchu! Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Piasek przestał się sypać, a w uszach nastąpiła jakaś dziwna, dzwoniąca cisza. Dalsze bomby przestały się rozrywać, jedynie huk silników bombowców coraz bardziej zacichał, oddalał się, wreszcie ucichł zupełnie.

Patrzyłem tępo na tkwiącą przed wejściem do okopu bombę, jej usterzenie sterczące u góry, i nie mogłem jeszcze zdać sobie sprawę z tego, że żyjemy, stłamszeni kurczowo w ciasnej ziemnej szczelinie. Po chwili błys-

nęła nagle myśl, która prawie sparaliżowała mnie zupełnie - przecież to może być bomba z opóźnionym zapłonem!!! W ułamku sekundy ruszyłem z okopu przywołując za sobą siedzące tam dziewczęta z matką!

Skręciłem błyskawicznie na drugą stronę schronu... schylony aż prawie do samej ziemi sadziłem susami niby rączy jeleni, byle dalej od tego straszego miejsca gdzie tkwiło to stalowe cygaro, sterczące niby ogromny, dziwnego kształtu grzyb wyrosły niespodzianie tuż przed wejściem do schronu. W dalszym ciągu oczekiwałem straszego wybuchu, rwałem więc przed siebie co sił w nogach w głąb lasu. Był to chyba początek kwietnia 1945 roku!

Wojska radzieckie zdobyły Gdańsk i Gdynię przy współudziale Brygady Pancernej WP i podeszły prawdopodobnie nad brzeg Martwej Wisły, okalającej od południowej strony naszą wyspę, ponieważ pociski artyleryjskie zagęstniały od tej strony, rozrywając się już w pobliżu naszego bunkra. Odtąd skończyły się moje spacerunki po wyspie i na krawędź stromego brzegu, skąd obserwowałem Zatokę, operację Kriegsmarine, która zapewne, po zdobyciu Gdyni i Gdańska przez wojska radzieckie, wycofała się dalej na otwarte wody Bałtyku.

Musieliśmy przebywać obecnie stale w schronie z obawy przed pociskami artyleryjskimi. Noce spędzaliśmy, leżąc pokotem na zasłanej jakimś szmatami i igliwem ziemi, wbijając oczy w belkowany sufit, z którego po każdym uderzeniu pocisku, sypał się strumykiem piasek wprost na barłóg. Było to obrzydliwe odczucie, to rozrywanie się armatniego pocisku na zbocz lub grzbiecie bunkra, z jednoczesnym zwiększonym strumieniem suchego piasku. Mieliśmy go wszędzie pełno: w ustach, za kołnierzem, pod bielizną, w kufajkach, we włosach.

W krótkich przerwach w ostrzale artyleryjskiej, wysuwaliśmy się ostrożnie pojedynczo na zewnątrz schronu, badając możliwość zaspokojenia fizjologicznych potrzeb, czy szukając sposobu odnowienia zapasów żywności, czy po prostu dla zwykłego rozprostowania kości. To leżenie pokotem, nieruchomo na ziemi przez kilka godzin, było nie do zniesienia.

Dziewczęta ułożyły się w głębi bunkra, dalej od wejścia, tuż koło mnie leżał Tomek, ja natomiast zająłem miejsce przy ścianie, w której było usytuowane wyjście na dwór, przez zagięty pod kątem prostym przedsionek, który miał skutecznie chronić przed odłamkami pocisków.

Niestety, o którejś godzinie, przed wieczorem chyba, po rozerwaniu się pocisku tuż przy gardzieli przedsionka, odłamek zranił mocno w udo naszego Francuza, młodego chłopca, który został przygarnięty przez naszą grupę i użyczono mu miejsca do leżakowania. Biedak jęczał całą noc. Trzeba było więc coś z nim zrobić. Nikt z nas nie znał się na chirurgii, aby wyjąć z uda ten odłamek. Należało bezwzględnie znaleźć wyjście z tragicznej

dla niego sytuacji. Nad ranem, wykorzystując osłabienie się ostrzału artyleryjskiego, związaliśmy nosze z gałęzi i ponieśliśmy młodego Francuza dalej w las, szukając jakiegoś sanitariusza czy lekarza, w rozrzuconym po lesie taborze samochodowym.

Mieliśmy szczęście. W jakimś parowie, stała kolumna zaparkowanych samochodów ciężarowych ze znakami Czerwonego Krzyża z niemiecką obsługą. Rzadkie pociski przechodziły górą, rozrywając się gdzieś dalej z boku. Na samochodach pełno było rannych żołnierzy i cywilów, leżących na noszach. Na polecenie jednego z sanitariuszy, podnieśliśmy w górę naszego kolegę Francuza i wsunęliśmy go na skrzynię samochodu. Było to wszystko, na co nas było stać i co mogliśmy zrobić w tej niebezpiecznej dla nas sytuacji. Zdążyliśmy powrócić na czas do bunkra, przed rozpoczęciem nowego ataku pocisków artylerii małego kalibru.

Dużo drzew było powalonych, gałęzie poćcinane odłamkami, pełno było wykrotów, małych lejków i zaczątków pożarów od rozpalonych pocisków. Wcześniej, kiedy pełno było w lesie wolskszturmistów, usiłowali oni gasić żarzącą się ściółkę leśną zapaloną od małego kalibru bombek, zrzuconych przez "kukuruźniki". Szło to im bardzo sprawnie. Po odlocie samolotu ruszali biegiem w kierunku tłącego się ogniska, gdzie upadła bombka, wprawnie okopywali to miejsce łopatami, zarzucając środek sypkim piaskiem. Dzięki temu, pożaru w tym obszarze na szczęście nie było.

Obecnie niektóre połacie lasu dymiły od tłącego się igliwia i mchu. Nikt tego nie gasił. Każdy siedział cicho w bunkrze, pilnując swojej głowy przed ulewą małych pocisków, które niby zjadliwy rój os, jęczały i trzaskały pomiędzy sosnami, w górze, w koronach drzew wyczyniały różne przeraźliwe harce, dewastowały poszycie leśne rozpryskując się na roje śmiertelnych odłamków. Znaczyły one wszędzie swoją drogę, na pniach sosen, zboczach pagórków, ścianach bunkrów, rozbijały stojące wozy i samochody, tłukły po żelaznych kotłach i naczyniach taborowych.

Leżeliśmy w milczeniu, wsłuchując się w uderzenia pocisków w zbocza i górę schronu. Sądziłem, że kiedy grzmotnie pocisk większego kalibru, będzie z nami już koniec. Byłem już w stanie całkowitego zasztywnienia i psychicznego zobojętnienia na to, co się ze mną stanie, byle już prędzej a natychmiast, aby nie było niepotrzebnego bólu czy męczarni konania. Ranny Francuz nie schodził już mi zupełnie z myśli; wciąż słyszałem jego rozpaczliwy krzyk, po uderzeniu odłamkiem, a potem nocne jęki w bunkrze! Czekałem więc tylko na swoje przeznaczenie, zależne od pocisku

Ostatnia noc była koszmarna! Od kilku już godzin wieczornych nie można już było nawet marzyć o wychyleniu się z bunkra. Dosłownie grad małowalibrowych pocisków walił się z góry jak w czasie szalejącej burzy. Założyliśmy wejście szczelnie jakimiś pakułami z piaskiem aż do góry, aby uniknąć przypadkowego uderzenia pocisku w przedsiónek schronu, i tak

odcięci zupełnie niemal od świata, czekaliśmy w ciemnościach na koniec artyleryjskiej nawałnicy. Nikt z nas nie miał zegarka, czas włókł się w nieskończoność. Około północy ogień artyleryjski wzmógł się. Uderzenia pocisków o południową ścianę schronu zwały się teraz w nieustające wciąż wstrząsy i drgania. Piasek sypiąc się z góry tworzył powoli małe kopczyki pomiędzy leżącymi ciałami. Zaczęło brakować powietrza od powstającego kurzu i wciskającego się z zewnątrz siarkowego smrodu wydobywającego się z rozrywających się pocisków. Przez małą szczelinę, pozostawioną pod sufitem, przy wejściu pozatykanym szmatami z piaskiem, prześwitywały krwawe odbłyski pękających kul, podobne do nieustannych błysków piorunów w czasie szalejącej potężnej burzy letniej, rozświetlanej ciągłymi wyładowaniami. Byłem już pewny, że schron po tej straszliwej nawale ogniowej znacznie powoli się rozsypywać, ziemia zesunie się z sufitu, belki zostaną rozbite w drzazgi i zaczną spadać nam na głowy!

Wyostrzony słuch i napięcie nerwowe doszły do zenitu. Wskuchiwałem się w zlewające się wybuchy w jeden nieustający grzmot, oczy miałem zamknięte... i tak trwałem dłuższy czas, powoli zapadając w stan półsnu!

Ocknąłem się po pewnym czasie, chwytając wyostrzonym słuchem jakąś dziwną arytmieję uderzających pocisków w schron. Powoli zacząłem rozróżniać już nawet pojedyncze uderzenia, stopniowo jakby tracąc swoją intensywność i siłę. Ilość głuchych uderzeń w ściany i sufit schronu zaczęła stopniowo maleć, wybuchy pocisków, ich natężenie ~~xxxxp~~ niepostrzeżenie zmieniać, ~~dużo~~ odgłosów, przechodzić z nagła w trzask pojedynczych, dobrze słyszalnych, ale oddalających się wybuchów; podobny odgłos słyszałem na asfalcie pomiędzy Straszynem a Maćkowem, w czasie kiedy byliśmy ostrzeliwani pociskami w czasie jazdy końmi - kiedy pociski zaczęły iść górą i przenosić się na dalsze, bardziej odległe cele! Czyżby i teraz artylerzyści radzieccy zmienili celowniki i zaczęli ostrzeliwać teren leżący poza naszym schronem, położony bardziej na wschód!?

Po jakimś czasie ostrzał artyleryjski ~~z~~ osłabł, wyraźnie zacząłem odróżniać pojedyncze rozrywające się pociski, które rzadko już uderzały w ścianę bunkra, przenosząc się dalej i wyżej. Był już przedświt, otwór nad przedsionkiem stał się wyraźniejszy. Noc miała się ku końcowi.

Był to 3 lub 4 kwiecień 1945 roku. Rankiem tego dnia ostrzał artyleryjski ~~z~~ tego odcinka lasu, gdzie przebywaliśmy zamurowani w bunkrze, wreszcie osłabł do tego stopnia, że mogliśmy rozsunać zawałone przejście i wyjrzeć na świat boży. Siedząc i leżąc naprzemian na swoim barłogu najbliższej wyjścia, ośmieliłem się pierwszy ostrożnie wysunąć głowę przez wygrzebany otwór. Ostrzał trwał nadal ale pociski szybowały gdzieś dalej, spadając i eksplodując po prawej stronie tam, gdzie kończył się las nad przepływem Wisły do Zatoki. Echo eksplozji spadających w tej stronie pocisków dochodziło z pewnym opóźnieniem od gwizdu szybujących nad naszym

schronem pocisków, które było wyraźnie słychać nad głowami. Od czasu do czasu jakiś zabłąkany pocisk uderzał to tu, to tam wyrzucając w górę tumany kurzu i fontanny piasku, pomieszane z pociętymi na drzazgi gałęziami sosen.

Las wyglądał strasznie! Właściwie to nie był już las; sterczały w niebo same, okaleczone okropnie kikuty, odartych z gałęzi i kory pni sosen, po których spływała dużymi kroplami, łącząc się w cieniutkie strużki złocista żywica, stygnąca u dołu pnia w duże grudy widoczne z daleka.

Pod kikutami stojących pni leżały pocięte na miazgę całe korony czuby sosen, kupy zmierzwiłej kory, osypane z wierzchu igliwem, piaskiem i białymi wiórami z pociętych pni. Zupełnie bezbronne drzewa, wystawione na straszliwą, niszczącą siłę eksplodujących pocisków zostały dosłownie skoszone; bezładnie rozrzucony tabor samochodowy i konny prawie już nie istniał. Pozostały z niego jakieś bezkształtne kupy, porozrzucane na wszystkie strony, pokryte ~~polimerymi~~ wierzchołkami strąconych z góry czubków sosen.

Wydostałem się z trudem przez wąski przedsionek schronu nazewnątrz. Dopiero teraz można było ocenić dzieło zniszczenia, dokonane przez radzieckich artylerzystów w nieszczęsnym lesie! Czyste niebo widać było na wszystkie strony poprzez sterczące kikuty sosen. Wspaniałe zielony baldachim sosnowy już nie istniał! Leżał tu, pod moimi stopami pocięty zupełnie na miazgę. Wszędzie, jak okiem sięgnąć widać było poraniony straszliwie, młody, piękny las. Stałem zdrętwiały, nie mogąc oczu oderwać od tego okropnego widoku; wszędzie naokoło widok był podobny: ścięte, leżące na ziemi wierzchołki sosen, sterczące, poszarpane kikuty pni, cieknąca żywica wzdłuż rozszczepionych szczelin i drzazg, poryta pociskami ziemia!

Rzadko wystrzeliwane jeszcze pociski szybowały teraz' wysoko. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że długotrwały, nocny pojedynek artyleryjski był prowadzony z obu stron; huk wystrzałów i szumy pocisków można było obecnie usłyszeć od strony wschodniej za środkowym przepływem Wisły. Rzadkie stada pocisków furkotały w górze spadając na ziemię na południowej krawędzi lasu, gdzie najpewniej przebiegała linia wojsk radzieckich. Ostrożnie badałem sytuację, nie wychodząc dalej od bunkra. Wokół wejścia, na bocznych ściarkach i grzbiecie schronu leżały przetrącone pnie sosen, gałęzie, zmierzwiłone runo leśne pomieszane z rudawą ziemią.

~~Falując naokoło~~ zdałem sobie sprawę, że ściana bunkra była częściowo chroniona przez gęsty drzewostan, którego potrzaskane resztki leżały właśnie na nasypie schronu, niejako wzmacniając sufit i amortyzując uderzenia pocisków. Mieliśmy widać dużo szczęścia tej strasznej nocy!

Część mieszkańców schronu odważyła się wysunąć na dwór. Straszny obraz zaszokował wszystkich. W milczeniu, stojąc pod kikutami drzew, oglądaliśmy to dzieło zniszczenia, nie mogąc przemówić ani słowa do siebie!

W czasie wcześniejszej kładki po lesie, zaopatrzyliśmy się w solidne żołnierskie plecaki, porzucone przez właścicieli. Wymieniłem także sfatygowane drewniane klumy na okute, mocne buty, dwie pary. Jedną parę obułem natychmiast, a drugą włożyłem do plecaka na ewentualny żelazny zapas. Oprócz tego miałem także nowy ręcznik, mydło, maszynkę do golenia, pędzelek, który otrzymałem w darze od Anglika "Trekefirera" za tytoń, którego nie używałem; miałem tam także kawałki chleba i jakąś konserwę.

Wszystkie te zapasy musiałem obecnie trzymać przy sobie w plecaku, a plecak służył za poduszkę w czasie leżenia w bunkrze. Spodziewając się rychłej zmiany i nadejścia radzieckich wojsk, musiałem więc pamiętać o plecaku, a przede wszystkim o zapasach żywności, ponieważ prawie od dwu dni nic nie jadłem ani nie piłem wody.

Trzeba było zakrzętnąć się wokół przyrządzenia posiłku dla całej grupy, wykorzystując przerwę w ostrzale artyleryjskim. Po chwili zaroilo się przed schronem. Ktoś rozpałił ognisko, inni poszukali garnek, przezornie ukryty w schronie, znalazła się też woda. Największą niespodzianką było schwytanie przez kogoś z chłopców żywego prosiaka, który jakimś cudem uchował się w jakiejś norze, i zgłodniały zaczął pokwikiwać pod zwałami pociętych przez pociiski gałęzi! To była sensacja, prawdziwy dar boży w tej sytuacji! Biedny prosiak poszedł wkrótce pod nóż, a później na rożno nad ogniskiem. Oczywiście, że wcale nie miałem żadnej ochoty na takie śniadanie. Po takiej nocy byłem zupełnie wyczerpany i osłabiony krańcowo odczuwając zupełny brak apetytu. Odwróciłem się ze wstrętem od widoku skwierczącego prosiaka, obracanego przez kolegów na kiju.

Zawsze byłem wrażliwy na piękno przyrody, zachwycałem się starym drzewostanem obszarów parkowych, chodziłem po kostopolskim lesie w pobliżu miasteczka, przemierzałem urocze jego zakątki rozciągające się nad rzeką, nabożnie oglądałem stare, potężne okazy wiekowych dębów na ojcowskiej ziemi, pasjonowałem się uroczyskami, położonymi wokół Janowej Doliny.

Dlatego też bardzo boleśnie przeżywałem straszliwe spustoszenia nadmorskiego, pięknego sosnowego lasu nad Zatoką Gdańską. Zdażyłem się już przyzwyczać do spokojnych, cichych poszumów i rozhworów wśród gałęzi szpilkowych czynionych przez zachodni wiatr, skrzywienia pokręconych pni i świergotu wczesnych ptaków wiosennych zlatujących się do lasu i przystępujących do budowy gniazd.

Odczuwałem dziką pretensję naprzód do Niemców, którzy pierwsi zaczęli niszczyć las, ścinając go na budowę bunkrów, ~~schronów~~ i okopów, a potem nienawiść skierowała się na barbarzyńskich, moim ówczesnym skromnym zdaniem, artylerzystów radzieckich, którzy dokładnie dopełnili tego dzieła zniszczenia, graniczącej prawie ze zbrodnią! Nie obchodziło mnie już nawet to, że dzięki tym belkom sosnowym, użytym na budowę schronu ocalałem, jak

również i wielu moich współtowarzyszy niemieckiej niewoli, przebywających w lesie na tej "wyspie Robinsona". Natrętna myśl o zniszczonym lesie nad Zatoką Gdańską zaczęła mnie odtąd prześladować równie mocno, jak obraz ranionego Francuza przy wejściu do schronu.

Wkrótce wysunęły się ze schronu dziewczęta i zabrały się żywo do pomocy przy oprawianiu prosiaka, gotowaniu wody. Inni podsycali ogień, łamali gałęzie, szli za potrzebą na tył bunkra, nie oddalając się zbyt daleko. Pojedyncze pociski, wystrzeliwane obecnie od strony północno-wschodniej z pozycji niemieckich oddziałów, ukrytych na drugiej wyspie Mierzei Wiślanej, mogły przypadkowo dosięgnąć nas, krzątających się przy schronie, należało się mieć na baczności!

Obchodziłem powoli nasze obozowisko zataczając coraz dalsze kręgi od wejścia, przy którym dymiło ognisko. Zapuszczałem wzrok w głąbinę powalonego i zmaltretowanego lasu. Mało co było widać - wszędzie zwisały smętne resztki gałęzi, ścięte wierzchołki drzew, niektóre pnie młodszych sosen były przebite na wylot odłamkami szrapneli, powalone pnie nie pozwalały widzieć na dalszą odległość niż około kilkadziesiąt metrów od miejsca z którego obserwowałem teren!

Trzaski pękających pocisków zaczęły powoli zupełnie zamierać jak od południa, tak i z północnej strony. Powietrze pełne było zapachu żywicy i prochowego dymu oraz z tłącej się gdzieś leśnej ściółki przywalonej świeżym igliwem i gałęziami. Tylko od strony Zatoki zaczął powstawać słaby wiatr, niosący ze sobą zapach wody morskiej. Z lubością wdychałem ten orzeźwiający zapach, uspokajający rozdygotane nerwy, chłodzący policzki, napełniający płuca rześwym smakiem usuwając z organizmu zatęchłe powietrze schronu. Obecnie Zatoka była cicha, nie dobiegały stamtąd grzmoty wystrzałów artylerii okrętowej ani rozrywających się bomb ciskanych na okręty, których już widocznie nie było na przybrzeżnych wodach. Słońce zaczęło wznosić się ponad krawędzią widnokregu.

Właśnie miałem zamiar cofnąć się z powrotem w stronę schronu po skończonej uważnej lustracji głąbiny leśnej, rzucając jeszcze spojrzeniem na kupę zwalonych gałęzi od strony południowej, gdy nagle z kupy tej wygrzebał się jakiś mały człowieczek i, nisko schylony, trzymając w ręku jakiś podłużny czarny przedmiot zaczął posuwać się w moją stronę przeskakując zwinnie pnie powalonych sosen, kupy gałęzi i małe wykroty leśne.

Po chwili zniknął mi zupełnie z oczu w zwałach zielonej gąstwiny zaścielającej ziemię. Zdawało mi się w pewnym momencie, że tuż obok pojawił się drugi, a potem trzeci. Postacie te raz ukazywały się, raz ginęły na tle ściętych pni i gałęzi, zbliżając się coraz bardziej w kierunku naszego schronu, gdzie tymczasem dziewczęta i chłopcy krzątali się bez troski przy ognisku szykując posiłek dla wszystkich; dym wijący się strugą z palącego się ogniska, postacie dziewcząt i chłopców były widoczne z daleka, nie wzbudzając widocznie żadnego podejrzenia, skradają-

cym się ku nim postaciom z głębi lasu. Po chwili zniknęły one zupełnie z moich oczu zapadając się jakby pod ziemię. Sądziłem, że to jacyś cywile, podobnie jak my, powyłazili z kryjówek i szukają wody lub pożywienia. Uspokojony zawróciłem w kierunku schronu. . .

Kilka uzbrojonych postaci w zielonych furazerkach z czerwonymi pięcioramiennymi gwiazdkami, obwieszonych małymi gałązkami sosen, wychynęło nagle tuż obok mnie z prawej i lewej strony, podnosząc się z kupy połamanych gałęzi i wysuwając w moim kierunku lufy "pepesz" - pistoletów maszynowych z pękatym magazynkiem na pociski. Zbaraniałem zupełnie!

W pierwszej chwili zatkało mnie **kompletnie**, nie wiedziałem co ze sobą robić, w pierwszym odruchu obróciwszy głowę, spojrzałem w kierunku grupy krzątającej się przed bunkrem, chcąc krzyknąć do nich o tym niesłychanym odkryciu ale!.. również i tam, tuż obok schronu pojawili się również tacy sami żołnierze uzbrojeni w "pepesze", którzy podobnie jak tutaj, zupełnie niespodziewanie wypełzli z zielonej gęstwiny leżących na ziemi ~~połamanych~~ gałęzi!!!

Byli to szperacze-zwiadowcy radzieccy, którzy najpewniej wysłani przez swoich dowódców, po zakończeniu kanonady artyleryjskiej, dla wybadania terenu przed linią frontu, natknęli się na nasze obozowisko położone w zbombardowanym pociskami lesie.

"Ruki w wierzch"!.. Posłusznie podniosłem nieco w górę ręce. Żołnierz wprawnie przesunął rękami po ~~moich~~ biodrach. Trzymając pistolet jedną ręką, drugą machnął w kierunku schronu - "Eto kto"? - "Swoi"! "Polacy, Ukraińcy" - nie zdążyłem więcej nic powiedzieć; nagła fala ciepłej krwi uderzyła mi nagle do głowy. Wyciągnąłem odruchowo obie ręce do "bojca" i, ściskając z wybuchem wdzięczności jego wolną rękę, zacząłem powtarzać w kółko: "Spasibo, towariszcz, spasibo! - nie mogąc w tym momencie nic innego wykrztusić ze ściśniętego gardła... "Spasibo"! Lufa "pepeszy" uniosła się w górę, oczy zwężone czujnie i podejrzliwie, lustrujące moją postać nagle rozwarły się szerzej, błysnęło w nim jakieś światełko... .

Twarz, poprzednio ostra i jakby stężała w wysiłku nagle się rozpozodziła i rozlała w szerokim, przyjaznym uśmiechu: "Aa, eto swoi, Polaki, gawarisz"? "Nu posmotrim"! - ruszył naprzód w kierunku grupy dziewcząt, przy których stali już inni żołnierze, zapominając zupełnie o zwykłej czujności czy baczności, tak charakterystycznej dla żołnierza-zwiadowcy.

Pierwsza, niesłychanie impulsywnie, zareagowała Lidia dążąc na spotkanie radzieckich żołnierzy. Szeroko rozłożyła ręce ruszając od ogniska w kierunku pierwszego "bojca". Złapała go kurczowo i zaczęła konwulsyjnie przyciskać do siebie, całując po czole, policzkach, ustach - nie mogąc się od niego oderwać przez dłuższy czas. Za chwilę zjawiła się, przykryta jakąś chustką matka Simy razem z Olgą, obok przeskakiwała jakiś leżący pień rozpadzona Sima, dążąca do grupy ludzi stojących przed

schronem. Z szybkiego biegu dostała ceglanych wypieków na policzkach. Złapałem ją za rękę i podprowadziłem do żołnierzy, którzy kołem otoczyli całą naszą grupę z "budy" z Arciszewa - wszyscy żyli, byli cali i zdrowi. Koszmar ostatniej nocy był już za nami!

A oto co pisze na temat walk i zdobycia Gdańska przez armie radzieckie Zbigniew Flisowski w swej pracy pt. "Pomorze - reportaż z pola walki" /MON, W-wa 1979 r./

- "Gdy 19 armia wraz z brygadą pancerną zdobywała Gdynię, cztery armie w tych dniach marcowych otaczały Gdańsk. W niesłychanie krwawych bojach armie 65, 2 uderzeniowa, 49 i 70 zacieśniały ognisty pierścień wokół miasta. Broniony przeszkodami naturalnymi i od południa, otoczony kilkoma liniami obronnymi, ufortyfikowany na bliskich przedpolach i przygotowany przez hitlerowców do walk ulicznych - Gdańsk oczekiwał swego przeznaczenia. W dniu 17 marca 1945 roku było w nim, według pobieżnych obliczeń, około miliona ludzi...

...Ludność miasta, wymieszana z uciekinierami, tracąc z każdym dniem ducha, przerażona nadciąganiem końca epoki, przestała wierzyć prawdom oficjalnym. Zresztą już... na wzgórza / od zachodu / Rosjanie ściągnęli swą ciężką artylerię. Nauczylismy się wkrótce rozróżniać głos jej granatów od gwizdu ciężkiej artylerii okrętowej bijącej z morza. Miasto bez przerwy leżało pod ostrzałem... Nad Gdańskiem wznosiła się ściana dymu i ognia sięgająca wysokości / prawie / 4.000 - 5.000 metrów.

24 marca lotnictwo radzieckie wykonało na Gdańsk potężny nalot dzienny. W portu trafione zostały i wyleciały w powietrze dwa statki z amunicją; kanał portowy był już prawie zablokowany i nie nadawał się właściwie do użytku. Groźne wiadomości napływały ze wszystkich stron. Wśród uciekinierów z Prus Wschodnich, wyghanych propagandą Göbbelsa i Kocha, mnożyły się samobójstwa - na statek trudniej było się dostać niż biblijnemu wielbłądowi przejść przez ucho igielne. Szerzyły się wieści o niepojętej katastrofie oddziałów pancernych na lodach Zalewu Wiślanego. / Podobno / cała dywizja pancerna miała znaleźć mokry i zimny grób na jego dnie... Najszczęśliwsi byli ci, którym udało się wydostać z Gdańska drogą powietrzną z nie zbombardowanego jeszcze lotniska / we Wrzeszczu, po niemiecku Langfuhr - S.K. / . Rosjanie 19 marca zniszczyli potężnym nalotem resztki niemieckiego lotniska. 24 marca 45 roku cały Gdańsk wiedział już o ultimatum Rokossowskiego, zmierzającym do położenia kresu walce. / Kilka / milionów ulotek spłynęło z chmur na miasto i port, ze słowami o twardej rzeczywistości:

- "Żelazny pierścień mych wojsk coraz ciśniej zamyka się wokół was. Dalszy opór w tych warunkach jest bezsensowny i doprowadzi jedynie do śmierci waszej i setek tysięcy kobiet, dzieci i starców..."

... Hitler, powiadomiony o ultimatum Rokossowskiego i rozżwścieczony nim, tej samej nocy przetelegrafował do generała Spechta/z-ca Weissa/odpowiedź. Depesza zaczynała się od słów "Jeden Quadratmeter des Raumes von Danzig soll verteidigt werden..." - Każdy metr powierzchni Gdańska ma być broniony z determinacją".

Niełatwo było czytać te słowa generałowi Spechtowi, który myślał kategoriami wojskowymi: był zwolennikiem oddania miasta i wycofania wojsk garnizonu gdańskiego - tego wszystkiego, co zostało z pięciu korpusów 2 armii - na teren delty Wisły, gdzie warunki naturalne, możliwość dokonania sztucznego zalania przedpola, dawały pewną szansę przetrwania.

Nie była to głupia kalkulacja, jeśli się zważy ciężar gatunkowy tych /około/ 50:000 doświadczonych żołnierzy, którzy mu jeszcze zostali z pięciu korpusów. Generał Specht odczuwał ciężar sytuacji podwójnie, ponieważ jego własne stanowisko dowodzenia przeniesione zostało w dniu 18 marca 45 roku z terenu dzisiejszego szpitala w Redłowie na cypel helski.

Z Helu widać było nad Gdańskiem orgię chmur dymu i odblasków ognia - - dobiegały stamtąd potężne grzmoty i dudnienia: Niemcy odrzucili pod naciskiem Hitlera propozycję przerwania przelewu krwi, i oto przyjęli wariant grozy, zniszczenia i śmierci..." "Teraz stary Gdańsk, owoc pracy wieków, dziesiątków pokoleń, był wielkim płomieniem!

Płonął na tle wieczornego nieba stary Żuraw Gdański, jeden z symboli miasta, gorzała Zielona Brama królom na gościnę przeznaczona, padły naxxxx bruk dumne szczyty mieszczkańskich domów; gorzały kościoły ze skarbami sztuki. W Dworze Arthusa, w którym przy akompaniamencie grzmotów, rozgrywały się sceny wzięte jakby z Ostatnich Dni Pompei, jeszcze trzymały się ostrołukowe kraty w oknach, jeszcze płonęły świece w piwnicach. W dniu 28 marca 45 roku w stronę Dworu Arthusa przedzierać się pocznie przez płonące miasto oddział żołnierzy w rogatywkach zielonych, których poprzednicy ostatni raz maszerowali po gdańskim bruku przed stu trzydziestu ośmiu laty..."

- "Gdańsk tkwił w zaciskających się kleszczach czterech radzieckich armii: 7o i gros 49 przełamawszy się ku morzu pod Sopotem dokonały główną masą swych wojsk zwrotu w prawo i poczęły kruszyć niemiecką obronę od północy i północnego zachodu. 65 armia generała Pawła Batowa i 2 uderzeniowa generała Iwana Fiedunińskiego przedzierały się ku miastu w trudnym, pociętym terenie - od południa i południowego zachodu. Wraz z 65 armią nacierał 1 korpus pancerny generała Panowa, pomagając wysforować się tej armii przed obie sąsiednie.

Front kurczył się coraz bardziej i jeśli na początku operacji linia jego liczyła dla wojsk Rokossowskiego 240 km, a tuż przed rozcięciem przyczółka niemieckiego pod Sopotem - 60 km, to teraz pod Gdańskiem zmalała do 20 - 30. Dokonywała się więc równoległe niesłychana kompresja

środków walki, która swój szczyt osiągnie w bojach o samo miasto. Zwłaszcza kilkakrotny wzrost nasycenia frontu artylerią obezwładniał nieprzyjaciela i łamał jego ducha... Dowódca 2 Frontu Białoruskiego, z chwilą wyjścia 65 armii i 2 uderzeniowej w rejon przedmieść Gdańska / od strony Starogardu Gdańskiego i Skarszew i Straszyna, dop.S.K./, przydzielił wszystkim czterem armiom nowe pasy natarcia: ustalono nowe linie rozgraniczenia i zreorganizowano tyły. Ustanowiono generalny zakaz wprowadzania jednostek tyłowych do miasta, a zwłaszcza transportu, i przydzielono głównym siłom artyleryjskim stałe rejony ześrodkowania, niemal stałe pozycje ogniowe, z których artylerzyści mieli wspierać natarcie wojsk. Resztę dział przydzielono jako bezpośrednie wsparcie walczącej piechocie do strzelania na wprost.

Wykorzystując doświadczenia walk o wielkie miasta, przede wszystkim o Poznań, w dywizjach stworzono silne grupy szturmowe. Generał Paweł Batow opowiada: "Szturm Gdańska w marcu 1945 roku był działaniem trudnym, skomplikowanym, stawiającym nowe wymagania przed wojskami, którymi dowodziłem. Czołową rolę odgrywały w nim oddziały szturmowe, z których każdy składał się z pododdziału piechoty, wspartego 3-5 czołgami, artylerią i pododdziałem saperów. Musieliśmy wszyscy, począwszy od dowódców batalionów, pułków, a na dowódcach dywizji i wreszcie na mnie samym skończywszy, być blisko oddziałów szturmowych, nieustannie kierować ich walką.

Piętrzyły się przed nami przeszkody naturalne i sztuczne - Gdańsk porznięty jest przecież siecią kanałów, większość mostów była pozrywana, ale w jednym miejscu nasi żołnierze zdołali uchwycić na swoim odcinku most na Martwej Wiśle, zanim Niemcy zdążyli go wysadzić w powietrze, i to bardzo ułatwiło nam manewrowanie wojskami podczas walki.

Ogromną przeszkodą był walający się wszędzie, porozbijany niemiecki ciężki sprzęt: samochody, działa, czołgi, transporterzy. W Stogach / po niemiecku Heubude, dop.S.K./, na skutek naszych bombardowań, utworzyły się dosłownie zapory z rozbitego sprzętu, sięgające piętrowych wysokości!".

W tych czterech marcowych dniach od 22 do 26 drogi stały się pyliste, ale mimo kurzawy, wznoszonej przez tysiące samochodów i wozów pancernych - nad całym polem walki górowała ogromna kurtyna dymów płonącego Gdańska. Wisła w tych dniach szeroko rozlała... Mosty pontonowe zbudowane dla podwożenia oddziałów i zapasów ze wschodniego brzegu rzeki rozerwały fale i poniosły; niektórym jednostkom artyleryjskim zaczęło brakować pocisków...

A z morza biła niemiecka artyleria dalekiego wsparcia - setki luf okrętów wojennych. Generał P. Batow pisze: "Obliczaliśmy, że w Zatoce Gdańskiej znajduje się około 150 jednostek "Kriegsmarine". Biły do nas

z morza setki dział, Znaczna ich część posiadała przewagę donośności. Niemcy np. strzelali do nas ze swoich ciężkich okrętów / pancernika Lützow, krążownika Prinz Eugen, kanonierki Nienburg, niszczycieli Z-31, Z-34, krążownika Leipzig i in. dop. S.K. / z morza, już z odległości około 30 - 35 kilometrów, podczas gdy my mogliśmy ich osiągnąć z naszych dział na 20 - 22 km. W czasie tego ostrzału zginęło wielu dowódców radzieckich na linii frontu jak również w sztabach poszczególnych dywizji i pułków."

Właśnie żołnierze 65 armii uchwycili w zaciętych zmaganiach forty i wzgórze zwane "Biskupią Górką", na której niemiecki dowódca obrony miasta miał węzeł łączności - stąd niemieccy obserwatorzy mieli wgląd w ugrupowanie nacierających oddziałów 65 armii i 2 uderzeniowej. "Gdy nasze szturmowe grupy zdobyły Biskupią Górkę, wypierając po krwawych walkach Niemców - pisze generał Paweł Batow - przeniosłem tutaj swój punkt dowodzenia. Zobaczyłem wówczas, jak na dłoni, port, morze ze strzelającymi niemieckimi okrętami. Pozbawiliśmy nareszcie Niemców oczu i sami je zyskaliśmy!"

Po silnym przygotowaniu artyleryjskim rozpoczyna się we wtorek 27 marca szturm miasta. Od północnego zachodu i zachodu atakowały od wyłomu w Sopocie 49 i 70 armia, które główną masą swych sił dokonały zwrotu w prawo, w kierunku na Gdańsk przez Oliwę, Wrzeszcz do śródmieścia, i tam łamały zaciekłą obronę niemiecką. Od południowego zachodu i południa 65 armia generała P. Batowa i 2 uderzeniowa gen. Fiedunińskiego z kierunku Kościerzyny, Skarszew, Tczewa, włączyły się do centrum aby po kilku dniach zaciekłego szturm, połączyć się w okolicach Dworca Głównego a następnie skierować się frontem do Martwej Wisły i przekroczywszy ją na całej długości, opanować wreszcie wyspę od przepływu Wisły do Zatoki aż po cypel Westerplatte po zachodniej jej stronie."

Kiedy po upływie około jednego miesiąca od chwili uwolnienia oraz wielu perypetiach losowych, ponownie zjawiłem się na obszarze niesłychanie zaciętych walk pomiędzy resztkami hitlerowskich armii a wojskami radzieckimi, nie przypuszczałem zupełnie, że trafię znowu w sam środek operacji kapitulacyjnych zamkniętych armii niemieckich na Wybrzeżu.

Trzymane one były w szachu, przyparte częściowo na półwyspie Helskim, oraz na Mierzei Wiślanej przez armie generała P. Batowa i część armii 3 Frontu Białoruskiego. Towarowe pociągi z polską obsługą kursowały już od czasu do czasu pomiędzy Tczewem a Gdynią. Zjawiwszy się ponownie na Wybrzeżu, miałem jeden narazie cel - odszukać rodzinę i gniazdo Detlawów we wsi Gnieźdźwie. Dobrze pamiętałem ich przyjaźń i pomoc udzielaną szczególnie przez starą Detlawową, w czasie kiedy najbardziej tego potrzebowałem. Szedłem więc naprzód po szosie prowadzącej z Gdyni do Pucka, po wyjściu z pociągu badając od czasu do czasu jakąś starą mapę,

którą wygrzebałem w jakimś rozbitym samochodzie, obejmującą swym zasięgiem całe wybrzeże Zatoki Gdańskiej. Pogoda była wspaniała a słońce nie skąpiło swych ciepłych promieni wiosennych. Była to moja pierwsza wiosna wolności!

Dobroć i ciepło duszy pamięta się długo, to przede wszystkim było w tym okresie najważniejszym motorem kierującym moje kroki w kierunku Gnieźdźewa, gdzie według moich przewidywań powinni się obecnie znajdować moi współtowarzysze niedoli okupacyjnej z Arciszewa - Detlawowie.

Adres ten dobrze zapamiętałem. W rozmowie ze starym Detlawem i jego żoną, wysłuchiwałem bardzo często ich tęsknych wspomnień za utraconym rajem domowym, którego byli współtwórcami. Kochali bardzo swe dzieci, których mieli bardzo dużo. Wojna i okupacja hitlerowska przyniosła im, jak milionom Polaków, wiele nieszczęść i goryczy. Zerwanie pęt okupacji hitlerowskiej przeżyli napewno równie głęboko jak ja, a także wielu, bardzo wielu innych, zapędzonych do niewolniczej pracy dla rasy panów na zagrabionych ziemiach. Znając na tych ziemiach ten jedyny adres, śpieszyłem więc do Gnieźdźewa, na spotkanie nowej przygody, pokonując po drodze wiele zupełnie nieprzewidzianych przeszkód po drodze.

Niosłem w plecaku, wyszukanym jeszcze w lesie nad Zatoką cały swój skromny dobytek kawalerski, ~~Zapasową~~ parę bielizny, trochę żywności, skądziany scyzoryk i żołnierski ekwipunek do jedzenia: składany widelec - łyżkę z aluminium, menażkę z nakrywką, blaszankę na wodę ... i wiele śmiałych planów i zamysłów w głowie, które były wówczas niesłychanie dla mnie ważne i cenne.

Na drodze, po której maszerowałem w ten wiosenny poranek z Gdyni do Redy i Pucka pełno było świeżych śladów zacieklonych walk stoczonych tu niespełna przed miesiącem przez pancerne wojska radzieckie i Brygadę Pancerną WP im. Westerplatte. Że taka Brygada tutaj walczyła, nie miałem wtedy jeszcze zielonego nawet pojęcia. Trzeba było wiele lat poczekać, aby dopiero można było to stwierdzić, idąc po tych krwawych śladach.

Droga z Gdyni do Redy to było istne cmentarzysko rozbitych czołgów, dział, transporterów opancerzonych, samochodów i innego sprzętu wojennego. Pełno było pustych mosiężnych łusek po wystrzelonych pociskach z dział czołgowych, porzucone drewniane opakowania po amunicji armatniej. Były to skrzynki plecione częściowo z wikliny, mocne i lekkie.

Tuż przed Redą spotkała mnie niespodzianka. Trafiłem na ogromne kolumny jeńców niemieckich, konwojowane przez żołnierzy radzieckich. Szli czwórkami, dziarskim krokiem, gęby dobrze odżywione, czerwone na policzkach, maszerowali równo grzmocąc okutymi buciorami po szosie, noga w nogę ~~na~~ na jakiejś defiladzie. Stałem z boku szosy długi czas, niby na przeglądzie wojsk, podziwiając ich kondycję, umundurowanie i równy krok. Szedłem "pod prąd" bardzo długo, wiele kilometrów, a nowe kolumny wyłaniały się wciąż bez końca z perspektywy drogi. Było ich chyba z kilkadzie-

siąt tysięcy! Później dopiero dowiedziałem się od przygodnie spotkanych Polaków, że były to wojska niemieckie, które właśnie w tym dniu kapitulowały na półwyspie Helskim.

Na końcu konwoju jeńców dopiero spostrzegłem dużą ilość żołnierzy-maruderów odstających od głównych kolumn. Byli to chorzy, pólinwalidzi, kroczyli powoli z wysileniem, prawie zgarbieni, niektórzy mieli poszarżę twarze a mundury po prostu wyglądały niechlujnie. Na samym końcu jechało kilkaset podwód z bagażem żołnierskich plecaków otoczonych przez radzieckich konwojentów uzbrojonych w "papesze" i długie karabiny z bagnietami na końcu.

W centrum Redy na skrzyżowaniu dróg, wzmocniony posterunek radziecki długo badał moje polskie papiery, w które byłem zaopatrzony przez polskie władze, zanim zdecydował mnie przepuścić w dalszą drogę. Wciąż mijalem oddziały niemieckie konwojowane przez Rosjan drogą prowadzącą do Pucka, wysadzaną wiekowymi drzewami liściastymi. Nie wiedziałem, że wkrótce będę oglądał własnymi oczami miejsce niesłychanie zaciętych walk na półwyspie w okolicy wsi Chałupy i Kuźnice, gdzie przebiegała linia frontu.

Bardzo szybko znalazłem zagrodę Detlawów a w niej starego Detlawa i jego żonę oraz Edmunda, Irenę i Władka. Brakło Józefa, Konrada. Do dzisiaj nie wiem co się z nimi stało. Starzy przyjęli mnie tak jak własnego syna. Trudno mi obecnie opisywać serdeczność i ciepło z jakim mnie wówczas przyjęto!

Kilka dni odpoczywałem pomagając jednocześnie w pracy w gospodarstwie. Był to akurat okres spóźnionego sadzenia kartofli. Woziliśmy z Edmudem gnój na pole, roztrzaskaliśmy razem z Ireną, a później zdążyłem jeszcze pomóc przy sadzeniu. Wkrótce stary Detlaw zaproponował mi pracę na kolei w Pucku, gdzie przyjmowano każdą ilość rąk do pracy przy odbudowie linii kolejowej zniszczonej na bardzo znacznej długości w okolicy Pucka, Władysławowa, Chałup, Kuźnic aż do Jastarni i Helu.

Przystąpiłem na to z miejsca, ponieważ miałem w tym czasie swoje skromne plany dalszego jednoczesnego kształcenia się dalej. Bardzo szybko Detlaw zapoznał mnie z niejaką panią Kopaczewską mieszkającą w Pucku jeszcze przed 1939 rokiem. Mąż jej był na Zachodzie, prawdopodobnie w Anglii, służąc w armii polskiej w stopniu oficerskim. Właśnie to ona natchnęła mnie do dalszego kształcenia zaocznego, kontaktując z miejscowym kierownikiem organizującego się liceum dla dorosłych, a jednocześnie pracujących. Był to stary, kulawy dziadek, świeżo przybyły do domu z jakiegoś lagru hitlerowskiego. Natychmiast wciągnął mnie do swego kajuety, jako któregoś tam z rzędu, chętnego do nauki w liceum w Pucku. Nawiasem mówiąc, było to wszystko pisane palcem na wodzie. Czas biegł szybko, a wydarzenia biegły swoim torem. Przede wszystkim zacząłem pracę

na kolei w charakterze robotnika torowego, czyli zacząłem od "A" w tej kolejowej specjalności, ponieważ pracę na kolei znałem jedynie od strony dość częstego jej użytkownika, jako pasażer pociągu pasażerskiego jeżdżąc do gimnazjum w Równem na Wołyniu.

Kilka tygodni wcześniej, po zakończeniu działań wojennych, ekipa remontowa PKP z Pucka rozpoczęła naprawę odcinka kolei prowadzącej na półwysep. Kiedy przybyłem tam wraz z innymi specjalnym pociągiem roboczym w okolicy wsi Chałupy, przedstawił mi się iście księżycowy krajobraz. Cały teren, jak okiem sięgnąć był pokryty bombami i pociskami. Tor kolejowy jako taki nie istniał. Nasyp kolejowy biegł dawniej pośród młodego lasu szpilkowego. Obecnie również i las istniał ale tylko chyba z nazwy i wyobraźni patrzącego. Był on gruntownie zniszczony, jeszcze gorzej niż tam, na wyspie, gdzie przeżyłem swój najgorszy okres młodzieńczego życia.

Pomiędzy Władysławowem a Chałupami, tuż u nasady Mierzei Helskiej widać było potężny rów napełniony wodą. Stanowił on sztuczną przeszkodę dla atakujących oddziałów radzieckich. Rów ten wykonany był przy pomocy ogromnej ilości i mocy ładunków dynamitu. Brzegi rowu były poszarpane i nierówne, sterczały z krawędzi pnie sosen, gdyż biegł on lasem w poprzek całego półwyspu. Skarpą półwyspu od strony Zatoki Puckiej, aż na drugą stronę do pełnego morza, biegły zagzakovate rowy strzeleckie, przerywane wkopanymi bunkrami drewniano-ziemnymi. Poszły na ten cel wszystkie pnie drzewne, zabudowania i domy wsi Chałupy. Ściany bunkrów i rowów obłożone były drzwiami, okiennicami, sztachetami, deskami wyrwanymi z podłóg chałup rybackich, krokwiemi, kawałkami blachy.

W bunkrach i rowach łącznikowych, okopach i szczelinach pełno było amunicji, "pancerfaustów", połamanych karabinów, zniszczonych automatów, pistoletów maszynowych, zardzewiałych granatów z trzonkami drewnianymi, gnijącej żywności - konserw, słoniny, mięsa, starego czerstwego chleba, śmierdzących ryb - widocznie łowionych z Zatoki, oraz naczyń kuchennych wywleczonych z zagród rybackich.

Największe wrażenie jednak budził we mnie, a jednocześnie grozę, zupełnie wypalony czołg radziecki najcięższego typu - Su152, z potężnym działem, skierowanym w głąb półwyspu. Wbił się widocznie za daleko w głąb pozycji niemieckich i tam zapewne dosięgły go uderzenia pięści pancernych - "pancerfaustów". Załoga składająca się z kilku czołgistów musiała przy tym zginąć w okropnych męczarniach, spalona żywcem. Gruby potwornie pancierz, a szczególnie płyta pancerna około 120 mm umieszczona z przodu działka pancernego wzbudzały zdumienie i podziw. Po wypaleniu się wnętrza i stalowych, ogumionych kół, ~~ba~~ przysiadł i jakby wrósł w grząski, białawy piasek, pokryty rdzą i wypaloną ściółką leśną.

W czasie przerwy obiadowej i śniadaniowej, żaziliśmy z kilku innymi chłopcami po tym okropnym pobojowisku, oglądając bunkry a szczególnie owe wypalone działo pancerne. Nie zdawaliśmy sobie w ogóle sprawy, jak niebezpiecznie było poruszać się wśród stosów amunicji, pocisków, pęków granatów, min i "pancerfaustów", zalegających każdą szczelinę.

Co prawda, niektóre odcinki toru były prowizorycznie odgradzone zawieszonym na wbitych w piasek krzywych palikach i gałęziach, zardzewiałym i porwanym drutem lub kawałkami sznurka, ale wybieraliśmy jakieś wąskie ścieżki pomiędzy drutami, docierając do rowów, szczelin i bunkrów w poszukiwaniu pozostawionej tam żywności zdatnej do spożycia, porzuconych butów, czy części garderoby lub garnków kuchennych.

Wyszukałem sobie odpowiedni czajnik do gotowania herbaty i garnek z pokrywką do pitraszenia mięsa oraz pościół słoniny, które wygrzebałem z jakiegoś schronu. Zawiozłem to później do swego mieszkanka na trzecim piętrze i jakiś czas tym się żywiłem, aż większa część zgniła zupełnie i trzeba było wyrzucić, bo śmierdziało, a lodówka w tym czasie dla mnie, to była rzecz w ogóle nieznaną.

Jeden z robotników, a widać było, że służył niedawno w Wehrmachcie, młody zupełnie chłopak, zabrany widocznie przymusowo w ostatnich miesiącach wojny z miejscowych Kaszubów, znał się dobrze na niemieckim sprzęcie. W wolnych chwilach, żaził z innymi po okopach i, wyszukawszy jakiś okaz "pancerfausta", szedł razem z gromadą innych na brzeg Zatoki, przykucał fachowo za jakimś pagórkim, strzelając w stronę morza. Ogromny huk i gejzer wody z rozszarpanymi rybami towarzyszył zawsze wybuchowi tej najnowocześniejszej broni przeciwpancernej, patentu uczonych wojskowych z kliki Hitlera, mającej zapewnić jej bliskie już zwycięstwo.

Te sporadyczne huki przypominały mi od czasu do czasu groźne chwile, które przeżywałem na przeciwległym brzegu Zatoki Gdańskiej, zaledwie kilka tygodni wstecz. W czasie codziennych dojazdów roboczych pociągiem do miejsca pracy w pobliżu Chałup i Kuźnic, zawsze spoglądałem na tamten brzeg, ale niestety nie było już z kim podzielić się swoimi uwagami i przeżyciami. Środowisko obecne było mi zupełnie obce, chociaż współpraca układała mi się nadspodziewanie dobrze i miło.

Było ciepło i panowała bezdeszczowa pogoda. Codzienne walenie kilofem przy podbijaniu podkładów kolejowych, sypanie żwiru i piasku pod szyny, równanie łopatami pobocza wyrobiły we mnie tężyznę fizyczną wzmagając apetyt i chęć do życia. Po każdym naprawieniu krótkiego odcinka torów, maszynista parowozu, na znak brygadzysty wjeżdżał ostrożnie na świeży nasyp ugniatając i równając szyny przykręcone do drewnianych podkładów. Nabrałem już wprawy przy kilku operacjach remontowych torów.

W czasie działań wojennych Mierzeja Helska była właściwie wielką wyspą, długą około 35 km a szeroką średnio 1,5 - 2 km. na całej długości porośniętą młodym lasem szpilkowym. Odcięcie od lądu ogromnym rowem

napełnionym wodą, miało niedopuszczyć atakujących Rosjan do wnętrza wyspy, na której przebywało wówczas ponad 35.000 żołnierzy i oficerów wraz z dowódcą obrony wybrzeża generałem Weissem. Część elity oficerskiej i specjalistów została ewakuowana okrętami, a reszta zmuszona została, z chwilą podpisania rozejmu poddać się do niewoli radzieckiej. To samo uczyniły oddziały Wehrmachtu stacjonujące na Mierzeji Wiślanej, wyspach w delcie Wisły, na Mierzei Kurońskiej oraz w Kurlandii, gdzie liczba żołnierzy dochodziła prawie do 1.000.000 osób.

Przyroda sama stworzyła znakomite warunki do organizowania obrony tych brzegów Bałtyku, leżących na obrzeżach Zatoki Gdańskiej i delty Wisły. Na przestrzeni dziejów piękne to wybrzeże widziało wiele zaciętych walk o dostęp do morza i opanowanie ujścia spławnej rzeki Wisły, niosącej na swych falach płody ziemi polskiej, z których sprzedaż wzrastał, bogacił się i żył dumny Gdańsk, deklarując stałą swoją niezależność i chęć pozostawania wolnym miastem. Dopiero niemiecki "Drang nach Osten" położył kres niezawisłości tej krainy, przedkładając we władanie w pruskie ręce cały obszar Zatoki Gdańskiej, łącznie ze stolicą tego regionu, Gdańskiem.

Rok 1939 i 1945 to daty, które każdy Polak pamięta i musi pamiętać. Po wrześniu 1939 roku moje życie, jak również życie wielu milionów Polaków zostało wciągnięte w tryby niszczycielskiej wojny, pozbawiając domu rodzicielskiego, szereg osób najbliższych, a nade wszystko zmuszono mnie brutalnie do opuszczenia na zawsze stron rodzinnych oraz rozłączone z rodziną i najbliższymi mi osobami. Dopiero rok 1945 ujawnił z całą wyrazistością straszliwy obraz i skutki tej barbarzyńskiej wojny, której skutki miałem możliwość dokładnie przeżyć i przez dłuższy czas oglądać u jej źródła, to jest tam, gdzie się ona zaczęła - w Zatoce Gdańskiej i tam gdzie się właśnie kończyła na moich oczach.

Tu też rozpocząłem samotnie własne życie po wyzwoleniu, miotany dziwnymi sprzecznościami, refleksjami i niedomówieniami. Pierwsze takie refleksje nasunęły mi się w Gdańsku, tuż po wyjściu z bunkrów na wyspie w Stogach, kiedy maszerując w zwartej kolumnie pod rosyjskim konwojem przez całkowicie zrujnowany Gdańsk, zobaczyłem na swej drodze, tuż obok Dworca Głównego polskich żołnierzy w rogatywkach zielonego koloru. Te niepokromione myśli i refleksje, które wówczas odczułem na widok polskiego żołnierza, przy boku czerwonoarmistów kroczących ramię w ramię, zmuszają mnie i dzisiaj do szczerego i niezłomnego ujawniania swych skryzalizowanych poglądów w sprawie ostatecznej i prawdziwej, duchowej wolności jednośki czy całych grup oraz narodów.

Mieszkając samotnie w swej klatce na trzecim piętrze w Pucku, rozsyłałem pod wszystkimi znanymi mi adresami, informacje i zawiadomienia a także prośby o możliwość skontaktowania się z rodziną, która była

rozrzucona po Europie. Kontakty się urwały z chwilą ruszenia styczniowej ofensywy wojsk radzieckich w 1945 roku obejmującej swym zasięgiem ogromne obszary od Wisły do Odry i od Karpat do wybrzeży Bałtyku i Zatok Gdańskiej.

Z chwilą sprecyzowania się położenia rodziców i rodzeństwa, którzy osiedlili się po zakończeniu działań wojennych na Dolnym Śląsku, w pobliżu Wrocławia, podjąłem natychmiastową decyzję opuszczenia Wybrzeża, z którym wiązało się tyle moich przeżyć i wspomnień osobistych, i wyjazdu do nowego gniazda, położonego w zupełnie innej geograficznie, a także o innym, cieplejszym klimacie, krainie, rozciągającej się na pięknym przedgórzu Gór Sudeckich. Ale to już jest zupełnie inna historia, którą postaram się może opowiedzieć czy opisać, o ile czas i zdrowie mi pozwolą, w innym terminie. Oczywiście dla potrzeb starszego, żyjącego jeszcze pokolenia, a także dla młodych interesujących się życiem i zmiarzem ludzi, ciężko doświadczonych przez działania ostatniej wojny światowej.

Kończąc te wspomnienia i refleksje z okresu 1943 - 1945 roku, pisanych w niemałym trudzie a rozciągniętych w czasie, mam nadzieję, że trud ten nie pójdzie na marne, i niejeden młody czytelnik w późniejszym okresie swojego życia odnajdzie tam wspólne myśli i refleksje.

Wrocław, 1987, czerwiec 28

B i b l i o g r a f i a

"Wspomnień i refleksji część II

- | | |
|---|---|
| 1. Atlas historyczny Polski | PZWK Warszawa, Wrocław 1973 r. |
| 2. Atlas historyczny świata | PZWK Warszawa, Wrocław 1974 r. |
| 3. B. Baranowski | Podr. historii średniowiecza
pod red. M. Siuchnińskiego
PZWS Warszawa 1949 r. |
| 4. Ludwik Bazylow, prof. | Historia Rosji t. I i II
PWN Warszawa 1985 r. |
| 5. Ludwik Bazylow prof. | Upadek caratu
PWN Warszawa 1977 r. |
| 6. Jerzy Dowiat | Historia dla I kl.
technikum WS i P W-wa 1979 r. |
| 7. Adam Galos | Historia kl. 3 lic. ogóln.
I cz. WS i P W-wa 1980 r. |
| 8. Jakub Hoffman | Dzieje Ławry Począzajowskiej
Zeszyty Historyczne Z-3
Instytut Literacki Paryż
1963 r. |
| 9. Tadeusz "Bór" Komorowski gen. | Armia Podziemna Wyd. "Skorpion"
Londyn 1979 r. |
| 10. Hans Dieter Kamp | Kościół unicki po 1944 r.
"Głos" Instytut Europy
Wschodniej 1986 r. |
| 11. Włodzimierz Tadeusz Kowalski prof. | Wielka Koalicja t. III - 1945
Wyd. MON Warszawa 1977 r. |
| 12. Marceł Kosman | Historia kl. VI Warszawa
WS i P 1975 r. |
| 13. Jerzy Kirchmeyer gen. | Powstanie warszawskie 1944 r
Książka i Wiedza W-wa 1960 r |
| 14. Materiały do historii PRL | Epilog wileńskiej Armii
Krajowej
Unia Nowoczesnego Humanisty
Warszawa Zeszyty Historyczne
Z-5 |
| 15. Materiały zaczerpnięte ze źródeł
wywiadu wojskowego departamentu wojny
USA w Waszyngtonie
"The World at War"
/United States Infomation Service/ | Druga wojna światowa
wydawnictwo "Przełom"
Kraków 1947 r. |

16. Mieczysław Bielski
Mówią Wieki nr. 10 1981 r.
"Mokra" 1939 r.
17. Jerzy Ochmański
Mówią Wieki nr. 3 1974 r.
"Na rozdrożu - Jagiełło
w przededniu unii
Litwy z Polską"
18. Marek Tarczyński
Mówią wieki nr. 12 1974 r.
"Elbląski rajd kapitana
G.L. Diaczenki"
19. Janusz Pajewski prof.
Niemcy w czasach nowożytnych
1517 - 1939
Poznań Instytut Zachodni 1947
20. Maria Pidhupczak-Majerowicz dr.
Bazylianie w Koronie i na
Litwie Szkoły i książki
w działalności Zakonu
PWN Warszawa Wrocław 1986 r.
21. Tadeusz Skołuba
IV rozbiór Polski
Niezależna Inicjatywa
Wydawnicza Warszawa 1984 r
22. Zbigniew Wójcik prof.
Dzikie Pola w ogniu
Historia Polski
PW Wiedza Powszechna 1968 r
23. Michał Wojewódzki
Akcja V1, V2
Instytut Wydawniczy "PAK"
1970 r
24. Władysław Żeleński
Jeszcze o zabójstwie
Pierackiego /Bronisława/
i rozrachunkach polsko-
ukraińskich
Zeszyty Historyczne Z-46
Instytut Literacki Paryż
1978 r.
25. Mieczysław Żułowski
Wojna z Rosją o niepodległość
1918 - 1920
Wyd. Kooperatywa Wyd.
"Wyzwolenie" Wrocław 1980 r.
26. Dokumenty i listy zachowane
w archiwum prywatnym
oraz własne wspomnienia.

S P I S T R E Ś C I

- Tom I - Część ogólna - Lata 1845 - 1945 strona 1 - 179
- Tom II - Część biograficzna: Część pierwsza
-Przedkowie redu- " 1 - 115
- Tom III - Część druga
-Dzieciństwo i młodość- " 116 - 302
- Tom IV -Część trzecia
-Ciąg dalszy kursu o starej historii
redu- " 303 - 418
- Tom V -Część czwarta
- Życie pod sowiecką okupacją-
-17.IX.39-22.VI.41- " 419 - 503
- Tom VI -Część piąta
-Życie pod niemiecką okupacją-
-22.VI.41-30.III.43 " 504 - 661
- Tom VII -Część szósta
- Lata w niewoli: Okres między wiosnami:
- 1943 - 1945 - " 662 - 820
- Bibliografia - " 821 - 822

K O N I E C